



Laurie Kingery



Dziedziczka

Rozdział pierwszy

Llano Crossing, Teksas, sierpień 1867

- Był dobrym człowiekiem, panno Delio. Z pewnością cieszy się wiecznym szczęściem.

- Wieczny odpoczynek racz mu dać, Panie.

- Niech Bóg ma panią w swojej opiece, panno Delio.

Kiedy stan zdrowia wielebnego McKinneya zaczął się pogarszać, wzgórze mieniło się świeżymi barwami wiosennych kwiatów: pierwiosnków, gailardii, łubinu. Po letnich upałach, spalone słońcem, zbrązowiało. Wydawało się harmonizować z czarnymi ubraniami żałobników zgromadzonych u stóp wzgórza wokół dołu, do którego opuszczano trumnę.

Osiemnastoletnia Delia Keller była załamana i zrozpaczona. Uczestniczyła w pogrzebie dziadka, ukochanego opiekuna. Co ona pocnie bez jego wsparcia i pomocy? Z zadumy wyrwał ją głos kolejnej osoby składającej kondolencje.

- Jeśli będzie pani czegoś potrzebowała, wystarczy, że da pani znać mnie albo komukolwiek z mojej rodziny. Wielebny McKinney zjednoczył naszą społeczność. Nie dopuścimy do tego, by jego wnuczka cierpiała niedostatek.

Delia, która stała z pochyloną głową, uniosła wzrok.

- Dziękuję panu za te słowa, Charlesie.

Jeśli nawet spodziewała się czegoś więcej po synu burmistrza, Charlesie Ladleyu, nie dała tego po sobie poznać. Ciasny, nakrochmalony kołnierzyk pożyczonej żałobnej sukni cisnął ją w szyję.

Kilka pań odeszło od grobu i skierowało się w stronę prowizorycznych stołów ustawionych pod dębami ocieniającymi przestrzeń pomiędzy niewielkim kościółkiem a cmentarzem. Delia pomyślała, że wkrótce uczestnicy pogrzebu zasiądą do posiłku, na który złożą się szynka i pieczone kurczaki, czarno nakrapiana fasola, świeżo upieczone biszkopty, ciasto czekoladowe i kruche ciasteczka z orzechami. Będzie też lemoniada w dzbanach i mrożona herbata.

Jako najbliższa zmarłemu, Delia powinna skosztować wszystkich potraw i pochwalić zacne parafianki, które je przygotowały. Tymczasem myśl o przełknięciu najmniejszego choćby kęsa sprawiała, że zrobiło jej się niedobrze. Wydawało się jej, że wszyscy żałobnicy odeszli i stoi przy grobie sama. Nagle ktoś delikatnie ujął ją za łokieć.

- Panno Keller, dobrze się pani czuje?

To był wielebny Calhoun z Mason, który przewodniczył ceremonii pogrzebowej, jako że po śmierci pastora McKinneya Llano Crossing zostało bez duchownego. Widząc zatroskane spojrzenie pastora, Delia odwróciła wzrok w obawie, że dłużej nie zdoła powstrzymać łez.

- Co ja teraz zrobię, pastorze? Moje życie polegało na opiekowaniu się dziadkiem.

- Nie ma potrzeby już dzisiaj podejmować decyzji - powiedział uspokajająco. - Spotkało panią nieszczęście, jest pani pogrążona w żałobie i musi minąć trochę czasu, zanim poczuje się pewniej. Jestem przekonany, że Bóg wskaże pani drogę.

Tego szczególnego dnia Delia nie miała cierpliwości na słuchanie zwyczajowych pocieszeń.

- Wkrótce w miasteczku pojawi się nowy pastor i zamieszka na plebanii. Gdzie się wtedy podzieję? Nie mam pracy ani pieniędzy. - Nie jestem też piękną, dodała w duchu.

- Bóg objawi pani właściwą drogę w odpowiednim czasie, panno Keller - zapewnił pastor głębokim głosem. - Pan dba o swoje owieczki. A teraz chodźmy. Widzę, że poczciwe mieszkanki Llano Crossing przygotowały dla pani smaczny posiłek. - Ruchem głowy wskazał stoły pod drzewami.

- Nie mam siły uczestniczyć w stypie - wyznała Delia, ze wzrokiem wbitym w czubki wysokich trzewików na guziczki. Nie chciała spoglądać w stronę grobu. - Wolałabym wrócić na plebanie i się położyć.

- Nonsens, moja panno. Powinna panna coś zjeść i nabrać otuchy w towarzystwie tych, którzy kochali wielebnego McKinneya - wtrąciła zażywna, siwowłosa żona pastora, która właśnie do nich podeszła. - Jak się panna posili, od razu poczuje się lepiej.

Delia nie zamierzała oponować. Na szczęście z pomocą przyszedł jej pastor.

- Pani Calhoun, ta dziewczyna jest blada jak wczesny pierwiosnek. Przyniesiemy jej na plebanię coś smacznego na pobudzenie apetytu po drzemce. A zatem, panno Delio, do zobaczenia później - rzekł wielebny Calhoun.

- Dobrze, panie Calhoun. W takim razie odprowadzę pannę Keller - oznajmiła ku przerażeniu Delii pani Calhoun. - Idź odmówić modlitwę, żeby ludzie mogli przystąpić do spożywania posiłku. Wrócę za kilka minut.

Otoczywszy Delię ramieniem w pasie, jakby bojąc się, że dziewczyna zemdleje, pani Calhoun poprowadziła ją w stronę plebanii.

Budynek plebanii był oddalony około pięćdziesięciu jardów od kościoła. Delia pomyślała, że skoro nie było jej dane samotnie pójść do domu, zaraz po przestąpieniu progu powie, że musi się położyć i skieruje się do sypialni. Dochodząc do bramy, zobaczyły zbliżającego się od zachodu jeźdźca na koniu. Otaczała go chmura pyłu.

- Jeśli jedzie na pogrzeb, to trochę się spóźnił - zauważyła z przekąsem pani Calhoun.

- Nie sądzę. - Delia pomyślała, że wszyscy uczęszczający do kościoła w Llano Crossing byli obecni na ceremonii pogrzebowej. Kościół był wypełniony po brzegi, Część osób stała na schodach. - To pewnie jakiś kowboj, który przybywa do miasteczka, żeby się zabawić w sobotni wieczór.

- A jutro będzie cierpiał z powodu bólu głowy i braku straconych pieniędzy.

Patrząc na zbliżającego się jeźdźca, Delia zaczęła powątpiewać w to, że przyjechał z któregoś z pobliskich rancz. Zauważyła juki, strzelbę i zwinięty koc przytroczone do siodła. Bułany koń miał mokre nogi, jakby przed chwilą przekroczył rzekę w jednym z jej najgłębszych miejsc, gdy tymczasem wystarczyło pojechać nieco dalej - miasteczko zawdzięczało swą nazwę mostowi łączącemu brzegi rzeki.

Nieznajomy zmusił konia do stępa, a podjechawszy bliżej, zatrzymał go, wydając polecenie „Hola”, po czym machinalnie przyłożył palec do szerokiego randa kapelusza.

- Czy dobrze jadę do Llano Crossing? - spytał szorstkim, schrypniętym głosem, jakby dawno się nie odzywał.

Przyglądał się Delii zuchwale szaroniebieskimi oczami przywodzącymi na myśl oczy wilka. Zadrżała, jakby przeniknął ją zimny północny wiatr. Kątem oka zauważyła, że pani Calhoun nieznacznie skinęła głową i wyjaśniła:

- Miasteczko jest zaraz za zakrętem.

- Czy podróżny może się zatrzymać na noc w jakimś hotelu? - spytał przybysz, nie odrywając przenikliwego spojrzenia od Delii.

- Owszem, pod warunkiem, że jest człowiekiem przyzwoitym, przestrzegającym prawa - oznajmiła oficjalnym tonem pani Calhoun.

Delia zauważyła, że przez twarz nieznajomego przemknął uśmiech. Odniosła wrażenie, że miał ochotę ją o coś zapytać, jednak najwyraźniej się rozmyślił.

- Bardzo dziękuję, proszę pani - powiedział, dotykając róna kapelusza i przenosząc wzrok na panią Calhoun. - Dziękuję - powiedział, skinął głową i odjechał.

Pani Calhoun nie kryła oburzenia.

- Mógł okazać chociaż odrobinę szacunku!

- Przecież dotknął kapelusza - zauważyła zdziwiona Delia.

- Mam na myśli to, że nie uszanował żałoby, moja droga! Patrzył na ciebie jak wilk wpuszczony do zagrody pełnej owiec!

Delia była zaskoczona tym, że nieznajomy przywoził na myśl wilka również pani Calhoun. Najwyraźniej za wiele spodziewała się po mężczyznach, skoro uważała, że jeden z nich złoży im kondolencje jedynie dlatego, że obie były ubrane na czarno.

- Jakiś włóczęga, bez dwóch zdań - orzekła pani Calhoun. - Tylu ich się wszędzie kręci po wojnie.

Delia w duchu przyznała rację pastorowej, nie chciała jednak zachęcać jej do rozwijania tematu. W milczeniu dotarły do niskiego, nierównego ogrodzenia z kamieni, oddzielającego teren plebanii od drogi.

- Serdecznie dziękuję za wyświadczoną mi uprzejmość, pani Calhoun. Nie chciałabym pani dłużej trudzić - zagadnęła Delia, wchodząc na wysadzaną kwiatami ścieżkę prowadzącą do białego budynku. - Do zobaczenia.

Żona pastora uważnie przyjrzała się Delii. Najwyraźniej rozumiała aluzję.

- Skoro panna jest pewna, że nie chce, by ktoś przy panie posiedział... - powiedziała niepewnie, lecz zaraz potem zważym krokiem ruszyła w drogę powrotną, jakby bojąc się, że inni żałobnicy bez jej udziału zjedzą wszystko, co znajduje się na stołach. Przystanąwszy na chwilę, odwróciła się i dodała: - Pastor Calhoun i ja będziemy cicho jak myszki, kiedy tu wrócimy, żeby panie nie przeszkadzać w drzemce.

Delia była pewna, że nie zmruży oka. Cieszyła się jednak, że w końcu udało jej się uwolnić od męczącego towarzystwa pastorowej, choć nie miała wątpliwości co do tego, że pani Calhoun przyświecały jak najszlachetniejsze intencje.

Zasnęła jednak. W nocy obudziło ją donośne chrapanie pastora Calhouna, dochodzące z pokoju do niedawna zajmowanego przez dziadka. Cicho przeszła do kuchni, znajdującej się w tylnej części parterowego domu, by się przekonać, że goście dotrzyмали słowa i przynieśli kolację składającą się z pieczonego kurczaka, biszkoptów i ciastek. Jadała, czekając, aż nastanie świt.

- Czuję, że nie powinniśmy tak szybko wyjeżdżać - powiedziała z troską w głosie pani Calhoun po zjedzeniu na śniadanie jajek, które tego ranka zniosły kury dziadka. Kury dziadka... Delia wciąż tak o nich myślała. - Przecież ta panna jest biedną sierotą. To nie w porządku, że zostawiamy ją samą, panie Calhoun.

- Nie jestem sierotą, pani Calhoun - sprostowała Delia. - Mój ojciec podróżuje. Jestem pewna, że lada dzień wróci do domu. - Ile to już razy w życiu wypowiedziała te słowa? - Gdyby wiedział o chorobie dziadka, z pewnością by tu był - dodała, mając nadzieję, że brzmi to przekonująco.

Pani Calhoun, zajęta unoszeniem swego masywnego ciała z krzesła, zwróciła się w jej stronę.

- Kochanie, wiem, że ta myśl dodaje panie otuchy, ale sąsiadka, pani Purvis, powiedziała mi, że panny ojciec nie dał znaku życia od dnia wyjazdu. Mam szczerą nadzieję, że wróci do domu, ale czy nie uważa panna, że już dawno by to zrobił, gdyby w ogóle miał taki zamiar?

- Papa na pewno przyjedzie - orzekła Delia. - Po prostu po śmierci mamy nie potrafił usiedzieć w jednym miejscu, jak mawiał dziadek.

- Mógł walczyć ramię w ramię z naszymi dzielnymi chłopcami w szarych mundurach - zauważyła z przyganą w głosie pani Calhoun.

Delia nie zamierzała jej tłumaczyć, że gdyby ojciec zamierzał zostać żołnierzem, zapewne wybrałby niebieski mundur Unii. Wojna secesyjna wciąż budziła żywe emocje w tej części Ameryki.

- Tłumaczył nam, że ożenił się bardzo młodo i nie miał okazji zobaczyć świata. Obiecał, że wróci do domu, jak tylko się wzbogaci.

Była na siebie zła za to, że jej głos drżał na wspomnienie bólu, jaki czuła, gdy siedem lat temu odprowadzała wzrokiem odjeżdżającego ojca.

Pani Calhoun psyknęła gniewnie.

- „Miłość pieniędzy jest korzeniem wszelkiego zła” - oznajmiła i wzięła głęboki oddech z zamiarem rozwinięcia kwestii.

- Gdyby nie jałmużna, miłością nic bym nie zyskał - sparafrazował słowa Listu do Koryntian pastor Calhoun, wymownie patrząc na żonę. Po chwili zwrócił się do Delii. - Będę się modlił, by panny ufna wiara wkrótce została wynagrodzona.

Delia usiłowała przybrać beztroski wyraz twarzy.

- Dam sobie radę. Zapewniam państwa, że tak będzie. Jeśli będę czegoś potrzebowała, zwrócę się do państwa Purvisów. Uprzedzili mnie, że wystarczy ich poprosić.

Miała nadzieję, że pastor i jego żona wyjadą zaraz po pogrzebie i stypie. Ponieważ była to sobota, pan Calhoun czuł się w obowiązku zostać i w niedzielę odprawić nabożeństwo w kościele w Llano Crossing, pozbawionym duchownego. Nie było wiadomo, kiedy w miasteczku pojawi się nowy pastor.

Delii wydawało się niewłaściwe, że ktoś zajął miejsce dziadka na ambonie i mówił o Bogu. Pastor Calhoun był dobrym kaznodzieją i doskonale znał Biblię, brak mu było jednak dystansu i poczucia humoru dziadka. Nie położył na ambonie kieszonkowego zegarka, jak czynił to wielebny McKinney, by wiedzieć, kiedy zakończyć kazanie. Diakon musiał kilka razy wymownie spoglądać na pastora Calhouna, by ten przerwał potok wymowy i udzielił błogosławieństwa.

Potem pani Calhoun uznała, że nie wypada podróżować w Dzień Pański, i Delia musiała wysłuchiwać niekończących się, choć z serca płynących, porad. Żona pastora uważała, że wie najlepiej, jak powinna postępować Delia.

- Pani Calhoun, jeśli zaraz wyjedziemy, zdążymy do domu na kolację - zauważył pastor Calhoun, odkładając serwetkę i wstając od stołu. - Panna Delia obiecała nam, że do nas napisze, gdyby czegoś potrzebowała, a pewnego dnia przyjedzie do Mason na dłuższą wizytę.

Delia pośpiesznie zapewniła, że tak się stanie.

- Powinnam pomóc przy zmywaniu naczyń po śniadaniu - zatroskała się pani Calhoun, zataczając pulchną dłonią krąg nad talerzami z okruszynami grzanek i żółtymi śladami po jajkach. - To niegodne chrześcijanina zjeść i od razu wyjechać, panie Calhoun.

Pastor uniósł wzrok, jakby błagając niebiosą o cnotę cierpliwości.

- A potem powiesz, że jest już pora na obiad. Nie, pani Calhoun, natychmiast wyjeżdżamy. Panna Delia nie będzie nam miała tego za złe. Do widzenia. Dziękujemy za gościnność okazaną nam w tak trudnych dla pani chwilach. Będę się za pannę codziennie modlił.

- Dziękuję, pastorze - powiedziała Delia, pochylając głowę, żeby pani Calhoun nie ujrzała wyrazu ulgi na jej twarzy.

Marzyła o tym, by móc zostać sam na sam z własnymi myślami, nie musząc dbać o to, by przez cały czas być miłą i uprzejmą. Uniosła kosz, do którego wcześniej włożyła szynkę, kilka kromek chleba i masło zawinięte w mokrą ściereczkę, po czym podeszła do drzwi, nie dając pani Calhoun szansy na wymyślenie kolejnego powodu do zwłoki.

Rozdział drugi

Wielebny Calhoun tak bardzo lubił dobrze osłodzoną herbatę, że po jego wizycie zostało bardzo niewiele cukru w porcelanowej cukierniczce, zdobionej w róże. Delia odkryła to, gdy usiadła przy stole, aby napić się kawy.

Na szczęście kury znosiły jajka, które zamierzała sprzedać w jednym z największych sklepów. Za część uzyskanych od pana Deana pieniędzy postanowiła kupić cukier. Resztę odłoży na później. Cóż jednak pocnie, gdy pewnego dnia będzie jej potrzebna znaczna kwota? Jeżeli, na przykład, zepsuje się wiatrak i będzie musiała go naprawić? Myślała o tym, ponieważ przypuszczała, że minie sporo czasu, zanim w miasteczku pojawi się nowy pastor. Kiedy znajdzie się odpowiedni kandydat, Delia będzie musiała opuścić plebanię i wynająć pokój.

Dziadek nie przywiązywał wagi do dóbr doczesnych. Ufając, że Bóg zaspokoi jego potrzeby, często oddawał skromne uposażenie pastora nieszczęsnemu włóczędze, który zjawiał się u jego drzwi. Bóg stawał na wysokości zadania, często objawiając się w postaci parafianina, przynoszącego na plebanię pół tuszy wołowej albo koszyk brzoskwiń. Delia nie mogła jednak liczyć na podobne dary po tym, jak Pan powołał jej dziadka do swojego królestwa.

Opatrzność pomaga tym, którzy pomagają sami sobie, przemknęło jej przez myśl. Póki może mieszkać w miasteczku, powinna się zająć poszukiwaniem pracy, by z czasem móc opłacić pokój w pensjonacie pani Mannheim. Być może pan Dean będzie potrzebował pracownika do magazynu albo pani Jackson gotowa będzie przyjąć pomocnicę kucharza w hotelu. W najgorszym razie Delia zaproponuje pani Mannheim, że będzie gotowała i sprzątała w pensjonacie w zamian za dach nad głową. Słyszała jednak, że niemiecka wdowa jest wymagająca i pedantyczna i wszystko woli robić sama. Delia mogła też napisać do wielbnego Calhouna i poprosić o zorientowanie się, jakie są szanse na otrzymanie pracy w Mason. Pastor zapewniał ją, że gotów jest pomóc w razie potrzeby.

W głębi serca miała jednak nadzieję, że nie będzie zmuszona do wyjazdu z Llano Crossing, gdzie mieszkała od ukończenia jedenastego roku życia, kiedy ojciec przywiózł ją tutaj po śmierci matki Delii.

Spojrzała na własne odbicie w pękniętym lustrze wiszącym w jej pokoju, aby upewnić się, czy równo związała wstążki przy czarnym kapeluszu oraz czy żaden kosmyk nie wymknął się z ciasno upiętego koka. W zestawieniu z czernią stroju twarz wydawała się bardzo blada. Pomyślała, że spacer do miasta powinien zaróżowić jej policzki. Wzięła do ręki koszyk z jajkami i wyszła z domu.

Pograżona w rozmyślaniach, ze wzrokiem wbitym w ścieżkę, omal nie uderzyła zardzewiałą furtką konia stojącego w cieniu przydrożnego dębu.

- Och! Nie wiedziałam, że ktoś tu jest! - wykrzyknęła, cofając się o krok.

Miała przed sobą nieznanego, który przed kilkoma dniami pytał o drogę do miasteczka. Podobnie jak wtedy, dotknął palcami runda kapelusza.

- Zamyśliła się pani. Nie chciałem pani przestraszyć.

- Nie przestraszyłam się - skłamała.

Zauważyła, że nieznanomy zmienił się od poprzedniego spotkania. Prawdę mówiąc, gdyby nie dosiadał bułanego konia, być może w ogóle by go nie poznała. Najwyraźniej wykapał się, ogolił, oddał ubranie do prania, a może nawet kupił nowe.

Delia uznała z zakłopotaniem, że jej spojrzenie mężczyzna może ocenić jako natarczywe.

- W czym mogę panu pomóc?

Była przyzwyczajona do licznych odwiedzin na plebanii. Wiele osób przychodziło do jej dziadka w poszukiwaniu jałmużny lub porady duchowej. Nie chciała jednak mówić nieznanemu o wilczych oczach, że została sama. - Niestety, pastor nie może pana...

- Wiem. Czy rozmawiam z panną Delią Keller?

Skinęła głową, przestraszona. Skąd zna jej imię?

Czego chce?

- Po przyjeździe do miasta dowiedziałem się o śmierci pani dziadka - powiedział obcy. - Domyślam się, że kiedy się spotkaliśmy, wracała pani z pogrzebu. Gdybym wiedział, kim pani jest, panno Keller, nie odjechałbym, a zatrzymał się, żeby z panią porozmawiać.

- A pan kim jest?

Przybysz zeskoczył z konia i upuścił wodze na ziemię. Bułany koń był najwyraźniej do tego przyzwyczajony; zwiesił łeb i zajął się jedzeniem trawy bujnie rosnącej w cieniu płotu.

Gdy mężczyzna stanął naprzeciw niej, Delia zorientowała się, że jest wysoki. Znacznie wyższy niż jej dziadek, który na starość trochę się przygarbił. Zapewne górowałby też wzrostem nad jej ojcem, którego nie widziała od czasu, gdy głową sięgała mu do łokcia. Tajemniczy gość musiałby pochylić się w progu, by wejść do domu... Oczywiście nie zamierzała go tam zapraszać.

Zdawał się wyczuwać jej niepokój. Nie ruszając się z miejsca, zdjął szerokoskrzydły kapelusz, spod którego ukazały się ciemne włosy.

- Panno Keller, nazywam się Tucker, Jude Tucker, a przyjechałem tu dlatego, że poprosił mnie o to pani ojciec.

Nie wierzyła własnym uszom. Przepelniona ogromną radością, ruszyła w stronę nieznanego, choć zaledwie przed chwilą bezwiednie się przed nim cofnęła.

- Zna pan mojego ojca? Czy ojciec przyjedzie? Kiedy tu zawita? Dlaczego nie przyjechał z panem? - Uradowana Delia zasypała go pytaniami. - Och, wiedziałam, że któregoś dnia powróci!

Tucker spochmurniał i wysunął rękę w stronę Delii, by powstrzymać potok jej wymowy.

- Pani ojciec... nie przyjedzie, panno Keller. Przepraszam, powinienem od razu to powiedzieć. Przykro mi, ale to właśnie mnie przypadł obowiązek poinformowania pani o śmierci ojca.

Delia miała wrażenie, że ziemia wiruje pod jej stopami. Byłaby upadła, gdyby niezajomy w porę jej nie podtrzymał.

- Spokojnie - szepnął Jude Tucker, delikatnie ściskając jej ramię. - Jest pani blada jak kreda, panno Keller. Proponuję, żebyśmy usiedli w fotelach na ganku. To zrozumiałe, że jest pani zszokowana. Sądzę, że po chwili zastanowienia będzie pani chciała wysłuchać reszty.

Nie przypominała sobie, by udzieliła mu na to pozwolenia, lecz trzymając ją za łokieć, poprowadził ją po trzech schodkach na ganek i posadził w bujanym fotelu, w któ-

rym dziadek uwielbiał przesiadywać wieczorami. Potem patrzył, jak Delia rozwiązuje wstążki, zdejmując czarny kapelusz i kładzie go na dzielącym ich stoliku.

- Czy jest tu pompa? Może napiłaby się pani wody? - zapytał Tucker.

Jego głos dobiegł do Delii jakby z oddali; musiała się skupić, by zrozumieć znaczenie słów.

- Pompa? Woda? Nie... To znaczy, tak, jest pompa, ale nie chcę...

Przypomniawszy sobie, że dziadek, który stanowił dla niej niedościgły wzór, zawsze miał na względzie przede wszystkim dobro innych, dodała:

- Proszę się napić, jeśli jest pan spragniony. Na pompie wisi kubek.

Sprawiał wrażenie mile zaskoczonego.

- To niezwykle szlachetne z pani strony, że nawet w takich okolicznościach pomyślała pani o mnie. Owszem, chętnie się napiję, ale najpierw chciałbym wyjaśnić, dlaczego pani ojciec mnie tu przysłał.

- Czy coś mu się stało? - spytała, wpatrując się pośłańca.

Jude Tucker popatrzył na kapelusz trzymany w długich, smagłych palcach.

- Zginął w wypadku górniczym w kopalni srebra w Nevadzie, panno Keller.

Gdy milczała, najwyraźniej czekając na dalszy ciąg, przyjrzał się jej uważnie, po czym kontynuował:

- Jak zapewne pani wie, odkryto tam srebro w tysiąc osiemset pięćdziesiątym dziewiątym roku, na długo przed pojawieniem się tam pani ojca, jednak to właśnie on odkrył w pobliżu nową żyłę. Pomagałem mu przy wydobywaniu. Dopisało mu szczęście... Nikt nie miał takiego od czasu Comstock Lode. Powtarzał, że zamierza wrócić do Teksasu, ale zanim się na to zdecydował, zdarzył się wypadek. Pojechałem wtedy do miasta po zapasy, a pani ojciec został przygnieciony wielkimi belkami. Leżał tak kilka godzin...

Tucker urwał, zastanawiając się, jak ma sformułować dalszą wypowiedź. Przeniósł wzrok na drogę, lecz Delia była pewna, że nie widział niczego, dręczony wspomnieniami.

- Kiedy wróciłem, był w ciężkim stanie. Udało mi się odciągnąć belki. Zamierzałem zawieźć go do doktora, jednak nie chciał o tym słyszeć. Wiedział, że umiera. Chirurgi już by mu nie pomogli. Zresztą, nie przeżyłby jazdy. Poprosił mnie, żebym go nie

ruszał. Chciał wykorzystać ostatnie chwile życia na powiedzenie mi, gdzie będę mógł panią znaleźć, panno Keller. Zmarł kilka minut potem.

Delię ogarnął niewymowny żal. Gdyby jej ojciec nie był tak niespokojnym duchem, nie uparł się za wszelką cenę szukać bogactwa i szczęścia, żyłby do dzisiaj, a ona nie musiałaby dorastać bez niego. Pani Calhoun miała świętą rację, cytując ten akurat werset z Biblii. Umiłowanie pieniędzy z pewnością było przyczyną nieszczęścia Willa Kellera.

- A więc to tak... - Przypomniała sobie o obecności gościa. - Panie Tucker, postąpił pan bardzo szlachetnie, przyjeżdżając z tak daleka, aby powiadomić mnie o śmierci ojca. Niestety, nie mam jak się panu odwdzięczyć za pański trud.

W oczach Tuckera pojawił się dziwny błysk.

- Nie ma o czym mówić. Poza tym nie przyjechałem tutaj tylko dlatego, żeby poinformować panią o śmierci ojca. Jest pani teraz jego jedynym dziedzicem.

- Dziedzicem? - Miała wrażenie, że Tucker mówi w obcym języku.

Uśmiechnął się nieznacznie.

- Cóż, przyznaję, że odpowiedniejszym słowem jest „dziedziczka”. Mam dokument z banku w Carson City, pozwalający pani na dokonanie przelewu pieniędzy na swoje konto w tutejszym banku.

- Dokument? O czym pan mówi?

- Pani ojciec zdążył wydobyć spore ilości srebra, zanim ktokolwiek oprócz mnie dowiedział się, że Will Keller trafił na tak wielką żyłę. Sprzedał srebro i złożył pieniądze w banku. Zmarł jako bogaty człowiek, a teraz cały jego majątek należy do pani.

Jude obawiał się, że tym razem panna Keller zemdleje. Obserwował ją uważnie, gotów w każdej chwili przyjść z pomocą. Gęste ciemne brwi Delii uniosły się, zbladła jeszcze bardziej, co wydawało się niemożliwe, a jednak zachowała wyprostowaną pozycję w fotelu.

Westchnęła.

- Mój ojciec bogaty? I zostawił wszystko mnie?

Niedowierzenie, że istotnie jest jedyną spadkobierczynią, zaskoczyło Tuckera.

- Była pani jego jedynym dzieckiem, panno Keller. Komu jak nie pani miałby zostawić majątek?

- N-nie wiem - wyjąkała, oszołomiona. - Wyjechał stąd tak dawno temu... Sądziłam, że ponownie się ożenił, a może nawet ma dzieci.

Jude żałował, że jego przyjacielowi nic nie mogło przywrócić życia choćby tylko na moment. Chętnie by go złązał za opuszczenie swego jedyne dziecko. Ta piękna dziewczyna najwyraźniej wątpiła w to, że była kimś ważnym dla swego ojca. W tej sytuacji tysiące dolarów były niczym zabawka głupca.

- Mógł też zapisać je panu, swemu wspólnikowi.

- Zaledwie przed chwilą patrzyła na ręce złożone na kolanach; teraz jej zielone oczy były zwrócone na Tuckera.

Nie był w stanie spokojnie odwzajemnić szczerego spojrzenia.

- Nie byłem wspólnikiem pani ojca - wyjaśnił.

- Pracowałem dla niego. Sam odkrył bogate złoża srebra i sownie wynagrodził mi trudy podróży, panno Keller. To mi w zupełności wystarcza.

- Mógł pan zachować to zaświadczenie z banku i twierdzić, że mnie pan nie znalazł. Nikt by się niczego nie domyślił.

Miał wrażenie, że Delia przewierca go swym spojrzeniem na wskroś.

- Nie mógłbym - zaproponował, zastanawiając się, jak Delia Keller prezentowałaby się w sukni o kolorze innym niż czarny. Z pewnością dobrze było jej w zielonym komponującym się z barwą jej tęczywek. - Poza tym, co ja bym począł z taką ilością pieniędzy? Jeżdżę tam, dokąd niesie mnie wiatr.

- Jest pan włóczęgą?

Wbrew pozorom, to nie było pytanie. Jude pamiętał, jak Delia taksowała go badawczym spojrzeniem, gdy przed kilkoma dniami pytał o drogę, a towarzysząca jej kobieta nieprzychylnie do niego nastawiona na pewno podzieliła się z nią swoimi obserwacjami. Obie panie wyciągnęły potem odpowiednie wnioski.

- Nie chce pan nigdzie osiąść na stałe? Myślał pan kiedyś o tym, żeby zapuścić korzenie, założyć rodzinę?

Musiał uniemożliwić jej zadawanie dalszych pytań, aby zapobiec wyznaniom, których mógł potem żałować. Popatrzył na nią śmiało, odrobinę zbyt zuchwale, chcąc dać jej do zrozumienia, że nie zna go na tyle dobrze, by zadawać mu osobiste pytania.

- Powinna się pani zastanowić, co zamierza uczynić ze spadkiem, panno Keller. O tym przede wszystkim powinna pani pomyśleć.

Splonęła szkarłatnym rumieńcem, najwyraźniej doskonale czytając między wierszami.

- Och! Tak, ma pan rację. - Na jej twarzy odmalowała się cała gama emocji, od zdumienia przez zamyślenie do rozbawienia. - Cóż, to wiele zmienia, prawda? Wybierałam się właśnie do miasta sprzedać jajka, aby zdobyć w ten sposób pieniądze na zakup cukru. Planowałam też poszukać pracy. Chciałam zaoszczędzić trochę pieniędzy, bo kiedy zjawi się nowy pastor, będę musiała się przeprowadzić.

- Nie będzie już pani musiała tym się trapić, panno Keller.

Uśmiechnęła się, tym razem nieco śmielej.

- Wygląda na to, że nie. Będę mogła kupić dom, jeśli tylko przyjdzie mi na to ochota.

Pokiwał głową, wyraźnie rozbawiony. Delia nie zdawała sobie jeszcze sprawy z tego, jak bardzo jest zamożna.

- Panno Keller, posiada pani dość pieniędzy, by wybudować dom pani marzeń. Może to być najokazalszy budynek w Llano Crossing, jeśli właśnie tego pani zapragnie. Może też pani przenieść się w dowolne miejsce.

- Rozumiem - powiedziała niemal bezgłośnie. - No cóż! Widzę, że naprawdę mam się nad czym zastanawiać.

Jej zielone oczy niespodziewanie rozbłyły ożywieniem. Delia Keller sprawiała wrażenie osoby, która przed chwilą pomyślała o czymś bardzo przyjemnym. Jude zastanawiał się, co ją tak ucieszyło.

- Jak pan sądzi, co powinnam teraz zrobić, panie Tucker? - zapytała.

- Powiedziała pani, że wybiera się do miasteczka. Uważam, że powinna pani tam się udać jak najszybciej i poprosić o złożenie dokumentu w sejfie bankowym, zanim pani komukolwiek opowie o nowinie.

Spojrzała na niego, zaskoczona niezwykle poważnym tonem jego głosu.

- Panie Tucker, Llano Crossing to niewielkie miasteczko. Żyją tu dobrzy i spokojni ludzie. Nie ma rzezimieszków ani oszustów karcianych. Na pewno nikt nie wyrwie mi dokumentu z ręki - przekonywała.

- Pytała mnie pani o radę, panno Keller - przypomniał. - Radzę więc pani udać się do banku, zanim powie pani komuś o tym, czego się ode mnie dowiedziała. Potem może pani wejść na dach ratusza i stamtąd ogłosić tę nowinę światu, jeśli poczuje pani taką potrzebę.

Te słowa podziałały na Delię jak zimny prysznic. Nie chciał odbierać jej radości, uważał jednak, że powinna zachować należyłą ostrożność.

- Zgadzam się. Jestem pewna, że udzielił mi pan dobrej rady - powiedziała. - Czy uważa pan, że nie powinnam mówić nikomu o spadku oprócz dyrektora banku? Naturalnie, jemu będę musiała wszystko wyjaśnić. Ludzie zaczną się czegoś domyślać, jak zajmę się szukaniem domu... - Urwała i popatrzyła pytająco na Tuckera.

Omali się nie roześmiał, wzruszony jej rozbrajającą naiwnością.

- Wkrótce przekona się pani, że ta wiadomość rozejdzie się po miasteczku lotem błyskawicy, panno Keller. Proszę mieć się na baczności. Przekona się pani, że ludzie będą traktować panią inaczej niż dotychczas. Proszę nie wierzyć we wszystko, co będą pani mówić.

Popatrzyła na niego przeciągle, mając ochotę go zapytać, skąd to wszystko wie. Przypomniawszy sobie jednak jego reakcję na poprzednie osobiste pytanie, postanowiła się wstrzymać. Skinęła głową.

- Zastosuję się do pańskiej rady - powiedziała, wstając. - Czy zechciałby mi pan towarzyszyć, panie Tucker? Jestem panu głęboko wdzięczna za pańską uczynność i chciałabym przynajmniej zaprosić pana na obiad w hotelu. Musiał pan przejechać szmat drogi, by powiadomić mnie o tej zdumiewającej zmianie mojej sytuacji życiowej.

Poprosi dyrektora banku o gotówkę na zapłatę za posiłek. W obecnej sytuacji nie powinien stwarzać problemów, uznała Delia, w dalszym ciągu oszołomiona rysującymi się przed nią perspektywami.

Rozdział trzeci

Jude Tacker roześmiał się, po czym przestrzegł:

- Panno Keller, jest pani teraz bogatą kobietą, niemniej jednak nadal powinna się pani liczyć z tym, co powiedzą ludzie. Jeśli zobaczą panią jedzącą posiłek z nieznanym, może to zaszkodzić pani reputacji.

Nie pomyślała o tym, była jednak zdecydowana go przekonać.

- Jeśli pana przedstawię... wyjaśnię, że był pan przyjacielem ojca i przyjechał, aby powiadomić mnie o jego śmierci, z pewnością nikt nie będzie niczego złego podejrzewał.

Pokręcił przecząco głową.

- To nie robi różnicy - odparł. - Nawet może pogorszyć sytuację. Powinna pani udawać, że się nie znamy. Oczywiście nie licząc spotkania sprzed kilku dni, kiedy pytałem panią o drogę do miasteczka. Nie zostaliśmy sobie jednak formalnie przedstawieni.

- Co pan zamierza zrobić? Dokąd się pan teraz uda?

Delia chciała, by Jude Tucker opowiedział jej przede wszystkim jak najwięcej o jej ojcu, ale także o sobie. Poza tym pragnęła spędzić więcej czasu w jego towarzystwie, chociaż nie potrafiła zdecydować dlaczego. Być może zaciekał ją jako przyjaciel ojca, a może wolała się tak szybko nie rozstawać z posłańcem wiadomości, które w jednej chwili odmieniły jej życie.

- Jeszcze nie wiem. Jestem cieślą, który dobrze zna się na swoim fachu... Myślę, że na pewien czas zostanę w miasteczku i podejmę pracę, aby zdobyć środki pozwalające mi na powrót na zachód.

- Ma pan dobry zawód - zauważyła Delia.

- Tyle że wykonując go, trudno się wzbogacić.

- Jeśli aż tak bardzo się panu śpieszy, powinien pan obrabować bank - powiedziała z przekąsem.

- Pozwolę sobie zauważyć, że to niezbyt dobry pomysł, panno Keller. Czy mam napaść na bank, do którego właśnie się pani wybiera?

- Zaniosę jajka do kuchni, a potem pójdę do miasta - odparła Delia, idąc po koszyk, który zostawiła przy furtce. - Życzę miłego dnia, panie Tucker. Dziękuję za to, że pan się pofatygował i przekazał mi wiadomość o losie mojego ojca oraz o spadku.

- Do widzenia, panno Keller - odpowiedział, sięgając po kapelusz i nasuwając go tak, że rondo zasłoniło oczy. - Gdybyśmy spotkali się w miasteczku, proszę zachowywać się tak, jakbyśmy się nie znali.

Poczuła rosnącą irytację. Do znudzenia przypominał jej o konieczności zachowania ostrożności, a poza tym nie zareagował na jej podziękowania.

- Nie będę miała z tym kłopotu - ucięła.

Tucker wydawał się szczerze jej współczuć, gdy informował ją o śmierci ojca, jednak potem zrobił wszystko, aby poczuła się jak pierwsza naiwna. Cóż, musiała pogodzić się z faktem, że odrzucił zaproszenie na obiad, który miał być wyrazem jej wdzięczności. Na domiar złego odniosła wrażenie, że pozwoliła sobie na zbytnią bezpośredniość. Postanowiła wymazać go z pamięci. Jeśli dopisze jej szczęście, więcej go nie spotka i będzie mogła skupić się na myśleniu o przekazanej przez niego wiadomości, a nie o nim samym.

Idąc bitym traktem, Delia uświadomiła sobie, że żal, jaki ją ogarnął po otrzymaniu wiadomości o śmierci ojca, szybko minął i teraz właściwie go nie odczuwała. Być może stało się tak dlatego, że od lat nie dawał znaku życia i w pewien sposób już dawno dla niej umarł. Miała nadzieję, że aż tak bardzo nie cierpiał w czasie, który upłynął od wypadku do powrotu Tuckera do kopalni, i że przed śmiercią zdążył się pomodlić.

Przypomniała sobie, że ojciec wierzył w Boga. Czasami słuchał, jak się modliła i czytał jej Biblię. Wspólne chwile skończyły się jednak wraz ze śmiercią matki. Ojciec poczuł wtedy tak wielką potrzebę podróży, że nie był w stanie usiedzieć w domu i zająć się córką.

Delia wzdrygnęła się, przypomniawszy sobie, jak często podczas rozmów z dziadkiem unosiła się gniewem na jego wspomnienie.

- Delio, kochanie - mówił wtedy dziadek łamiącym się głosem, przeciągając sylaby - to ludzka reakcja. Trudno się jej dziwić. Lepiej jednak zrobisz, modląc się za ojca, prosząc Boga o to, żeby był bezpieczny i jak najszybciej do ciebie wrócił. Sięgnijmy po Bi-

blię i przeczytajmy przypowieść o synu marnotrawnym. Być może twój ojciec w końcu postąpi tak jak on i będziemy mogli wydać ucztę na jego cześć.

Pielęgnowanie złości w stosunku do zmarłych z pewnością było grzechem. Ojciec nie mógł już do niej wrócić. Po co jednak się modliłam? Prosiłam Boga, by miał go w opiece, błagałam o jego powrót. I po co? Zginął w wypadku w kopalni, setki mil stąd.

„Bóg wysłuchuje naszych modlitw - słyszała głos dziadka tak wyraźnie, jakby stał obok niej - ale czasami mówi nam: nie. I żyjąc tu, na ziemi, nie wiemy, dlaczego taka jest Jego wola”.

A teraz, kiedy jestem bogatą kobietą, rozważała Delia, nie mogę pomóc dziadkowi, dzieląc się z nim moimi pieniędzmi. Jak wspaniale byłoby móc zapewnić mu bezpieczeństwo na starość. Zapewne udałoby jej się namówić dziadka na wprowadzenie się do jej nowego domu, a gdyby nawet uparł się, że zostanie na plebanii, mogłaby przynajmniej przeprowadzić remont, zadbać o naprawę przeciekającego dachu i pomalowanie ścian.

Pomyślała, że dziadek zapewne nalegałby, żeby wspomogła misje w Afryce. Łzy zebrały się jej pod powiekami i zaczęły spływać po policzkach. Była pogrążona w głębokiej żałobie po śmierci dziadka, jednak nie potrafiła oplakiwać ojca.

Miasteczko Llano Crossing rozpościerało się za okolonym drzewami zakrętem znajdującym się w pobliżu kościoła i plebanii. Jude Tucker przywiązał konia do pnia jednej z topoli rosnących wzdłuż brzegu rzeki. W dalszą drogę ruszył pieszo, trzymając się w bezpiecznej odległości od Delii. Nie chciał zostać przez nią zauważonym. Z zadowolaniem stwierdził, że stosując się do jego rady, udała się prosto do banku. Nie zatrzymała się na pogawędki z pozdrawiającymi ją mieszkańcami miasteczka.

Nie spodziewał się, że Delia Keller jest tak piękną dziewczyną. Jej ojciec ani słowem nie wspomniał o tym, kiedy ramię przy ramieniu pracowali w kopalni, ani później, gdy umierał pod jej gruzami. Nie przygotował Jude'a na to, że zobaczy ogromne zielone oczy, wąski nos, różane wargi i twarzyczkę w kształcie serca, delikatnie usianą piegami. Jude domyślał się, że kiedy Will zegnał się z córką przed wyjazdem na zachód, Delia była niezgrabną dziewczynką w wieku dojrzewania i nie zdążyła przeistoczyć się w piękność.

Był więcej niż pewny, że Delia nie zdaje sobie sprawy ze swej urody. W zielonych oczach kryła się niewinność. Ufnie patrzyła mu w twarz, prosząc go, aby towarzyszył jej w drodze do banku i zapraszając go na obiad. Być może działo się tak dlatego, że dopiero co dowiedziała się o śmierci ojca. Jude był przyzwyczajony do towarzystwa kobiet, które dobrze wiedziały, jakie sztuczki należy stosować, aby zwrócić na siebie uwagę mężczyzny.

Skromna czarna suknia zapięta pod szyją świadczyła o tym, że Delii obca jest kobieca próżność, nawet jeśli wziąć pod uwagę okres żałoby. Nie wykluczał, że pożyczyla suknię. Znał kobiety, które olśniewająco prezentowały się w czerni, jednak Delia z pewnością do nich nie należała. Zdecydowany, ciemny kolor potęgował bladość jej cery, a mimo to wciąż pozostawała piękną.

Dysponując bogactwem, o jakim większość kobiet mogła jedynie pomarzyć, Delia będzie mogła łatwiej przejść przez okres żałoby. Zapewne sprawi sobie żałobne suknie z tkanin lepszego gatunku, nową biżuterię i odpowiednio dobrane kapelusze, co pozwoli jej zrezygnować z noszenia brzydkiego czepka z wystającym z przodu daszkiem.

Eleganckie suknie i zmiana statusu - z biednej sieroty Delia stała się dziedziczką fortuny - z pewnością przyciągną wielu mężczyzn. Jude miał nadzieję, że Delii Keller nie zabraknie umiejętności oddzielania ziarna od plew. W przeciwnym razie bezpośrednia i szczerą dziewczyna może stać się ofiarą jakiegoś złotoustego łowcy posagu, który omami ją pięknymi słówkami, a potem, już jako mąż, zapewni sobie wyłączny dostęp do pieniędzy, które odziedziczyła po ojcu.

Po tym, jak Will Keller stał się bogatym człowiekiem, sugerował, że Jude mógłby ożenić się z jego córką i nią zaopiekować.

- Powinieneś pojechać do Llano Crossing i poślubić moją córkę. Pasowałibyście do siebie.

Ofuknął wtedy Willa za te słowa.

- Po co twojej córce ktoś taki jak ja? Poza tym prawdopodobnie nigdy się nie spotkamy. Teraz, kiedy udało ci się zgromadzić fortunę, lada chwila wrócisz do domu, a ja będę dalej szukał szczęścia.

- Albo bogatej wdowy - zażartował Will, ocierając pot z czoła.

W odpowiedzi Jude jedynie pokręcił głową z dezaprobatą. Miał już serdecznie dość wdów, zwłaszcza tych, które niespodziewanie okazywały się mężatkami. Liczył na to, że pewnego dnia spotka odpowiednią kobietę i wraz z nią osiedzie na stałe w jakimś miejscu. Z pewnością jednak nie był godny niewinnej dziewczyny takiej jak Delia, wnuczka pastora. Wiedział o tym dobrze od czasu znajomości z Norą.

- To niezwykła wiadomość, panno Keller - powiedział Amos Dawson, dyrektor banku, zdejmując okulary w metalowej oprawie. Odłożył na biurko dokument przekazany mu przez Delię i skrzyżował ręce na wydatnym brzuchu. - Naprawdę nie miała pani pojęcia o tym, że ojciec zgromadził tak wielką fortunę?

- Nie - potwierdziła, czując się niepewnie pod spojrzeniem czarnych koralikowych oczu. Pan Dawson przywodził jej na myśl starego koguta dziadka. Władczy kur tak właśnie na nią łytał tuż przed tym, nim boleśnie dziobnął ją w nogę. - O niczym nie miałam pojęcia. Dziadek i ja od lat nie otrzymaliśmy żadnych wiadomości od ojca. Nie wiedzieliśmy nawet, czy żyje.

- Jak weszła pani w posiadanie tego dokumentu? Nadszedł pocztą?

Delia miała ochotę skłamać, by uniknąć pytań na temat Jude'a Tuckera, zwłaszcza po tym, jak kilkakrotnie prosił ją, aby nie przyznawała się, że go zna. Jednak Dawson bez trudu mógł dowiedzieć się prawdy od naczelnika poczty w Llano Crossing, znanego plotkarza. Doskonale się orientował, kto i skąd otrzymuje przesyłki, i chętnie dzielił się tą wiedzą z wszystkimi, których to interesowało.

- Przywiózł mi go człowiek, który pracował z ojcem.

Dawson nie przestawał się jej natarczywie przyglądać. Delia czuła, że na jej szyję, drażnioną ciasnym kołnierzykiem sukni, wpełza rumieniec.

- Będziemy musieli wysłać telegram do banku w Nevadzie, aby potwierdzić autentyczność dokumentu - powiedział w końcu Dawson.

Delia stropiła się. Powinna była wiedzieć, że bank nie może od razu uznać, że zaświadczenie jest prawdziwe i wypłacić jej pieniędzy. Taki dokument mógł przecież zostać zręcznie podrobiony.

- Tak przypuszczałam - powiedziała, starając się przybrać naturalny ton. - To oczywiste.

Dawson zdawał się podziwiać jej opanowanie.

- Zapewniam panią, panno Keller, że bezzwłocznie przystąpimy do wyjaśniania tej sprawy. Przypuszczam jednak, że będziemy musieli poczekać kilka dni na odpowiedź. Obawiam się, że w tym czasie nie będziemy mogli... to znaczy bank nie będzie mógł podjąć żadnych działań na podstawie tego dokumentu.

Delia kiwnęła głową.

- Rozumiem. - Wstała, rozumiejąc, że rozmowa jest zakończona.

Nie poczuła się zawiedziona. Była biedna, budząc się tego ranka, i z pewnością przez kilka dni da sobie radę, żyjąc z drobnych oszczędności, tak jak czyniła to dotychczas. Żałowała jedynie, że nie wzięła ze sobą jajek - będzie teraz musiała wrócić po nie do domu albo nazajutrz wypić herbatę bez cukru.

Dawson również się podniósł.

- Panno Keller, zakładając, że dokument jest autentyczny, to wspaniała wiadomość. Wyobrażam sobie, co się będzie działo, jak wszyscy dowiedzą się o pani spadku.

Delia zmartwiała. Dawson niemal zacierał ręce z radości, najwyraźniej mając ochotę natychmiast rozpowszechnić nowiny.

- Żywię nadzieję, że mogę polegać na pańskiej dyskrecji, panie Dawson. Nie chciałabym stać się obiektem plotek, a zwłaszcza do czasu potwierdzenia autentyczności dokumentu.

Dawson zakaszłał i cofnął się o krok, a jego twarz w jednej chwili stała się na powrót nieprzenikniona, jakby czyjaś niewidzialna dłoń starła z niej wszelkie emocje.

- To oczywiste, panno Keller. W naszej pracy obowiązuje ogromna dyskrecja. Nie musi się pani niczego obawiać. Proszę jednak sobie wyobrazić, jak ogromne możliwości otwiera przed panią wejście w posiadanie takiej sumy. Nasz bank z przyjemnością udzieli pani wszelkiej pomocy, jeśli zaistnieje taka potrzeba.

- Cieszę mnie pańskie słowa. Proszę mnie zawiadomić, kiedy otrzyma pan potwierdzenie z Nevady. Do widzenia, panie Dawson.

Wyszła z gabinetu, nie posiadając się ze zdumienia nad niezwyklej przemianą, która zaszła u dyrektora banku po usłyszeniu wiadomości o jej spadku. Nic dziwnego, że

dziadek nie chciał mieć do czynienia z Amosem Dawsonem częściej, niż było to absolutnie konieczne.

W zamyśleniu pchnęła ciężkie, bogato rzeźbione drzwi banku, omal nie wpadając na Charlesa Ladleya, syna burmistrza.

- Dzień dobry, panno Keller - przywitał ją, wyciągając rękę, by Delia mogła odzyskać równowagę. - Mam nadzieję, że u pani wszystko w porządku? Czy mógłbym w czymś pomóc?

Delia poczuła rozbawienie na widok jego zaniepokojonej twarzy. Zapewne pomyślał, że przyszła do banku prosić o pożyczkę.

- Dziękuję panu, Charles. Wszystko jest w jak najlepszym porządku - odparła pogodnym tonem. - Niemniej jednak dziękuję panu za troskę i za chęć udzielenia mi pomocy.

Przyjrzał się jej uważnie.

- To dobra wiadomość. Powie nam pani, jeśli będzie czegoś potrzebować?

„Nam” odnosiło się do rodziny Ladleyów, filarów miejscowej społeczności.

- Oczywiście, że tak. Proszę serdecznie pozdrowić ode mnie mamę. - Uśmiechnęła się i wyszła na ulicę.

Pomyślała, że ciekawie będzie się przekonać, jak ten mężczyzna, z którym niegdyś wiązała wielkie nadzieje, potraktuje ją, gdy się dowie, że Delia nie jest już biedną szarą myszką.

Rozdział czwarty

Jude nakładał na widelec porcję soczystej wołowiny, siedząc w hotelowej restauracji przy oknie, gdy ujrzał wychodzącą z banku Delię Keller. Wyprostował się bezwiednie, bo omal nie zderzyła się z wytwornie ubranym mężczyzną, który po rycersku obronił ją przed upadkiem. Nie uszło uwagi Jude'a, że mężczyzna podtrzymywał Delię dłużej, niż było to konieczne. Miał ochotę wybiec z restauracji i przywołać go do porządku. Zobaczywszy jednak, że Delia się uśmiecha, pozostał przy stoliku. Widocznie znała sztywnie ubranego młodzieńca, najprawdopodobniej wywodzącego się ze środowiska, do którego właśnie uzyskała wstęp.

Mimo że spotkanie trwało krótko, Jude poczuł ukłucie zazdrości, widząc, jak Delia serdecznie żegna się z eleganckim młodym człowiekiem. Bezwiednie zacisnął dłoń w pięść, patrząc jak on z aprobatą odprowadza wzrokiem odchodzącą Delię.

- Nalać panu kawy? - usłyszał cichy kobiecy głos. Odwrócił głowę i zobaczył stojącą przed nim kelnerkę, trzymającą dzbanek. Była ładna i uśmiechała się do Jude'a tak, jakby byli dobrymi przyjaciółmi. - Jestem Polly. Zapewne niedawno przyjechał pan do naszego miasteczka? - dodała, trzepocząc rzęsami.

Jude poczuł woń tanich kwiatowych perfum.

- Dziękuję - mruknął, celowo nie zadając sobie trudu, by odpowiedzieć na jej pytanie.

Nie przedstawił się. W milczeniu podsunął jej filiżankę i zapatrzył się w okno. Kelnerka nalała kawę, lecz najwyraźniej nie zamierzała odejść.

- Kim jest ten elegancki młody człowiek, stojący przy wejściu do banku? - Nie był tego specjalnie ciekaw, chciał jednak powstrzymać kelnerkę przed zadawaniem mu dalszych pytań.

Przyłożyła dłoń do czoła, by osłonić się przed promieniami słońca i mrużąc oczy, spojrzała przez zakurzoną szybę.

- To Charles Ladley, syn burmistrza - wyjaśniła, pochylając się ku Jude'owi. - To bardzo sztywny dżentelmen - dodała z westchnieniem. - Chciałabym, żeby do mnie też się uśmiechnął. Myślę, że Kellerówna nie może sobie niczego po nim obiecywać.

- Co pani ma na myśli? - spytał Jude, siląc się na obojętny ton.

Wiedział, że nie powinno go to obchodzić, jednak nie potrafił pohamować ciekawości.

Polly wzruszyła ramionami.

- Swój Ignie do swego, a Ladleyowie są bogaci jak król Midas. Natomiast wnuczka pastora, Delia Keller, bo to właśnie z nią rozmawiał pan Ladley, jest uboga jak mysz kościelna. A teraz, po śmierci dziadka, pastora McKinneya, znalazła się w szczególnie trudnej sytuacji. Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby zatrudniła się jako kelnerka, tak jak ja. - W głosie Polly pobrzmiwała z trudem skrywana satysfakcja.

Dziewczyno, wkrótce, jak tylko nowina się rozejdzie, będziesz jej zazdrościć, pomyślał Jude. Oczywiście nie zamierzał nikogo wtajemniczać w sprawy córki przyjaciela. Status Delii Keller niespodziewanie się zmienił, a syn burmistrza stał się równym jej partnerem. Wszelkie przeszkody stojące tym dwojgu na drodze do wspólnego szczęścia stopiły się jak lód w teksańskim słońcu.

- Panno Polly - zwrócił się do kelnerki - jestem pewien, że odpowiedni mężczyzna właśnie pani szuka. Kiedy się odnajdziecie - dodał, chcąc podnieść ją na duchu - okaże się wspaniałym narzeczoną, a później mężem. Będzie pani bardzo zadowolona, że nie traciła czasu na pana Ladleya.

Kelnerka wyraźnie się ożywiła. Jude zdał sobie sprawę, że bardzo się mylił, mając nadzieję, że Polly zostawi go w spokoju.

- Powiedział pan takie cudowne słowa, mimo że się nie znamy - zaszczębiotała uwodzicielsko. Szybko rozejrzała się po sali, żeby się przekonać, czy w pobliżu nie ma właściciela hotelu, po czym zbliżyła się do Jude'a i zagadnęła: - Zapomniałam, skąd pan pochodzi.

- Nie powiedziałem tego pani - rzekł, ostentacyjnie wpatrując się w okno.

Liczył na to, że kelnerka domyśli się przyczyny takiego zachowania. Tymczasem Polly okazała się nieustępliwa.

- Zamierza pan zatrzymać się u nas na dłużej? Pracuję do siódmej, ale potem mogłabym oprowadzić pana po miasteczku.

To zajęłoby najwyżej pięć minut, uznał Jude.

- Dziękuję, panno Polly, ale...

- Moglibyśmy też w sobotę pójść na spotkanie połączone z degustacją potraw miejscowych gospodyń, tradycyjnie organizowane przy kościele - wpadła mu w słowo. - Znam wszystkich mieszkańców Llano Crossing, więc bym pana z nimi poznała.

Zrobiło mu się żal dziewczyny. Mimo że nawet się nie przedstawił, wręcz mu się narzucała. Uniósł rękę, czując, że musi powstrzymać te zapędy.

- Panno Polly, doceniam pani uprzejmość. Llano Crossing jest bardzo miłym miasteczkiem, lecz nie zamierzam długo w nim zabawić. Jutro wybiorę się na przejażdżkę albo podejmę się dorywczego zajęcia, a potem wrócę na Zachód.

Polly posmutniała, jej błyszczące entuzjazmem oczy przygasły.

- Rozumiem. Chciałam mile pana powitać w naszej okolicy, nic więcej. Może skusi się pan na tartę brzoskwińową?

Jude przecząco pokręcił głową i poprosił o rachunek. Chętnie zjadłby deser, postanowił jednak wyjść z restauracji, zanim kelnerka dojdzie do wniosku, że za szybko się poddała. Zostawił na stoliku dolara za posiłek i dziesięć centów napiwku.

Idąc przed siebie w popołudniowym słońcu, rozważał różne możliwości. Przyszło mu do głowy, że mógłby wstąpić do baru. W czasie wojny często bywał w gospodach, aby w oparach alkoholu zapomnieć o krwawych walkach, które doprowadziły do śmierci i okaleczenia wielu żołnierzy. Nie wyniknęło z tego nic dobrego ani dla niego, ani dla jego towarzyszy. Pewnego dnia, wychodząc z tawerny w Wirginii, mając umysł zmacony whisky, spotkał Norę.

Przestań o niej myśleć, nakazał sobie w duchu, to przeszłość. Wyciągnij wnioski z tego, co się stało, i żyj dalej. Najrozsądniej byłoby wyprowadzić Shiloha ze stajni i wyjechać z Llano Crossing, kierując się na zachód. Zatrzymywałby się na postoje, gdyby poczuł zmęczenie, spał pod gołym niebem i żył z darów ziemi w drodze pomiędzy Teksasem a Nevadą. Nie czułby się odpowiedzialny za Delię Keller, rozpoczynając nowy etap życia, które odtąd miało upływać w spokoju i dostatku. Swoją drogą, odniósł wrażenie, że syn burmistrza chętnie zaopiekowałby się nią.

Zaraz jednak opadły go wątpliwości. Czyż nie podjął moralnego zobowiązania wobec zmarłego przyjaciela, Willa Kellera? Czy nie powinien się upewnić, że osierocona córka daje sobie radę w życiu, nawet jeśli nie zamierzał się z nią ożenić?

W każdym razie byłoby nieroztropnością opuszczać Llano Crossing już teraz, skoro zapłacił za nocleg w hotelu. Nazajutrz obmyśli jakiś plan. Shiloh odpoczywał w stajni. Może należałoby wziąć ogiera na przejażdżkę po wzgórzach otaczających Llano Crossing? Wróciliby wieczorem zmęczeni, lecz obaj zadowoleni. Galop na końskim grzbiecie pomógłby Jude'owi choć częściowo zapomnieć o bolesnej przeszłości.

W ciągu kwadransa osiodłał konia i skierował go na ulice miasteczka. Pozostała część popołudnia i wczesny wieczór minęły Jude'owi i jego wierzchowcowi na zwiedzaniu okolicznych wapiennych wzgórz porośniętych jadłoszynami i drzewami cedrowymi. Wspinali się mozolnie dopóty, dopóki rzeka Llano nie stała się srebrną wstęgą, wijącą się wokół przypominających pudełeczka zabudowań. Wysoko na niebie szybowały jastrzębie, korzystając z wznoszących prądów powietrznych. Wrony i przedrzeźniacze latały pomiędzy cedrami, a od czasu do czasu pojawiały się kukawki. Szukały owadów i węży, stanowiących ich pokarm.

Mijali rancza z wydzielonymi zagrodami dla koni. Jude czuł, że powinien się zatrzymać i pytać, czy właściciele rancz nie potrzebują pomocnika, jednak brakowało mu zdecydowania. Cieszył się samotnością i możliwością zastanowienia się nad własnym życiem.

Słońce mocno paliło go w plecy. Przystanąwszy, by Shiloh w cieniu topoli mógł się napić wody ze strumienia, przypomniał sobie, jak dawniej wyprawiał się na samotne przejażdżki, żeby czerpać z natury natchnienie do kazań. Miał wrażenie, że to wszystko działo się przed wiekami.

W tamtych beztroskich dniach martwił się jedynie o to, aby starannie opracować kazanie na niedzielne nabożeństwo, i zastanawiał, kiedy Bóg da mu żonę. W każdą niedzielę rano w pierwszym rzędzie ławek siedziało kilka niezamężnych młodych kobiet i jedna lub dwie wdowy. Uśmiechały się do niego, lecz żadna nie wydawała mu się odpowiednią kandydatką na żonę. Wierzył, że Pan opromieni taką kobietę niezwykłym blaskiem. Jednak czas mijał, a Jude się nie doczekał.

A potem kraj pogrążył się w bratobójczej wojnie i Jude uznał, że nie jest to właściwa pora na ożenek. Nie chciałby zostawiać w domu żony, być może noszącej w łonie dziecko, która w każdej chwili mogła zostać wdową. Służył jako kapelan w armii i postanowił odłożyć plany matrymonialne do zakończenia wojny, gdy, jak przypuszczał, ponownie obejmie parafię w Mount Mulberry.

Wiedział, że w czasie wojny wiele może się zdarzyć, i wydawało mu się, że jest na to przygotowany. Rzeczywistość okazała się gorsza, niż był w stanie to sobie wyobrazić. Wojenne przeżycia zmieniły go nie do poznania. Nawet nie próbował wrócić do Mount Mulberry. Nie był w stanie sprawować kościelnej posługi jako pastor ani w swej parafii, ani gdziekolwiek indziej.

Zapadał zmierzch. Jude i Shiloh zjechali ze zbocza, kierując się w stronę drogi prowadzącej do miasteczka. Jude nucił „Tenting Tonight”, pieśń z okresu wojny secesyjnej, gdy wtem w oddali rozległ się strzał, który po chwili rozszedł się echem wśród wzgórz. Ogier znieruchomiał i zastrzygł uszami, po czym parsknął i kwiknął, jakby w odpowiedzi na czyjeś wołanie.

Jude umilkł i wyteżył słuch. Po chwili usłyszał cichy jęk dochodzący spomiędzy gęstwiny jadłoszynów i cedrów. Skierował wierzchowca w stronę, z której dobiegł go czyjś głos. Zręcznie manewrował pomiędzy kaktusami, krzewami i niskimi drzewami. Wkrótce ujrzał starszego mężczyznę. Siedział na wapiennej skale, trzymając się za prawe ramię. Kapelusz z obwisłym rondem zasłaniał mu twarz.

- Halo, przyjacielu. Miałem szczęście, że usłyszałem, jak nadjeżdżasz. Chyba złamałem rękę. Chciałem iść dalej, ale zrobiło mi się słabo i bałem się, że zemdleję.

Jude zsiadł z konia.

- Co się stało? - zapytał, podchodząc do mężczyzny.

- Wybrałem się na przejażdżkę po moich dawnych terenach. Należały do mnie, dopóki ja i żona nie zestarzeliliśmy się na tyle, że nie mogliśmy dłużej się zajmować ranchem. Przeprowadziliśmy się do miasteczka. Sprzedałem ziemię właścicielowi sąsiedniego rancha, Dixonowi Millerowi, chociaż za nim nie przepadałem. Jechałem stępą, gdy ktoś strzelił. Sądzę, że nie do mnie, ale gdzieś w pobliżu. Koń tak się spłoszył, że mnie zrzucił i pogalopował dalej. Nie widział go pan czasem?

Jude zaprzeczył.

- Nie wiem, gdzie mógł się podziać, ale nie zdziwiłbym się, gdyby chłopaki Millera go znalazły i zaprowadziły na swoje ranczo. Przecież chciałem tylko popatrzeć na dawny dom... - Wyprostował się z trudem. - James Heston - przedstawił się i wyciągnął przed siebie lewą rękę, krzywiąc się z bólu, gdy prawa została bez podpórki.

Miał pobrużdżoną, wyrazistą twarz i śmiałe, szczere spojrzenie.

- Jude Tucker. Pomogę panu dosiąść mojego Shiloha i udamy się do miasteczka. Czy w Llano Crossing mieszka lekarz?

- Nie posłałbym do niego najgorszego wroga, nie mówiąc już o sobie samym - podkreślił James Heston. - Zresztą, nie trzeba zawracać głowy doktorowi. Nie ma żadnego przemieszczenia. - Przesunął dłonią po ramieniu, jakby dla potwierdzenia trafności diagnozy. - Mój dom znajduje się za tym wzgórzem. Wystarczy, że pomoże mi pan się tam dostać, panie Tucker. Żona z wdzięczności zaprosi pana na kolację.

Jude pomógł Hestonowi wsiąść na konia. Shiloh był tak dobrze ułożony, że nie protestował, biorąc na grzbiet nieznanego. Ruszyli w stronę miasteczka; Jude szedł obok wierzchowca.

W połowie drogi znaleźli konia Hestona. Zwierzę, najwyraźniej zmęczone długim biegiem, skubało trawę. Jude dosiadł wierzchowca, nie chcąc narażać zbolącego Hestona na zmianę koni, i tak dojechali do celu.

- Wspaniały posiłek, pani Heston - szczerze pochwalił gospodynię Jude, odsuwając się od stołu, na którym pozostały resztki kolacji: pieczonego kurczaka, fasoli, chleba kukurydzianego i tarty z brzoskwiniami. Najwyraźniej było mu pisane skosztować tarty tego dnia, mimo że zrezygnował z niej w restauracji hotelowej.

Miła, pulchna kobieta z pasmami siwych włosów wymykających się z koka, uśmiechnęła się do niego.

- Cieszę się, że przynajmniej w ten skromny sposób mogłam się panu odwdziżyć za przywiezienie mojego Jima do domu - powiedziała z ciepłym uśmiechem. - Było nam bardzo miło. Nieczęsto mamy okazję kogoś gościć.

- Moja żona jest najlepszą kucharką w tych stronach - pochwalił się James Heston.

Nie zjadł dużo, mimo że żona odkroiła mu kawałek kurczaka i posmarowała chleb kukurydziany. Prawe przedramię Hestona tkwiło w szynie i było zawieszona na temblaku z jaskrawożółtego płótna. Być może ból odebrał mu apetyt.

- Dziękuję, Jim. - Pani Heston się rozpromieniła. - Co sprowadza pana w te strony, panie Tucker?

- Przyjechałem tu w interesach. Pracuję w kopalni w Nevadzie - wyjaśnił ogólnikowo. - Zamierzam wrócić na zachód, jak tylko uda mi się zgromadzić trochę pieniędzy na podróż.

Państwo Hestonowie wymienili spojrzenia.

- Szuka pan pracy? - spytał Heston.

- Można to tak ująć. Jestem cieślą, ale jeśli chodzi o prace budowlane, to potrafię zrobić prawie wszystko.

- Będę musiał zatrudnić kogoś do pomocy, dopóki moje stare kości się nie zrosną. Jak zapewne pan zauważył, kiedy szliśmy do domu ze stajni, dobudowuję pokój.

Sądząc po tym, co Jude zobaczył, Heston był w połowie prac nad przybudówką.

- Nie możemy pana solidnie wynagrodzić, ale będzie mógł pan mieszkać i żywić się u nas za darmo tak długo, jak tylko pan sobie życzy. Na pewno wypadnie taniej niż w hotelu czy pensjonacie.

Jude zorientował się, że Hestonom zależy na jego zgodzie. Jemu ta propozycja spadła jak z nieba.

- Dziękuję. Z wielką przyjemnością zatrzymam się u państwa na jakiś czas - rzekł, wzruszony okazaną mu dobrocią.

Rozdział piąty

„Niewiastę dzielną któż znajdzie?”* - przeczytała Delia w ostatnim rozdziale Księgi Przysłów. Minęło trzy dni od pamiętnej wizyty Jude'a Tuckera, kiedy to dowiedziała się jednocześnie o śmierci ojca i spadku. Uwielbiała czytać Biblię na ganku. Poranne słońce pomалу rozgrzewało zużyte drewno bujanego fotela. Starła się nie zwracać uwagi na skrzekliwe odgłosy wydawane przez gwarki, szukające robaków w trawie. Usiłowała się skupić na modlitwie.

* Wszystkie cytaty pochodzą z Biblii Tysiąclecia, wydanej po raz pierwszy w 1965 r. przez Wydawnictwo Pallotinum. Polski przekład Biblii został zainicjowany przez benedyktynów tyńskich z Krakowa, (przyp. tłum.).

Uniosła filiżankę do warg. Miała serdecznie dość picia kawy bez cukru. Poprzedniego dnia wskrobała ostatnie kryształki z cukierniczki. Znów trzeba będzie pójść do miasteczka i sprzedać jajka. Żywiła nadzieję, że Amos Dawson zobaczy ją przechodzącą koło banku i wybiegnie na zewnątrz, aby przekazać wiadomość, że została potwierdzona autentyczność dokumentu, uprawniającego ją do pieniędzy pozostawionych przez ojca.

„Delio, później przyjdzie czas na zajęcie się sprawami doczesnymi. Bóg potrzebuje teraz twojego skupienia” - wydawało jej się, że słyszy wypowiedziane słabym, łamiącym się głosem słowa dziadka.

Niedługo będą mogła kupić kolczyki z granatów, o których marzyłam, odkąd zobaczyłam je na wystawie u jubilera, pomyślała Delia. Oby nikt ich nie kupił, dopóki bank w Nevadzie nie udzieli pozwolenia na wypłacenie mi pieniędzy. To byłoby cudowne - pójść do jubilera i na początek sprawić sobie te kolczyki. W tym momencie przypomniały jej się słowa: „Miłość pieniędzy jest korzeniem wszelkiego zła”. Odniosła wrażenie, że wypowiada je wilebny McKinney.

Czyż nie ma prawa się cieszyć z niespodziewanego daru od ojca? Wraz z dziadkiem przez wiele lat żyli bardzo skromnie, musieli oszczędzać i długo zastanawiali się nad każdym wydatkiem. Przebiegła wzrokiem stronicę zaczytanego egzemplarza Biblii z wieloma odręcznymi notatkami pastora na marginesie.

Delia marzyła o dużym, wygodnym, pomalowanym na biało drewnianym domu z mnóstwem pokoi. Jeden z nich zamierzała przeznaczyć na garderobę, w innym planowała przechowywać biżuterię, jeszcze inny przeznaczała na salon. Myślała nawet o sali balowej na piętrze i werandzie obejmującej dom co najmniej z dwóch stron.

Czytając kolejne linijki Księgi Przysłów, opisujące dzielną kobietę wstającą o świcie i pracującą tak długo, że jej lampa wśród nocy nie gaśnie, doszła do fragmentu: „Jej szaty z bisioru i purpury”. Czyż to nie było wspaniałe? Marzyła o ozdobionej koronką jedwabnej bieliźnie pod jedwabną suknią z turniurą, a purpura zawsze była jednym z jej ulubionych kolorów. Być może jeszcze tego dnia uda jej się obejrzeć pierwszorzędного gatunku tkaniny w sklepie. Nie robiła tego nigdy wcześniej, ponieważ nie miało to sensu.

Jesteś w żałobie, przypomniała sobie. Poczula się winna i zawstydzona swoją próżnością. Przyzwoitość wymagała, by w najbliższym czasie Delia pokazywała się wyłącznie w czarnych strojach. Potem należało bardzo powoli zmieniać kolory ubrań, łamiąc czerń szarością lub bladym fioletem.

„W bramie jej mąż szanowany, gdy wśród starszyny kraju zasiądzie”.

- Panno Delio? - usłyszała czyjś znajomy głos, gdy była w połowie dwudziestego trzeciego wersu. Uniósłszy wzrok, zobaczyła przed plebanią okazałe lando. Charles Ladley szedł ku niej brukowaną ścieżką. W jednej ręce miał rzeźbioną laskę z drewna mahoniowego, w drugiej trzymał bukiet aksamitnych czerwonych róż.

Zerwała się na nogi, nie wierząc własnym oczom. Gwałtowny ruch sprawił, że porcelanowa filiżanka spadła z oparcia fotela. Jakimś cudem się nie rozbiła, wylądowawszy w fałdach szala, który Delia zdjęła z ramion, gdy rozgrzała się ciepłym napojem. Filiżanka była jednak w połowie pełna i brązowy płyn wylał się na bawełnianą suknię i wsiąkł w ciemny szal.

- Och... Charles... Przepraszam, nie widziałam, jak pan nadchodzi... - wyjąkała, zmieszana.

Musiała przedstawiać sobą żaloszny widok. Nie zmieniła uczesania od poprzedniego wieczoru, kiedy przed snem splotła włosy w warkocz, a niesforne kosmyki opadały jej na twarz. W dodatku miała na sobie suknię, którą włożyła, idąc nakarmić kury. Za-

mierzała się przebrać przed pójściem do miasteczka. Pozostawało mieć nadzieję, że nie jest oblepiona kurzem pierzem...

- To ja powinienem przeprosić za to, że przerwałem pani modlitwę - odrzekł z uśmiechem. - Przyjechałem, żeby wręczyć pani bukiet - dodał, wyciągając rękę, w której trzymał róże. - Zerwałem je rano w ogródku mamy. Oczywiście za jej pozwoleniem. - Zmrużył oko.

Szkarłatne płatki zaślniły w słońcu kropelkami rosy.

- Bardzo dziękuję. - Delii wydawało się, że śni.

Charles Ladley przyniósł jej kwiaty! Nie do wiary!

- Napije się pan kawy? - spytała, biorąc od niego róże.

Wolała, by nie zauważył, że jej dłoń drży. Przepelniała ją radość. Jak cudownie byłoby usiąść na ganku i popijać kawę z Charlesem Ladleyem. Marzyła o tym, by wścibska sąsiadka, pani Purvis, wychylnęła wtedy ze swej kuchni i zobaczyła ich pogrążonych w rozmowie.

Charles uśmiechnął się przepaszająco.

- Niestety, nie mogę zostać. Muszę się udać na zebranie członków komitetu, które wkrótce się rozpocznie. - Wyjął złoty zegarek z kieszeni kamizelki.

- Dosłownie za kilka minut. Chciałem, by pani wiedziała, że ojciec, mama i ja często o pani myślimy, i zapytać panią, czy zgodziłaby się pójść ze mną na spotkanie przy kościele w najbliższą sobotę. Wiem, że do soboty pozostało niewiele czasu i zapraszam za późno. Zapewne już dawno zgodziła się pani towarzyszyć jakiemuś przystojnemu kawalerowi z licznego grona wielbicieli... - Urwał, jakby niepewny odpowiedzi Delii.

Miała ochotę głośno się roześmiać. Czyżby istotnie Charles podejrzewał, że otacza ją wianuszek adoratorów?

- Szczerze mówiąc, nikomu jeszcze niczego w tej sprawie nie obiecywałam - odparła, uważając, by nie przyznać się do tego, że nie otrzymała żadnej propozycji wspólnego spędzenia sobotniego wieczoru. - Chodziłam na te spotkania z dziadkiem... - Głos jej się załamał.

- Och! Nie chciałem pani zasmucić, panno Delio. - Charles pochylił się, by otrzeć zbłąkaną łzę na jej policzku. - Jeśli uważa pani, że jest za wcześnie na uczestnictwo w

takim spotkaniu, oczywiście panią zrozumieć - dodał, lecz nie zdołał ukryć rozczarowania.

- Ależ... Nie! - zapewniła pośpiesznie, aby Charles nie uznał, iż jest tak głęboko pogrążona w smutku, że nie nadaje się na towarzyszkę wieczoru. - Prawdopodobnie dziadek chciałby, bym poszła na przyjęcie i znalazła się wśród ludzi.

Ladley poweselał.

- W takim razie pójdziemy razem i wzniesiemy szklaneczki ponczu za spokój duszy pani świętej pamięci dziadka. Przyjadę po panią o szóstej, jeśli to pani odpowiada, panno Delio.

- Doskonale. Zdaje pan sobie sprawę z tego, że... Czy nie będzie panu przeszkadzać, że będę ubrana na czarno?

Delia od dawna marzyła o tym, żeby Charles Ladley gdzieś ją zaprosił, a teraz, kiedy do tego doszło, musiała wystąpić w sukni o tak smutnej barwie. Wiedziała jednak, że jeśli złamałaby zasady dotyczące żałoby, zostałaby nieprzychylnie oceniona przez miejscową społeczność.

- Jak mógłbym mieć coś przeciwko temu? Panno Delio, zawsze podziwiałem pani dzielność, pani... - szukał odpowiedniego słowa - szlachetność. Będę zaszczycony, mogąc pokazać się w pani towarzystwie, nawet jeśli ubierze się pani w worek, oczywiście ufarbowany na czarno.

Zachichotała, wyobraziwszy sobie siebie w takim stroju.

- Obiecuję, że kiedy przyjedzie pan po mnie w sobotę, nie będę miała na sobie worka.

- Zatem jesteśmy umówieni. - Charles skłonił głowę. - Sobota o szóstej.

Delia odprowadziła go wzrokiem. Zauważyła, że oszczędza lewą nogę, lekko wspierając się na lasce.

- Pan utyka.

Wzruszyła się, widząc, że Charles natychmiast przystaje i się odwraca, najwyraźniej niechętnie kończąc wizytę. Delia również była niepokieszona, że ich spotkanie trwało krótko.

- Czyżby odezwała się rana wojenna?

Mieszkańcy Llano Crossing wiedzieli, że syn burmistrza zaciągnął się do pierwszego sformowanego pułku teksańskiej kawalerii i został ranny, po czym odesłany do domu w połowie wojny.

- Panno Delio, jest pani chodzącą dobrocią - powiedział. - Owszem, stara rana się odzywa, kiedy zanosi się na deszcz. Mam nadzieję, że w sobotę będę mógł zostawić łaskę w domu.

Serce Delii ścisnęło się współczuciem, gdy zobaczyła, jak Charles stara się nie skrzywić z bólu, wsiadając do powozu. Gdy zniknął za zakrętem drogi, Delia nie posiadała się z radości. Pomyślała, że wprawdzie wystąpi w czerni, ale nigdzie nie jest powiedziane, że żałobnym strojem musi być okropna pożyczona suknia, którą włożyła w dniu pogrzebu dziadka.

Wprawdzie widziała na wystawie pracowni modniarskiej czarną jedwabną suknię z dekoltem i mankietami ozdobionymi satynową wstążką, lecz gdy jej wzrok padł na cenę, uznała, że nie może sobie pozwolić na taki wydatek. Liczyła na to, że jeśli szepnie panie Susan słówko na temat spadku, krawcowa zgodzi się poczekać na zapłatę i dokona niezbędnych przeróbek.

Popatrzyła w niebo, zastanawiając się, czy w sobotę będzie padać. Na zachodzie tworzyły się chmury. Nie zauważyła ich w czasie rozmowy z Charlesem. Być może trzeba zaczekać z wyprawą do miasteczka, uznała.

Na szczęście w porę przypomniała sobie o istnieniu parasolek. Panna Delia Keller, która lada dzień stanie się zamożną kobietą, nie może się przejmować kapryсами pogody. Zresztą, przepełniała ją tak wielka radość, że zapewne nawet nie zauważyłaby deszczu.

Suknia leżała jak ulał. Zupełnie jakby szyjąc ją, panna Susan dobrze wiedziała, że właśnie Delia będzie ją nosić. Krój i koronkowe przybranie w talii dyskretnie podkreślały krągłości figury.

- Trzeba będzie tylko nieznacznie skrócić rękawy - zawyrokowała panna Susan, koścista kobieta o końskiej twarzy - i zrobić kilka zaszewek w talii. Jest pani jedną z niewielu kobiet w Llano Crossing, które nie muszą ciasno sznurować gorsetu. Cieszę się, że tak wspaniale wygląda pani w sukni mojej roboty.

Delia serdecznie podziękowała modniarce za te słowa.

- Czy zdąży pani przygotować suknię na sobotnie popołudnie? Chciałabym wystąpić w niej na przyjęciu przy kościele.

- Będzie gotowa jutro rano. Nie ma tylu zamówień, co przed wojną - powiedziała z westchnieniem panna Susan.

Delię czekała najtrudniejsza część rozmowy.

- Wolałabym o to nie prosić, ale czy zgodziłaby się pani poczekać na zapłatę tygodzień, najwyżej dwa? Obiecuję, że na pewno ureguluję należność - dodała pośpiesznie, widząc wrzask modniarki. - Zostawię pani zegarek mojego dziadka jako gwarancję zapłaty. Nie mogę teraz wdawać się w szczegóły, ale wiem, że odziedziczyłam sporo pieniędzy.

Panna Susan wyraźnie powątpiewała w prawdziwość tych zapewnień. Delia poczuła, że się rumieni. Pomyślała, że powinna się poddać i wystąpić na przyjęciu w starej pożyczonej sukni.

- Obawiam się, że musi pani zdradzić mi coś więcej na ten temat, panno Keller. Jestem ubogą krawcową i z trudem zarabiam szyciem na utrzymanie, a jak wspomniałam, moja sytuacja bardzo się pogorszyła po wojnie. Gdyby nie ostrożność w dawaniu ubrań na kredyt, dawno umarłabym z głodu.

- Wybieram się na przyjęcie z Charlesem Ladleyem - oznajmiła Delia, mając nadzieję, że tym wyznaniem odciągnie uwagę panny Susan od spraw spadkowych.

Oczy modniarki rozblęskły ożywieniem.

- To doskonała wiadomość, panno Delio. Piękna będzie z was para.

Delia odetchnęła z ulgą. Za wcześnie...

- Mam nadzieję, że nie próbuje mnie pani przekonać do udzielenia pani kredytu na podstawie wiadomości o randce z synem burmistrza? Mieszkam w Llano Crossing od czasu, gdy Charlesowi Ladleyowi wyrzynały się pierwsze mleczne zęby i nieraz widziałam go w towarzystwie pięknych dam. Przykro mi, ale musi się pani bardziej postarać, abym zgodziła się później przyjąć zapłatę.

- Dobrze - odparła Delia po krótkim namyśle. - Proszę mi jednak obiecać, że nikomu nie piśnie pani na ten temat ani słówka.

Wyraz twarzy panny Susan świadczył o tym, że stacza ona wewnętrzną walkę, w której współczucie mierzy się z rozsądkiem. Patrząc w osłonięte grubym szklami okularów oczy modniarki, Delia bezbłędnie rozpoznała moment, w którym zwyciężyło współczucie wspomagane przez ciekawość.

- Myślę, że śmiało może pani polegać na mojej dyskrecji. Jak mogłabym zawieść zaufanie wnuczki naszego świętej pamięci pastora? - To powiedziawszy, zastygła w oczekiwaniu.

Delia opowiedziała jej więc o przedwczesnej śmierci ojca w katastrofie kopalnianej i o tym, że zostawił on jej spadek. Na razie, dodała, czeka, aż bank w Nevadzie przekaże pieniądze do tutejszego banku po uprzednim potwierdzeniu, iż jej się należą.

Zdumiona panna Susan usiadła ciężko na stołku jeszcze w połowie opowieści.

- A więc to tam pojechał Will Keller. Zastanawiałam się, gdzie się podział. Zostawił pani pokaźny majątek. To naprawdę zdumiewające! - wykrzyknęła. - Oczywiście, że może mi pani później zapłacić za suknię, ale pod warunkiem, że pozostanę pani krawcową, gdy będzie pani zamożna. Już panią widzę w pięknych kreacjach stworzonych specjalnie dla pani. Szkoda, że jest pani w żałobie, ale przecież żałoba kiedyś się skończy. Czuję, że syn burmistrza będzie musiał użyć łaski, żeby przegonić licznych rywali.

Uśmiechały się do siebie, gdy dobiegł je huk. Ktoś otworzył drzwi na zapleczu tak gwałtownie, że głośno uderzyły w ścianę. Intruz zaklął szpetnie, a głucho stuknięcie, które rozległo się po chwili, dowodziło, że przewrócił się po zderzeniu z ciężkim meblem.

Panna Susan wydała zduszony okrzyk i drżąc na całym ciele, przywarła do klientki.

- Co się dzieje? - Delia ujrzała rosłego kowboja toczącego wokół dzikim wzrokiem. Jednym szarpnięciem zerwał kotarę dzielącą pomieszczenia i chwiejnym krokiem wszedł do sklepu.

- D-donley, zaczekaj na zapleczu, aż skończę rozmawiać z klientką - wyjąkała panna Susan.

- Dawaj natychmiast! - ryknął mężczyzna.

Stojąca w sporej odległości Delia wyczuła bijący od niego odór whisky.

Modniarka posłała jej przerażone spojrzenie.

- Proszę mi wybaczyć, panno Keller, suknia będzie gotowa na jutro. A teraz, Donley, chodźmy na zaplecze - powiedziała, chwytając pijanego mężczyznę za łokieć, żeby go wyprowadzić.

- Ja ci pokażę! - zawołał mężczyzna, ciskając pannę Susan na ścianę.

Krzyknęła przeraźliwie, gdy zamachnął się dłonią zwiniętą w pięść.

Delia bez namysłu rzuciła się na pijaka, lecz ten odtrącił ją tak silnie, że upadła na plecy. Podnosząc się, żeby jak najszybciej przyjść pannie Susan z pomocą, usłyszała czyjś krzyk dochodzący z zewnątrz, a po chwili frontowe drzwi otworzyły się i zobaczyła szybko ją mijającą parę obutych stóp.

Należały do Jude'a Tuckera, który pochwyił przeklinającego siarczyście Donleya i wyciągnął go ze sklepu. Gdy Delii udało się wstać, zobaczyła, że Jude wyrzuca go na ulicę.

Awanturnik wylądował na środku drogi, w kopce świeżego końskiego łajna. Jacyś kowboje, wałęsający się ulicą, podeszli, by go podnieść. Gdy stanął na chwiejnych nogach, popatrzył spode łba na Jude'a.

- Dopilnujcie, żeby jego noga więcej nie przestąpiła progu tego sklepu! - rzucił w ich stronę Jude, po czym zwrócił się w stronę stojących w drzwiach Delii i panny Susan, gestem dłoni dając im znak, by weszły do środka. - Nic się paniom nie stało? - zapytał, przenosząc wzrok z jednej na drugą. Udał, że nie zna Delii.

Krawcowa była trupioblada, jej czoło perlił pot.

- Mnie nic nie jest - wyjaśniła Delia. - Mocno pchnął pannę Susan na ścianę.

- Proszę usiąść - rzekł Jude, ostrożnie podprowadzając roztrzęsioną kobietę do krzesła, na którym piętrzyły się stosy zniszczonych egzemplarzy żurnala „Godey's Lady's Books”. - Jestem Jude Tucker. Niedawno przybyłem do miasteczka i zatrzymałem się tu na kilka dni przed dalszą drogą. Niczego pani nie złamał? - spytał, uśmiechając się do niej dla dodania otuchy.

Modniarka zatrzepotała powiekami i pokręciła głową.

- Jestem Delia Keller - przedstawiła się Delia, podejmując grę według zasad ustalonych przez Jude'a. - To jest panna Susan, a to jej pracownia modniarska.

- Dziękuję, że stanął pan w mojej obronie, panie Tucker. Tak mi przykro, że była pani świadkiem tej sceny, panno Keller. Proszę...

Delia czuła, że krawcowa usiłuje dać im do zrozumienia, aby wyszli i oszczędzili jej konieczności udzielania wyjaśnień i dalszych upokorzeń, lecz nie mogli zostawić kobiety w tym stanie.

- Kto to był? - spytała Delia. - Chciałabym pani pomóc.

Skryte za grubymi okularami oczy panny Susan zaszły łzami. Zakryła twarz dłońmi.

- Nie robi mi krzywdy, jeśli dam mu pieniądze, kiedy sobie tego zażyczy - szepnęła.

- Dlaczego daje mu pani pieniądze? - zdziwił się Jude. - Co go uprawnia do wysuwania takich żądań?

Panna Susan spojrzała na Delię.

- Myślę, że jestem państwu winna wyjaśnienie po tym, jak przyszliście mi z pomocą - powiedziała drżącym głosem. - Jednak bardzo proszę o zachowanie tego w tajemnicy.

- Ma pani na to moje słowo - zapewnił Jude, a Delia kiwnęła głową.

- Donley Morrison jest moim mężem. Odeszłam od niego, bo... regularnie mnie bił.

- Sądziłam, że nie jest pani zamężna. - Delia nie kryła zaskoczenia.

- Tak myśli całe Llano Crossing, i bardzo mi to odpowiada - wyznała krawcowa, pomału odzyskując pewność siebie. - Przyjechałam tu, mając nadzieję, że się od niego uwolnię. Niestety, podążył moim śladem i znalazł pracę u ranczera, Dixona Millera. Przez większość czasu mam spokój, ale nachodzi mnie, kiedy skończą mu się pieniądze na whisky.

- Przecież pani go zostawiła... - Delia popatrzyła na pannę Susan, a potem na Jude'a, przejęta współczuciem.

- Nie zostawi mnie w spokoju, a ja nie mam pieniędzy, żeby uciec gdzieś dalej.

- Pójdę do szeryfa - zaproponował Jude, wstając. - Wtrąci Morrisona do więzienia za to, że na panią napadł.

- Szeryf Jenkins to człowiek Dixona Millera, najbogatszego ranczera w okolicy.

- W takim razie zamieszka pani ze mną - zaproponowała bez namysłu Delia. - Nie ośmieli się napastować pani na plebanii.

Panna Susan pokręciła głową.

- Jeśli spróbuję coś zmienić, będzie chciał zmusić mnie do powrotu. Rozgłosi że jest moim mężem i że to ja go opuściłam. Kto wtedy przyjdzie z zamówieniem do mojej pracowni?

- Gdyby ludzie poznali całą prawdę... - zaczęła Delia.

Krawcowa uniosła rękę.

- Lepiej, żeby zostało po staremu. Bardzo dziękuję państwu za okazaną mi serdeczność. - Popatrzyła na nich błagalnym wzrokiem. Za wszelką cenę chciała zachować resztki dumy.

Delia milczała, wstrząśnięta wyznaniem nieszczęsnej kobiety.

- Dobrze, panno Susan - powiedziała w końcu, sięgając po torebkę. - Niech mi pani obieca, że przyjdzie do mnie, jeśli coś się wydarzy albo zmieni pani zdanie.

Nie wyszła z pracowni dopóty, dopóki krawcowa nie wyraziła zgody.

Rozdział szósty

Na zewnątrz pracowni na Delię czekał Jude. Razem ruszyli ulicą w kierunku sklepów.

- Dobrze się pani czuje, panno Keller? - spytał z z troskaniem. - Kiedy wbiegłem do pracowni, leżała pani na podłodze. Ten łajdak uderzył panią tak, że pani upadła?

Delię przyjemnie zdziwiło, że on się o nią martwi. Zwłaszcza że pamiętała, jak chłodno potraktował ją pod koniec spotkania na plebanii.

- Zranił jedynie moje poczucie godności. Miałyśmy szczęście, że pan akurat przechodził, bo awantura rzeczywiście mogła źle się skończyć. Myśli pan, że Morrison wróci, aby napastować pannę Susan? Może powinnam była nalegać, żeby już teraz przeniosła się do mnie? - Nie wiedziała, dlaczego spodziewa się uzyskać odpowiedzi na te pytania właśnie od Jude'a.

- Chcę kupić zasuwę i założyć ją na tylnych drzwiach pracowni panny Susan - oznajmił, ruchem głowy wskazując zakład ślusarski. - Ma tam wprowadzić hak, ale łatwo go podważyć i dostać się do środka, ponieważ między drzwiami a framugą jest szczelina. Zamierzam też naprawić drzwi. Porządny zamek powinien uniemożliwić mu niespodziewane najście od strony zaplecza.

- To bardzo szlachetne z pana strony, panie Tucker.

Pokręcił głową, dając do zrozumienia, że uważa tę pomoc za coś oczywistego.

- To pani postąpiła szlachetnie, proponując, aby panna Susan zamieszkała na plebanii. Sądzę, że nie dojrzała jeszcze do tego, by przyznać się przed samą sobą, iż nie jest w stanie poradzić sobie z mężem. Może jednak w końcu dojdzie do tego wniosku...

- Moja propozycja wciąż jest aktualna.

Delia skonstatowała, że Jude rozmawia z nią tonem człowieka dobrze znającego ludzi i ich problemy. Przez chwilę zastanawiała się, gdzie mógł zdobyć tak duże doświadczenie życiowe. Nie chciała jednak okazać się ciekawska, aby nie zmącić miłego nastroju rozmowy.

- Poznaliśmy się niejako oficjalnie, lecz nie możemy nikomu opowiedzieć, w jakich to nastąpiło okolicznościach - zauważyła.

- To prawda - przyznał. Delia miała nadzieję, że nowa sytuacja ośmieli Jude'a, lecz spotkało ją rozczarowanie. - Nie chciałbym pani dłużej zatrzymywać. Pani pierwsza, panno Keller - powiedział, otwierając przed nią drzwi sklepu.

Znaleźli się w tłumie kupujących. Delia podeszła do kontuaru i postawiła na nim koszyk pełen jajek.

Była ciekawa, czy Jude znalazł mieszkanie i pracę. Przekonywała się w myślach, że powinna być zadowolona, że on widzi w niej jedynie sojuszniczkę w sprawie panny Susan. Jakkolwiek by było, na przyjęcie parafialne zaprosił ją Charles Ladley, i to właśnie jemu będzie towarzyszyła.

W dniu, w którym miało się odbyć przyjęcie, Delia obudziła się w środku nocy, nie mając pojęcia dlaczego. Nie było powodów do niepokoju. Ciszę przerywało jedynie spokojne tykanie zegara stojącego w saloniku; jednego z niewielu przedmiotów przedstawiających jakąkolwiek wartość, którego dziadek nie sprzedał albo komuś nie podarował. Wpadające przez okno promienie księżycy oświetlały nową czarną suknię, wyprasowaną i gotową do włożenia na wieczór.

Delia zastanawiała się, jak będzie się prezentować i o czym będą rozmawiać z Charlesem. Nie mając żadnego doświadczenia we flirtowaniu, postanowiła być dowcipna i czarująca. Nie chciała zdradzić Charlesowi swojego sekretu, ponieważ pan Dawson poinformował ją, że jeszcze nie nadeszła odpowiedź z banku w Nevadzie. Delia, podobnie jak panna Susan, widziała wiele piękności u boku Charlesa i zamierzała im dorównać, a nawet okazać się lepsza, bardziej interesująca niż one.

Zadała sobie pytanie, dlaczego Ladley zjawił się u niej akurat teraz? Znieruchomiała, zdjeta przerażeniem. Modniarka obiecała zachować dyskrecję, podobnie jak dyrektor banku. Czy jednak mogła zaufać panu Dawsonowi w takim stopniu jak pannie Susan?

Mniej więcej dwa lata temu Delia odniosła wrażenie, że Charles zabiegał o jej względy, lecz do niczego nie doszło. Od tamtej pory był jedynie nienagannie uprzejmy. Tymczasem trzy dni po tym, jak przedłożyła w banku dokument z Nevady, Charles odwiedził ją, przynosząc róże i zapraszając na sobotni wieczór. Z pewnością był to jedynie zbieg okoliczności... A może syn burmistrza zalecał się do niej dlatego, że bankier wyja-

wił mu albo jego ojcu, że wnuczka nieżyjącego pastora lada dzień zostanie najbogatszą panną w okolicy?

Jednak Charles wydawał się nią szczerze zainteresowany; widziała to w jego wzroku, poznawała po doborze słów, tonie głosu. Nie mógłby przecież aż tak udawać. Poprzednio przestał z nią flirtować, uświadomiwszy sobie, że jest zbyt młoda i niemal całkowicie pochłonięta opieką nad dziadkiem. Teraz, po śmierci wielebnego McKinneya, nadeszła właściwa pora i Charles wyszedł jej naprzeciw, dając do zrozumienia, że nigdy jej nie zapomniał.

Jakkolwiek by było, pozostawało faktem, że do tej pory był kawalerem, chociaż nie brakowało mu towarzystwa młodych dam. Najwyraźniej czekał na mnie, doszła do wniosku Delia. Tak, to był ten brakujący kawałek układanki. Poza tym w każdej chwili mogła spytać Charlesa, czy Dawson powiedział mu, po co odwiedziła bank. Jeśli dyrektor tej placówki nie dochował tajemnicy, Charles albo wyzna prawdę, albo zdradzi go wyraz twarzy.

Delia była niemal pewna, że jej obawy są bezpodstawne. Zaczynała sobie jednak zdawać sprawę z tego, że bogactwo łączy się z wieloma nieznanymi jej dotąd troskami.

- Doskonale się spisałeś, synu! - zawołał Heston, siedząc na ganku w bujanym fotelu i obserwując, jak Jude przybija ostatnią deskę do nowej przybudówki.

- Dziękuję, to bardzo uprzejme z pana strony - powiedział Jude, cofając się o krok, aby przyjrzeć się swemu dziełu.

- Nie chodzi o uprzejmość. Dlaczego się upierasz, żeby wracać do Nevady? Bez trudu znajdziesz pracę w Llano Crossing.

Jude milczał.

- Ciężko pracowałeś przez te dni - ciągnął Heston. - Może dziś wieczorem wybrałbyś się z moją żoną i ze mną na miłe spotkanie?

- Co to za spotkanie? - spytał Jude.

Miał poczucie winy wobec Shiloha, który tkwił w stajni. Zamierzał zabrać konia na przejażdżkę i pogalopować, gdy się ochłodzi. Nie chciał zmieniać planów.

- Wspólny posiłek na dziedzińcu kościoła. Każdy przyniesie coś smacznego - to miejscowa tradycja. Moja żona upiekła kurczaka. Zapowiada się wspaniała uczta. Będzie też muzyka, gry, zabawy i mnóstwo młodych kobiet.

A wśród nich Delia Keller, pomyślał Jude i zawahał się. Miał wielką ochotę znów ją zobaczyć, a jednocześnie chciał wytrwać w swym postanowieniu, że nie będzie komplikował jej życia.

- Nie, dziękuję. Shiloh potrzebuje ruchu, za długo stoi w stajni.

- Powinieneś raz na jakiś czas pobyć między ludźmi - nie ustępował Heston. - Daj się wyciągnąć, nie bądź pustelnikiem. Może spotkasz jakąś uroczą pannę... Oczywiście pod warunkiem, że się z nami wybierzesz.

Już poznałem piękną i miłą pannę, pomyślał Jude.

- Tak, synu - namawiał w dalszym ciągu Heston - niewykluczone, że spotkasz dziewczynę swoich marzeń. Zbudujesz w miasteczku dom i z nią zamieszkasz.

- Hola, panie Heston! - Jude roześmiał się, unosząc dłoń. - Chyba za bardzo pana ponosi wyobraźnia!

Był wzruszony, że staruszek nazywa go synem. Przez ten krótki czas, który spędził pod jednym dachem z Hestonami, traktowali go niezwykle serdecznie. Nie mógł jednak zwierzyć im się z obaw związanych z ponownym spotkaniem z Delią. Zdawał sobie sprawę z tego, że odziedziczony majątek i nowy status społeczny uczyni ją niedostępną dla takich jak on. Mimo to pragnął znów ją ujrzeć.

- Jeśli nie pójdziesz z nami, będę musiał dźwigać ciężki kosz z jedzeniem jedną ręką - użył ostatecznego argumentu pan Heston, wskazując ramię na temblaku. Miał przy tym minę szachisty, który właśnie daje swemu przeciwnikowi mata.

Jude nie chciał okazać się niewdzięcznikiem.

- Dobrze - powiedział. - Myślę, że kurczak przyrządzony przez pańską żonę jest wart tego, aby zmienić plany.

Rozmarzył się. Wyobraził sobie, że otwarcie stara się o rękę panny Keller, bierze ją za żonę i jako małżeństwo wprowadzają się do nowego domu, który zbudował na skraju miasteczka. Trudno było jednak się spodziewać, by dziedziczka fortuny zadowolila się tym, co on mógł jej ofiarować. Musiał też pamiętać, że człowiek, który zrobił to co on,

nie miał prawa zabiegać o względy niewinnej dziewczyny, takiej jak Delia, nawet gdyby nie odziedziczyła ani centa.

- Jest pani uosobieniem wszystkiego, co najpiękniejsze, nawet w czerni - oznajmił z emfazą Charles Ladley, gdy Delia otworzyła przed nim drzwi. - Będę zazdrosny o wszystkich mężczyzn obecnych na przyjęciu.

Delia zaczerwieniła się z radości. Owszem, spodobało jej się to, co ujrzała w lustrze, najwyraźniej jednak nie doceniła swego wyglądu, gdyż blask podziwu w oczach Charlesa świadczył o tym, że jest najpiękniejszą z kobiet. Nie posiadając się ze szczęścia, uśmiechnęła się zalotnie.

- Pan również prezentuje się bardzo przystojnie. Jasne włosy Charlesa i wąsy lśniły w promieniach zachodzącego słońca. Miał na sobie ciemny surdut z wpiętą w klapę żółtą różą, pod nim kamizelkę, błyszczącą białą koszulę i krawatę oraz spodnie w prążki. Kamizelkę zdobiła dewizka kosztownego złotego zegarka.

Wysunął rękę zza pleców, by podać Delii mały bukiet białych róż.

- To od mojej mamy. Uważa, że nawet w żałobie można przypiąć do sukni białe róże - powiedział, dając Dali do zrozumienia, że jego matka jest wyrocznią w sprawach norm towarzyskich.

- Są piękne. Bardzo panu dziękuję.

Przypięła je do stanika sukni szpilką o perłowej główce, dołączoną do bukietu, po czym z trudem stłumiła śmiech. Uświadomiła sobie, że nikt nie ośmieli się otwarcie krytykować jej stroju, skoro zyskał on aprobatę żony burmistrza.

- Jestem szczęśliwy, widząc, że pani jest zadowolona.

Zadowolona? Musiała się powstrzymać całą siłą woli, aby nie zatańczyć przed nim z radości. Nie chciała jednak, żeby Charles uznał ją za osobę szaloną.

- Możemy już iść? Tylko wezmę szal.

Delia sięgnęła po czarną jedwabną tkaninę o marszczonych brzegach, zawieszoną na drewnianym kołku wbitym w ścianę holu. Gdy przyszła odebrać suknię po przeróbkach, panna Susan, nie wspomniawszy ani słowem o niedawnym przykrym incydencie, namówiła ją, by wzięła także szal oraz czarne siatkowe rękawiczki. Rzeczywiście dodatki doskonale dopełniły całości stroju.

Delię przeniknął dreszcz podniecenia, gdy Charles wziął od niej szal i delikatnie okrył nim jej ramiona, po czym ujął dłoń w rękawiczkę i położył na swym ramieniu.

Plebania była oddalona zaledwie o pięćdziesiąt jardów od kościoła, postanowili więc przebyć drogę pieszo. Delia zyskała możliwość zadania swojemu towarzyszowi istotnego pytania. Miała nadzieję, że usłyszy odpowiedź rozwiewającą wszelkie wątpliwości, i będzie mogła cieszyć się każdą chwilą wspólnie spędzonego wieczoru... być może pierwszego z wielu.

- Charles - zaczęła pozornie obojętnym tonem, tak jak wiele razy przećwiczyła to przed lustrem - kilka dni temu, kiedy wchodził pan do banku...

- Ach, wtedy, gdy omal pani nie przewróciłem. Tak mi przykro.

- Zastanawiałam się, czy pan Dawson powiedział panu, po co tam przyszedłem.

TLR

Rozdział siódmy

Ladley popatrzył na nią oczami przejrzystymi jak woda w teksańskim strumieniu i natychmiast odparł:

- Delio, czy pani się obawia, że Amos Dawson rozsiewa plotki na temat klientów banku i ich spraw? Zapewniam panią, że jest niezwykle dyskretny. Milczy jak grób. Dobrze to wiem, bo nieraz próbowałem namówić go do uchylenia rąbka tajemnicy.

Porównanie do grobu wydawało się Delii niezbyt fortunnym określeniem; mimo wszystko zrobiło jej się lżej na duszy.

- Zatem nie powiedział panu...

- O celu pani wizyty w banku? Oczywiście, że nie! - Niespodziewanie Charles spoważniał i spojrzał Delii w oczy. - Przypuszczałem, że przyszła pani... Czy, o ile mogę zapytać, poprosiła go pani o pożyczkę? Panno Delio, jak mówiłem, Ladleyowie nie dopuszczą do tego, by wnuczka pastora cierpiała niedostatek, a jak pani wie, stać nas na bardzo wiele. Pani dziadek był zbyt dumny, by przyjąć proponowaną mu pomoc.

Delia uważała, że niechęć dziadka do korzystania z dobroci innych wynikała z jego pokory i skromności, nie z wybujałej dumy, jednak ucieszyła ją odpowiedź Charlesa, a wyraz zatroskania na jego twarzy podziałał na nią krzepiąco.

- Naprawdę nie ma żadnych powodów do niepokoju - powiedziała stanowczo.

- Proszę jednak pamiętać, że Ladleyowie są bardzo zamożni.

- Charlesie, niech pan pozwoli mi zachować resztki dumy - zwróciła się do niego, zadowolona, że nie potwierdziły się jej podejrzenia co do pobudek jego postępowania.

- „Duch pyszny poprzedza upadek” - popisał się cytatem z Księgi Przysłów. Zanim zdołała cokolwiek powiedzieć, dodał: - Proszę wybaczyć, że ośmielam się przypominać słowa Biblii wnuczce pastora. Chciałbym tylko wyraźnie dać do zrozumienia, że moja rodzina pani pomoże. Wystarczy poprosić.

- Obiecuję, że tak uczynię, jeśli znajdę się w potrzebie - odparła uprzejmie, lecz na tyle zdecydowanie, by Charles pojął, że chociaż docenia szlachetność jego intencji, uważa temat za zakończony.

Delikatnie poklepał jej dłoń, spoczywającą na jego ramieniu. Skierowali się na brukowaną drogę wiodącą do kościoła.

- W odpowiedzi na pani obietnicę ja z kolei przyrzekam, że czeka panią uroczy wieczór, Delio Keller.

Przyjęcie odbywało się na dziedzińcu po wschódniej stronie kościoła. Długie stoły, które Jude widział ustawione pod drzewami w dniu pogrzebu pastora, uginały się od jedła i napitku. Zawieszane na sznurkach nad stołami lampiony jeszcze się nie paliły, jako że na dworze było jasno. Stojący pomiędzy stołami skrzypek grał skoczną melodię „Wait for the Wagon”.

Zbliżając się w towarzystwie Hestonów do kościoła, Jude bezwiednie przecesał wzrokiem tłum. Być może Delia Keller się nie pojawi, pomyślał, skoro jej dziadek niedawno zmarł. W pewnym momencie ją spostrzegł. Rozmawiała z grupką mieszkańców Llano Crossing oraz z towarzyszącym jej mężczyzną. Tak jak się tego obawiał, towarzyszył jej Charles Ladley. Jude zacisnął dłoń w pięść, zauważywszy pożądlivy wzrok, jakim syn burmistrza wpatrywał się w Delię.

- O, jest wnuczka pastora - powiedziała pani Heston. - Wygląda uroczo, mimo że przeżyła ciężkie chwile. Biedaczka, musiała wystąpić w czerni. A ten towarzyszący jej młodzieniec... Czy to nie syn burmistrza? No, no, kiedy to się stało? Nic dziwnego, że nasza panna jest w znacznie lepszym nastroju niż ostatnio.

- Co miało niby się stać? - zapytał ironicznie Heston. - Chyba nie istnieją przepisy mówiące o tym, przy kim należy przystanąć na towarzyskim spotkaniu. Ja przynajmniej o nich nie słyszałem. Przecież to jeszcze nie świadczy o tym, że przyszli razem.

- Zamierzałam przedstawić pannę Delię naszemu

Jude'owi - powiedziała pani Heston, nie kryjąc rozczarowania. - Wydaje mi się, że doskonale by do niego pasowała.

- To możliwe - przyznał pan Heston. - Zatem przedstaw ich sobie. Nigdy nie wiadomo, co się może zdarzyć.

„Naszemu Jude'owi”?

Tucker zastanawiał się, kiedy stał się Hestonom tak bliski. Cieszyła go serdeczność, jaką okazywali mu gospodarze, jednak należało zdecydowanie się sprzeciwić próbom wyswatania go z Delią.

Uniósł rękę.

- Pani Heston, mówiłem już, że nie zamierzam długo zabawić w miasteczku... - zaczął, lecz Lucy Heston nie pozwoliła mu skończyć.

- Nie bądź taki wstydlivy. Niewinna znajomość jeszcze nikomu nie zaszkodziła. Delio! - zawołała, kierując się zdumiewająco jak na swą tuszę szybkim krokiem w stronę panny Keller.

- Dobry wieczór, panie i pani Heston. Panie Heston, co się stało? - spytała, wskazując temblak.

- Spadłem z konia - odparł i zerknął na Jude'a, zamierzając go przedstawić, lecz właśnie w tym momencie żona zwróciła się do panny Keller.

- Jak sobie radzisz, kochanie? - Wspięła się na palce, by pocałować dziewczynę w policzek. - Wyglądasz naprawdę wspaniale. Charles Ladley. Jak pan się miewa?

Wysłuchawszy zwyczajowej odpowiedzi, pani Heston ponownie zwróciła się do Delii.

- Moja droga, chcielibyśmy ci przedstawić naszego nowego przyjaciela, Jude'a Tuckera. Bóg nam go zesłał akurat wtedy, gdy mój mąż nieszczęśliwie spadł z konia. Pan Tucker przywiózł Jima do domu, a teraz pomaga nam w gospodarstwie.

- Spotkaliśmy się już - wyjaśniła Delia, patrząc na Jude'a. - Pan Tucker zakładał zamek w pracowni panny Susan akurat tego samego dnia, gdy przyszedłem po suknię.

Udało jej się tak sformułować wypowiedź, że nie skłamała, nie wyznając jednocześnie całej prawdy. Musiała mieć na względzie reputację modniarki. Jude wyraził uznanie, rzucając jej porozumiewawcze spojrzenie.

- Miło znów pana spotkać - powiedziała, nieoczekiwanie zarumieniona. - Zamierza pan dłużej zabawić w naszych stronach?

- Nie wiem. Przyjechałem z zachodu. - Jak dobrze wiesz, przemknęło mu przez myśl. - Być może zatrzymam się tu do czasu zgromadzenia funduszy na podróż powrotną.

- Moja droga, gdyby udało się znaleźć powód, dla którego warto by zostać u nas dłużej, być może Jude by się zdecydował. - Pani Heston pozwoliła sobie na szytą grubymi nićmi aluzję.

Charles Ladley uznał, że najwyższy czas włączyć się do rozmowy.

- Czyżby uważała pani, że nasze urocze miasteczko i serdeczni, gościnni mieszkańcy nie są wystarczającym powodem do tego, by osiedlić się tu na stałe, pani Heston? Charles Ladley - przedstawił się, podając dłoń Jude'owi. - Mój ojciec jest burmistrzem. Gdybyśmy mogli panu w czymś pomóc...

Uścisnął dłoń Jude'a, który zauważył, że syn burmistrza wspiera się na lasce, chociaż najwyraźniej nie była mu ona niezbędna do poruszania się. Dostrzegł też w jego twarzy wyraz zdecydowania i domyślił się, że Ladley jest oswojony z bólem. Jude przypuszczał, że elegancki młodzieniec służył w armii. Czyżbym pomylił się w ocenie tego człowieka? - zadał sobie w duchu pytanie.

Ladley pochylił się do ucha Delii.

- Ojciec nas wzywa. Myślę, że lada chwila odmówi modlitwę przed poczęstunkiem. - Wyprostował się i popatrzył na Hestonów i Tuckera. - Proszę nam wybaczyć... - Ujął Delię za łokieć i poprowadził w stronę stołu.

- Nie przejmuj się. - Pani Heston poklepała Tuckera po ramieniu, jakby próbując go pocieszyć. - Ci dwoje po raz pierwszy wybrali się razem, nic więc nie jest przesądzone.

Jude zastanawiał się, co powinien teraz powiedzieć, lecz pan Heston odezwał się pierwszy:

- Cóż, są tu inne piękne damy godne kawalera tak urodziwego jak nasz Jude. Niech sam sobie radzi. Powinniśmy się wycofać.

- Nonsens. Uważam, że są dla siebie stworzeni - upierała się pani Heston.

W tym właśnie momencie burmistrz obwieścił, że odmówi modlitwę przed posiłkiem. Okazała się popisem krasomówczym, jakiego Jude wcześniej nie słyszał w podobnej sytuacji, a trwała tak długo, że dzieci zaczynały się niecierpliwić i zagadywać rodziców. Burmistrz dziękował Stwórcy za piękno krainy położonej nad rzeką, wśród wzgórz, pod zmierzchającym teraz niebem.

- Pobłogosław, Panie, tych spośród nas, którzy pogrążeni są w żałobie, a zwłaszcza naszą parafiankę Delię Keller. Dziękujemy Ci także, Panie, za obfitość zgromadzonych tu przed nami darów, które ze szczodroblewości Twojej za chwilę będziemy spożywać. Amen - zakończył.

- Słyszałam, że burmistrz zamierza głosić kazania w kościele do czasu objęcia parafii przez nowego pastora - powiedziała z przekąsem pani Heston.

- Nadęty stary głęda - mruknął pan Heston, kierując się wraz z żoną w stronę stołu.

Rzeczywiście na przyjęciu zjawilo się wiele urodziwych panien. Większość z nich podchodziła do Hestonów, aby zamienić z nimi parę słów. Pani Heston była wyraźnie w swoim żywiole, przedstawiając Jude'a. Wstawał za każdym razem, gdy dokonywano prezentacji, miło gawędził z kolejną panną, niezmiennie czekając, aż pierwsza skończy rozmowę. Doszedł do wniosku, że żadna z nich nawet nie umywa się do Delii.

- Będziesz miał w czym wybierać - zauważył Heston.

- To wszystko z powodu wojny - wyjaśniła jego żona. - Dziewczęta rzadko widują młodych mężczyzn. Od zakończenia wojny minęły dwa lata, a dookoła sami siwowłosi starsi panowie i kaleki wojenne bez ręki albo nogi. Co oczywiście nie znaczy, że są przez to mniej wartościowi.

Jude słuchał jednym uchem, podobnie jak pozornie cieszył się z rozmów z przedstawianymi mu pannami. Przez cały czas myślał o Delii i towarzyszącym jej synu burmistrza.

Delia niewiele jadła, lecz nie sprawiała wrażenia speszzonej. Wprost przeciwnie, wydawała się doskonale bawić. Śmiała się z uwag Charlesa, wesoło mu odpowiadała, gestykulując przy tym uroczo pięknymi dłońmi o długich palcach. Kilka razy wychyliła się z za niego, by odpowiedzieć na pytania zadawane jej przez rodziców Charlesa, który pęczniał z dumy.

W pewnym momencie Jude zauważył, że Delia zwraca się w stronę elegancko ubranego starszego mężczyzny z wydatnym brzuchem, wstającego od stołu.

- Chciałbym coś ogłosić - powiedział ów mężczyzna, rozglądając się dokoła.

Mieszkańcy Llano Crossing odłożyli sztuce i unieśli głowy.

- To Amos Dawson, dyrektor banku - szepnął Heston. - Zastanawiam się, co zamierza obwieścić. Uważam, że burmistrz wyczerpał limit przemówień na ten wieczór.

- Uspokój się, bo nic nie będzie słychać - upomniała go żona.

- Nasz wspaniały burmistrz wspomniał w modlitwie tych spośród nas, którzy zagrożeni są w żałobie, wymieniając naszą drogą pannę Keller - zaczął bankier.

Delia szeroko otworzyła oczy, a krew w jednej chwili odpłynęła jej z twarzy. Rozchyliła wargi, jakby miała ochotę się odezwać. Jude zdał sobie sprawę z tego, że dziewczyna dobrze wie, co powie Dawson, i że najchętniej by mu to uniemożliwiła. Jednak dyrektor banku jedynie się uśmiechnął, gdy uniosła się z miejsca i gestem dłoni dał znak, żeby usiadła.

- Pozwoli pani, że powiem, co dyktuje mi serce. Zawsze była pani uosobieniem pokory, skromności i nie usiłowała pani zwracać na siebie uwagi, zajęta troskami innych. Wszyscy tu zgromadzeni martwią się o panią i musi im pani pozwolić podzielić pani radość z wieści, którą za chwilę przekażę.

- Proszę... Myślę, że... - dał się słyszeć głos wnuczki pastora.

Jude zyskał pewność, co za chwilę usłyszy, i wiedział, dlaczego panna Keller starała się powstrzymać Dawsona.

- Starsi mieszkańcy miasteczka pamiętają, że wiele lat temu Will Keller po śmierci swojej żony, matki Delii, wyjechał w poszukiwaniu szczęścia na zachód. Czas mijał, a Will Keller nie wracał. Większość z nas doszła do wniosku, że przytrafiło mu się jakieś nieszczęście i Delia już nie ujrzy ojca. - Dawson zrobił dramatyczną pauzę i rozejrzał się wokół, unikając błagalnego spojrzenia Delii. Zadowolony z faktu, że wszystkie oczy zwrócone są na niego, kontynuował: - Ostatnio panna Delia otrzymała złą a zarazem dobrą wiadomość. Niestety, potwierdziło się, że jej ojciec nie żyje. Okazało się, że zmarł bardzo niedawno. Jednakże przed śmiercią, i to jest ta dobra część wiadomości, ustanowił ją jedyną dziedziczką fortuny, której dorobił się na wydobywaniu srebra.

Rozdział ósmy

Delia wydała okrzyk zgrozy, któremu zawtórowało głośnie westchnienie zgromadzonych. Uniósłszy się na drżących nogach, spojrzała na Dawsona i wyjąkała:

- N-nie miał pan p-prawa...

Jednakże jej słowa utonęły wśród radosnych okrzyków i oklasków tłumu. Dyrektor banku dodatkowo zachęcał mieszkańców miasteczka do wiwatowania. Charles wstał i otoczył Delię ramieniem.

- To dobra wiadomość. To znaczy... serdecznie pani współczuję z powodu śmierci ojca, ale to cudownie, że zostawił pani spadek.

- Pan Dawson nie powinien był...

- Ta wiadomość tak czy owak ujrzałaby światło dzienne - orzekł, ścisząc głos i delikatnie ścisnął jej ramię w geście pocieszenia. - Plotki byłyby znacznie gorsze; ludzie potrafią przeinaczać fakty.

- Mój syn ma rację - wtrącił się do rozmowy burmistrz Ladley. - Nie opędziłaby się pani od pytań ciekawskich, którzy chcieliby się przekonać, czy w pogłoskach kryje się prawda. Pan Dawson zapoznał mieszkańców Llano Crossing ze stanem faktycznym i tym samym zamknął usta plotkarzom.

- Moja droga, trzeba pozwolić ludziom cieszyć się wraz z panią - poparła męża Jane Ladley. - Wszyscy dobrze pani życzymy.

Rozległy się okrzyki:

- Proszę przemówić! Co pani robi z pieniędzmi?!

Spojrzenia zgromadzonych skierowane były wyłącznie na Delię. Gdy otworzyła usta, mieszkańcy Llano Crossing niemal wstrzymali oddech.

- Chciałabym... - Głos jej się załamał. Po dłuższej chwili podjęła cichym głosem: - To spadło na mnie niespodziewanie... Nie zdążyłam się jeszcze z tym oswoić. Nie miałam czasu się zastanowić, zwłaszcza że dobre wiadomości nadeszły razem z bardzo złymi. Mam nadzieję, że państwo uwierzą mi, kiedy powiem, że wołałabym, by mój ojciec wrócił cały i zdrowy. Oddałabym za to cały majątek, nie zostawiając sobie ani centa. - Umilkła, nie wiedząc, co mogłaby dodać.

Tłum zafalował, rozległy się rzęsiste brawa. Powiódłszy wzrokiem po otaczających ją życzliwie uśmiechniętych twarzach, zwróciła się do Charlesa:

- Czy mógłby pan odprowadzić mnie do domu?

- Oczywiście, kochanie - odparł.

Delia narzuciła szal na ramiona i syn burmistrza podał jej ramię.

- Panno Keller. - Dawson postąpił krok w jej stronę, jakby zamierzał ją zatrzymać.

- Mam nadzieję, że nie uzna pani mojego wystąpienia za przejaw braku szacunku dla zmarłych. Pomyślałem, że mieszkańcy chcieliby dzielić pani radość.

- Porozmawiamy później - odrzekła Delia, siłąc się na opanowanie.

Mijając dyrektora banku, przyśpieszyła kroku. Nie był to odpowiedni czas ani miejsce na omawianie tego tematu. Poza tym była tak zła na bankiera, że mogła wypowiedzieć słowa, których potem gorzko by żałowała. Gdy przechodziła obok stołu, przy którym Jude siedział obok Hestonów, ich spojrzenia się spotkały. Wstał i ledwie dostrzegalnie skinął głową. Wydawał się rozumieć jej stan ducha lepiej niż ona. Bezwiednie wyprostowała się i uniosła podbródek. Wraz z Charlesem wyszła na drogę skąpaną w blasku księżyca. Nie odzywali się do siebie. Gdy doszli do furki, Charles powiedział:

- Rozumiem, że jest pani pogrążona w żałobie. Nie potrafię w pełni zrozumieć, jak czuje się ktoś, kto utracił najbliższych...

Delia odniosła wrażenie, że jego słowa płyną z głębi serca.

- Proszę wybaczyć, że o coś spytam... - Zaczekał, aż Delia wyrazi zgodę skinieniem głowy, po czym kontynuował: - Czy nie uważa pani, że ojciec chciałby, żeby pani cieszyła się, że sprawy przybrały pomyślny obrót, a nie czuła się winna z powodu otrzymania niespodziewanego daru tylko dlatego, że jest to spadek?

- Przez większą część mojego życia ojciec był w nim nieobecny. Dlaczego miałabym czuć się winna?

- Niefortunnie dobrałem słowa, ale z pewnością pani rozumie, co miałem na myśli.

- Położył laskę na kamiennym murku.

- To, że ojciec nie żyje - podkreśliła celowo. - Nie rozumiem, dlaczego wszyscy tak bardzo się boją powiedzieć to na głos. - Nie spodziewała się, że jej wypowiedź będzie

podszyta goryczą. Charles nie zasłużył sobie na jej dąsy i fochy. - Przepraszam, nie wiem, czemu zwróciłam się do pana tak ostro... - zaczęła i się rozplakała.

Niespodziewanie Charles mocno ją przytulił. Poczowała gwałtowny przyływ nieznanych jej dotąd emocji.

- Moje biedactwo, ostatnio tyle przeszłaś - wyszeptał kojąco. Pozwolił jej się wypłakać, po czym uniósł głowę, jakby nasłuchując. Od strony kościoła niosły się jakieś głosy. - Powinniśmy wejść do domu. Wygląda na to, że ludzie zaczynają się rozchodzić.

Nie chciała, żeby stateczni mieszkańcy Llano Crossing, mijając ich w drodze do domów, zobaczyli ją w objęciach syna burmistrza.

- Ma pan rację. - Poprowadziła go na ganek i do wnętrza domu.

Czuła się niepewnie w tej roli. Nigdy dotąd nie była sam na sam z mężczyzną, oczywiście z wyjątkiem dziadka oraz dyrektora banku, gdy rozmawiali w jego gabinecie. Wszedłszy do środka, próbowała uspokoić skołatane nerwy, zapalając lampę. Gdy salonik wypełnił się miękkim światłem, zwróciła się do Charlesa:

- Proszę usiąść. - Wskazała wytartą sofę. Sama zajęła miejsce w stojącym obok fotelu. - Może napije się pan herbaty?

- Nie, dziękuję. Jestem pełny jak kleszcz, który przed chwilą spadł z psiego grzbietu, jak mawiał mój pułkownik.

Na twarzy Delii zagościł uśmiech. Zapewne Charles użył dosadnych określeń, choć na co dzień wysławiał się nienagannie, aby Delia poweselała.

- Nie zabawię długo. Zdaję sobie sprawę z tego, że byłoby to niestosowne. Domyślałam się, dlaczego tak się pani zdenerwowała tym, co powiedział, być może pochopnie, Amos Dawson.

- Naprawdę?

Kiwnął głową.

- Prowadziła pani bardzo spokojne życie na plebanii, a teraz znalazła się pani w centrum zainteresowania. Niestety, taki jest los ludzi bogatych. Doświadczam tego od dzieciństwa, a pomimo wysiłków Unii, aby zrujnować mieszkańców Południa, Ladleyowie wciąż się cieszą dostatkiem. Tymczasem pani otrzymała spadek, którego się nie spodziewała, i nagle stała się obiektem ciekawości bliźnich. Nic nie przygotowało pani

na nową sytuację życiową. Czuje pani, że straciła prywatność, stała się osobą publiczną. Mam rację?

Delia była zdumiona trafnością diagnozy. Przystojny i uprzejmy Charles okazał się mądrzejszy i bardziej doświadczony, niż przypuszczała. Jakby czytając w jej myślach, uśmiechnął się i delikatnie pogładził ją po policzku.

- Proszę się nie bać. Nie jest pani sama. Liczę na to, że będziemy się częściej widywać. Chciałbym pani towarzyszyć na każdym etapie nowego życia i służyć pomocą.

- Jest pan dla mnie taki dobry... - Oto spełniały się jej marzenia.

Od dawna chciała się związać z Charlesem. Zniknęły poprzednio dzielące ich przeszkody. Byli sobie równi statusem społecznym.

- Myślę, że powinienem już iść, ale zanim wyjdę, chciałbym zadać pani jeszcze jedno pytanie.

Czyżby zamierzał znów ją gdzieś zaprosić?

- Jakie? - spytała uśmiechnięta.

Nie mogła się doczekać.

- Co zamierza pani zrobić z pieniędzmi?

Pytanie było tak odległe od tego, co spodziewała się usłyszeć, że ogarnęło ją rozczarowanie. Zmusiła się do opanowania i zmiany toku myślenia. Przecież chciała, żeby podziwiał ją także za rozsądne podejście do kwestii rozporządzenia odziedziczonym majątkiem.

- Chciałabym kupić ziemię i postawić na niej dom - odparła. - Piękny dom, jeden z najładniejszych w Llano Crossing. Muszę przyznać, że jestem zmęczona mieszkaniem w tym starym niewielkim budynku z przeciekającym dachem. Zimą można tu zamarznąć, a latem udusić się z upału.

Charles roześmiał się.

- Zuch dziewczyna! Zasluguje pani na taki dom, i na wiele, wiele więcej. Wystarczająco długo żyła pani niczym szara myszka.

Te pełne uznania słowa podziałały na nią jak ożywczy balsam. Dlaczego więc odniosła wrażenie, że słyszy dziadka pytającego, co zamierza w tej nowej sytuacji zrobić dla Boga? Z zadumy wyrwał ją głos Charlesa.

- Czy nie uważa pani, że powinna poczekać z decyzją i zobaczyć, co przyniesie przyszłość? Może zjawi się w pani życiu książę na białym koniu, aby zabrać panią do swojego zamku? Jeśli będzie mu pani przychylna, może się okazać, że niepotrzebnie wydała pani pieniądze na budowę domu.

Zaskoczona Delia popatrzyła na Charlesa. Czyżby w ten zawołany sposób dawał jej do zrozumienia, że widzi się w roli księcia? Odzyskując pewność siebie, postanowiła się z nim podroczyć.

- Kto panu powiedział, że w ogóle myślę o zamążpójściu? Przecież jako kobieta zamożna mogę sobie nie życzyć, by ktoś miał nade mną władzę i mówił mi, na co mam wydawać pieniądze.

- Żaden rozsądny mężczyzna nie pomyślałby o takiej możliwości. Do szczęścia wystarczałaby mu świadomość, że może dzielić z panią życie. Dobranoc, droga Delio. Do zobaczenia.

- Idziesz spać? - zapytał Heston, gdy wrócili do domu, a Jude skierował się do stajni.

Hestonowie zaproponowali mu pokój gościnny, ale podziękował im i nocował na sienniku w niewielkim magazynie przy stajni. Pokręcił przecząco głową.

- Nie jestem senny. Myślę, że spełnię powinność wobec Shiloha, i wybierzemy się na przejażdżkę. Obiecuję, że gdy wrócimy, będę chodził na paluszkach.

- Zamierzasz przejechać obok plebanii, żeby zobaczyć, czy u panny Delii wciąż pali się światło?

Jude znieruchomiał z dłonią na gałce u drzwi.

- Dlaczego miałbym to robić?

- Synu, na razie oczy mnie nie zawodzą. Widziałem, jak na nią patrzyłeś.

- Mówiłem już, panie Heston...

- Daj spokój z tym „panem Hestonem”. Jestem Jim, a ty podobno masz się za mojego przyjaciela.

- W takim razie... Jim. Jak już wspomniałem, nie planuję się ubiegać o względy tujejszych dam. Przyjąłem pracę u ciebie, żeby zgromadzić pieniądze na podróż.

- Lucy upomina mnie, że nie powinienem wściubiać nosa w cudze sprawy, i ma rację. Wybacz ciekawskiemu staruszkowi. Patrzyłeś jednak na pannę Keller w szczególny sposób, a w dodatku niepokoiło cię to, jak spogląda na nią Ladley. Obaj zauważyliśmy, że po nieszczęsnym wystąpieniu Dawsona razem opuścili zgromadzenie. Pomyślałem więc, że możesz chcesz się przekonać, czy Ladley wyszedł z jej domu. Uważam, że jesteś dla niej o wiele lepszym kandydatem na męża niż chłopak burmistrza.

- To już nie chłopak. Był żołnierzem.

- Pamiętam, jak był taki mały, że nie sięgał głową stołu. Co sądzisz o tym, że moglibyście być parą z Delią?

- Słyszałeś dzisiaj na jej temat to samo co ja.

- Że będzie odtąd żyła w puchu? I co z tego?

- To, że mam z nią tyle wspólnego, co z księżycem - odrzekł Jude, unosząc wzrok ku niebu. - Przed jej domem stanie długa kolejka łowców posagów.

- Przecież nie jesteś łowcą posagów - zauważył Heston. - W porządku, nie powiem nic więcej na ten temat, a ty jedź sobie, gdzie chcesz. Zobaczymy się rano.

Jude szybko osiodłał Shiloha i niedługo potem galopował na jego grzbiecie. Skierował się poza miasteczko, jakby chcąc samemu sobie udowodnić, że Heston nie miał racji co do pierwotnego celu przejażdżki. Kilka mil od miejsca, w którym po raz pierwszy spotkał Hestona, droga zaczynała się stromo wznosić. Jude był zbyt doświadczonym jeźdźcem, aby bez potrzeby męczyć konia. Zawrócił Shiloha, zwolnił tempo jazdy i skierował się do Llano Crossing.

W większości budynków w oknach nie paliły się światła. Tylko w saloonie było gwaro, ktoś grał na fortepianie, a za oknami i dwuskrzydłowymi drzwiami migotały liczne świece. Jude ruszył w stronę plebanii. W oknach stojącego pod potężnymi dębami budynku nie było widać światła. Delia poszła spać, pomyślał z ulgą Jude.

„Miłość wszystko znosi, wszystkiemu wierzy, we wszystkim pokłada nadzieję, wszystko przetrzyma”. Dlaczego przypomniał sobie te akurat wersy? Co upoważniało go do twierdzenia, że kocha Delię Keller? Właściwie jej nie znał. Spełnił jedynie funkcję posłańca, przynoszącego dobre i złe wiadomości. Misja, z którą przyjechał, została wypełniona. Mimo to wciąż myślał o pięknej Delii i martwił się, czy poradzi sobie w nowej

życiowej sytuacji. Odczuwał również zazdrość, widząc ją z synem burmistrza, wyraźnie nią zainteresowanym. Chyba rzeczywiście zakochał się w pannie Keller.

Znieruchomiał, nasłuchując. Wokół panowała cisza. Wydawało się niemożliwe, aby w tym domu dwoje ludzi nie spało, być może robiąc coś, o czym wolał nie myśleć. Westchnął. Powinien wrócić do rancza Hestonów i wreszcie się położyć.

- Jude, to ty? - usłyszał głos dochodzący z ganku.

TLR

Rozdział dziewiąty

Jude był zaskoczony widokiem Delii, która wstała z fotela i przeszła kilka kroków w jego stronę. Szybko zsiadł z konia.

- Dlaczego jeszcze nie jesteś w łóżku? - spytał.

Miała na sobie prostą sukienkę w kwiatki, bardzo różniącą się od eleganckiej czarnej sukni, w której wystąpiła na przyjęciu. Rozpuszczone bujne włosy spływały aż po talię. Zapragnął wsunąć w nie palce. Nie uszło jego uwagi, że przestała nazywać go panem Tuckerem ani nie zaprotestowała, gdy zwrócił się do niej po imieniu.

- Mogłabym zapytać o to samo. Ja przynajmniej nie jeżdżę konno po ciemku.

- Po ciemku? Przecież świeci księżyc. Nie mogłaś zasnąć?

Delia skinęła głową. Najwyraźniej nie zamierzała się wycofać do domu. Jude podszedł bliżej.

- Wciąż martwisz się, że dyrektor banku bez twojego pozwolenia rozpowszechnił wiadomość o spadku?

- Tak. Być może ostatecznie okaże się, że tak było lepiej. Nie będę musiała opowiadać całej historii każdemu z osobna. Wolałabym jednak, żeby pan Dawson zapytał mnie o zgodę. - Usiadła na najwyższym stopniu schodków i wskazała miejsce obok siebie, zapraszając go, by do niej dołączył. Jude usiadł, zachowując stosowną odległość.

- Charles uważa, że w nowej sytuacji będę musiała się przyzwyczaić do wielu nieznanym mi dotąd sytuacji - ciągnęła Delia, nie patrząc na Jude'a.

Złościło go, że mógłby w czymkolwiek zgadzać się z Ladleyem, jednak tym razem przyznał mu rację.

- Podzielam jego zdanie. Nic już nie będzie teraz dla ciebie takie samo - powiedział ostrożnie, zastanawiając się, dokąd może ich zaprowadzić ta rozmowa.

- Chciałabym kupić dom - powiedziała, zaskakując go po raz kolejny tego wieczoru. - Duży, piękny wygodny dom. Uważasz, że to głupie?

Nie wiedział, dlaczego go o to pyta, jednak widać było, że zależy jej na uzyskaniu odpowiedzi.

- To wcale nie jest głupie. Nie możesz mieszkać tu wiecznie i...

- Tak właśnie myślałam - przerwała mu pośpiesznie. - Prędzej czy później przyjdzie nowy pastor, a ja będę musiała gdzieś się podziać. Chciałabym... - Urwała, jakby zdała sobie sprawę, że nie powinna dzielić się z nim kolejną myślą.

- Jeśli mnie o to pytasz, to sądzę, że powinnaś się pomodlić, a potem przystąpić do działania. Dysponujesz mnóstwem pieniędzy. Twój ojciec pragnął zapewnić ci godne, dostatnie życie. Uśmiechnęła się niepewnie.

- Prawda, że na to wygląda? Ja również doszłam do wniosku, że mu na tym zależało. Czy nie uważasz, że powinnam zaczekać z kupnem domu do zamążpójścia?

Z trudem ukrył zdziwienie. Dlaczego zadała to pytanie właśnie jemu?

- Sądzę, że Bóg pomoże ci znaleźć odpowiedni dom, zadba też o inne ważne sprawy tak, żeby twoje życie ułożyło się jak najpomyślniej.

- Dziękuję. Gdzie zdobyłeś tak głęboką życiową mądrość? - Pod wpływem impulsu wychyliła się ku Jude'owi i cmoknęła go w policzek.

Znieruchomiał, nie mogąc uwierzyć w to, że Delia go pocałowała, po czym, przepełniony szczęściem, przybliżył się, aby posmakować ust Delii. W tym momencie rozległ się trzask gałęzi, głośny jak wystrzał z broni palnej. Natychmiast odskoczyli od siebie. Jude zerwał się na nogi i wiedziony instynktem, wyćwiczonym przez lata wojny, zasłonił sobą Delię.

- Kto tam? Kto tam?! - zawołał, sięgając po rewolwer, którego od dawna nie wyciągał.

- T-to ja - usłyszeli drżący głos kobiety, dochodzący od strony drogi. - Przepraszam, że przeszkadzam.

Delia pierwsza rozpoznała nocnego gościa.

- Panna Susan! - zawołała i puściła się biegiem do furtki.

W srebrzystym blasku księżyca zobaczyła rozczochrane włosy, zadrapany policzek, spuchnięte oko i rozdarty rękaw sukni. U stóp krawcowej stała pękata torba podróżna.

- Co się stało?

- Wytrzymałam t-tyle, ile mogłam... - załkała kobieta. - N-nie chciałam, żeby ktoś mnie zobaczył w t-takim stanie... Przepraszam, że przeszkadzam - powtórzyła, przenosząc wzrok z Delii na Jude'a i z powrotem.

- Proszę nawet o tym nie myśleć. - Jude stanął obok Delii. Dał pannie Susan znak, by weszła. - Czy znowu mąż panią pobił?

Kiwnęła głową i pozwoliła podprowadzić się do domu.

- Był pijany. Nie zdawał sobie sprawy z tego, co robi...

- Kiedy to się stało? - spytała Delia, podsuwając pannie Susan fotel.

- Późno zamknęłam pracownię. Zaskoczył mnie w drodze do pensjonatu, w którym wynajmuję pokój. Pani Mannheim, właścicielka, pomogła mi się spakować i powiedziała, że powinnam skorzystać z pani propozycji zamieszkania na plebanii.

- Oczywiście. Przecież tak się umówiliśmy. - Uklękła obok fotela i pogładziła krawcową po ramieniu.

- Jutro rano pójdę z panią do szeryfa. Musi pani złożyć zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa - powiedział Jude.

- Lepiej nie - zaprotestowała modniarka.

Jude okazał stanowczość.

- Musi wiedzieć, że porządni ludzie nie pozwolą, by mąż tak panią traktował.

- Jutro jest niedziela. W miasteczku będzie pełno ludzi idących do kościoła. Nie chcę, żeby zobaczyli mnie w tym stanie...

Na twarzy Delii odmalowało się współczucie.

- Szeryf Jenkins będzie w kościele. Poproszę go, żeby po południu nas odwiedził.

- Jeśli życzą sobie panie, żebym potwierdził to, co zdarzyło się w pracowni, proszę skierować go do mnie. Mieszkam u Hestonów - dodał Jude.

Wielokrotnie zapewniony, że Delia pomoże nieszczęsnej kobiecie się wykapać i przygotuje dla niej łóżko w wolnym pokoju, Jude wyszedł kilka minut później. Przeczował, że prześladowca panny Susan ponownie ją zaatakuje; nie przypuszczał jednak, że tak szybko. Miał nadzieję, że przyjmując ofiarę przemocy pod swój dach, Delia nie naraża się na niebezpieczeństwo. Doszedł do wniosku, że będzie trzeba na zmianę odprowadzać krawcową do pracowni i towarzyszyć jej w drodze na plebanie po pracy.

W saloonie wciąż roiło się od hałaśliwie zachowujących się podpitych mężczyzn. Pianista najwyraźniej zrobił sobie przerwę, gdyż z wnętrza baru nie dobiegły Jude'a dźwięki muzyki. Gdy znalazł się po drugiej stronie budynku i zobaczył schody prowadzące na piętro, usłyszał czyjeś kroki na podeście.

W czasie wojny mogło to oznaczać, że snajper zajmuje pozycję do oddania strzału. Jude zatrzymał Shiloha w cieniu i spojrzał w górę.

Na szczycie schodów syn burmistrza, dobrze widoczny w blasku księżyca, otwierał drzwi. Jude usłyszał kobiecy głos, a po chwili z wnętrza wychyliła się ręka podająca Ladleyowi laskę ze srebrną główką. Jude modlił się w duchu o to, by Charles go nie zobaczył. Miał nadzieję, że ogier nie zdradzi go parsknięciem ani uderzeniem kopyta o ziemię.

Stojący na piętrze roześmiali się.

- Dzięki, słonko, zupełnie o niej zapomniałem - powiedział Ladley, po czym zszedł schodami na dół i z uśmiechem na ustach zniknął w wąskiej uliczce za budynkiem.

Jude wiedział, że na piętrze znajdują się pokoje, do których dziewczyny z baru zabierają klientów, żeby, delikatnie mówiąc, spędzić z nimi chwile na osobności. Nie wiedział, co Delia czuje do syna burmistrza. Obawiał się, że zakochała się w nim. Był pewien, że nie wie, iż Charles potajemnie spędza czas z kobietami lekkich obyczajów. Czy należało ją co do tego uświadomić?

Delia nie miała ochoty iść do kościoła, i to nie tylko dlatego, że nie chciała zostawić panny Susan samej. Niedzielne msze kojarzyły się jej z widokiem dziadka stojącego na ambonie. Przeczuwała, że właśnie w kościele szczególnie boleśnie odczuje brak dziadka. Poza tym obawiała się, że większość mieszkańców miasteczka, zelektryzowana wiadomością o spadku, po nabożeństwie zasypie ją pytaniami.

Przypomniała sobie jednak, że w kościele będzie Charles. Postanowiła powiedzieć mu o tym, że zamieszkała u niej panna Susan. Czy Jude Tucker przyjdzie na nabożeństwo? - zastanawiała się. Poprzedniego wieczoru nie rozmawiali na ten temat. Była niemal pewna, że zamierzał ją pocałować, jednak pojawiła się panna Susan i nastrój prysł.

Charles czekał na nią przy drzwiach kościoła. Poprowadził ją do pierwszego rzędu ławek, gdzie siedziała już Jane Ladley. Przywitała Delię niezwykle serdecznie i wskazała

jej miejsce obok siebie. Z drugiej strony usiadł Charles. Burmistrz stał przy ambonie. Miała nadzieję, że nie zostanie zmuszona do prowadzenia rozmowy z żoną burmistrza.

Wkrótce pani Purvis zagrała na wiekowych organach pierwsze takty „Shall We Gather at the River”. Wierni zaczęli śpiewać. Kościół wciąż wypełniał się ludźmi; spóźnialscy tłoczyli się przy drzwiach. Podczas drugiego hymnu Delia zauważyła Hestonów w środkowym rzędzie ławek, jednak nie było z nimi Jude'a Tuckera. Doszła do wniosku, że on nie chodzi do kościoła. Usiłowała się skupić na słowach pieśni i słuchaniu przyjemnego dla ucha tenoru Charlesa.

Burmistrz przeczytał jeden z psalmów, po czym zaczął go omawiać tubalnym głosem. Na szczęście tym razem przemawiał krótko, a na zakończenie wyraził nadzieję, że wkrótce zastąpi go nowy pastor i będzie mógł na powrót pełnić jedynie funkcję burmistrza. Zgromadzeni uśmiechnęli się przyjaźnie, a kilka osób nawet się zaśmiało.

Po nabożeństwie Delia z zadowoleniem stwierdziła, że Ladleyowie onieśmielają mieszkańców Llano Crossing. Witano się z nią, lecz nikt nie odważył się pytać o spadek. Gdy Ladleyowie zwrócili się do Bartona Jeffersa, właściciela tartaku, Delia skorzystała z okazji i poprosiła szeryfa Jenkinsa, żeby odwiedził ją po południu i wysłuchał panny Susan. Szeryf się zgodził, acz niechętnie.

- Zjesz dziś z nami obiad? - zapytała ją matka Charlesa, kiedy Delia dołączyła do Ladleyów.

- Serdecznie dziękuję za zaproszenie. Panna Susan zatrzymała się u mnie na kilka dni i nie chciałabym zostawiać jej samej.

- O?! Kiedy to się stało? - spytał zdziwiony Charles.

Delia wiedziała, że zastanawiał się, dlaczego nie spotkał się z panną Susan poprzedniego wieczoru, kiedy odwiedził plebanię.

- W takim razie proszę przyjść z panną Susan. Im więcej gości, tym weselej - orzekł stojący za synem burmistrz.

- Panna Susan... nie czuje się dobrze. Dziękuję, ale może innym razem.

Czuła na sobie zaciekawiony wzrok Charlesa, jednak nie chciała niczego mu szczegółowo wyjaśniać w obecności rodziców.

Przed sobotnim przyjęciem i przemową Amosa Dawsona Delia planowała, że uda się do miasteczka w poniedziałek, wstąpi do banku i - być może - dokona pierwszej wypłaty z konta. Nie zamierzała podejmować dużej kwoty, chciała jedynie mieć pieniądze na najpilniejsze potrzeby. Myślała o tym, aby zajrzeć do pracowni panny Susan i zamówić kilka sukien oraz ozdobioną koronką bieliznę.

Potem miała wejść do sklepu spożywczego i kupić żywność. Cieszyło ją to, że tym razem nie będzie musiała się ograniczać - najczęściej kupowała jedynie mąkę i cukier - i pozwoli sobie na kupno galaretek oraz całej torebki laseczek miętowych. A jeśli pan Dean wciąż będzie miał piękny szal z delikatnej wełnianej tkaniny z deseniem przypominającym płatki i pióra, z długimi czarnymi frędzlami, natychmiast go sobie sprawi.

Myślała, że nareszcie nie będzie musiała dokonywać skomplikowanych obliczeń, na co może sobie pozwolić. Skończy się też sprzedawanie jajek. Przejrzawszy się w splekanym lustrze wiszącym w pokoju, uznała, że przydałoby jej się nowe, odpowiedniejsze dla eleganckiej damy, którą miała się stać. Kupi też sobie pachnący krem, by wcierać go w suche, spracowane dłonie z nadzieją, że staną się tak gładkie jak u zamożnych kobiet, które zatrudniały służące do szorowania podłóg i mycia naczyń.

Tego ranka krawcowa powiedziała, że nie zamierza pokazać się w pracowni modniarskiej dopóty, dopóki nie zniknie opuchlizna i siniak wokół oka, i poprosiła Delię o umieszczenie na drzwiach kartki informującej, że zakład jest nieczynny do odwołania. Pomimo burkliwych zapewnień szeryfa, że surowo zakáže Donleyowi Morrisonowi nachodzenia żony, panna Susan wciąż obawiała się męża. Delia rozumiała niechęć modniarki do pokazywania się w miasteczku i narażania się na ciekawskie i współczujące spojrzenia. Sińce z pewnością znikną po upływie tygodnia, jednak znacznie więcej czasu zajmie przekonanie panny Susan, że powinna wrócić do pracy.

Gdy upinała fryzurę, rozległo się pukanie do drzwi. Kto mógł złożyć jej wizytę o tak wczesnej porze? Ostrożnie wyjrawszy z okna sypialni, zobaczyła stojącego w progu Jude'a Tuckera. Pomyślała, że przyszedł sprawdzić, jak czuje się panna Susan, a jednak pomknęła do drzwi jak na skrzydłach.

- Dzień dobry. Wczesnie dziś wstałeś - powiedziała na powitanie, zapraszając go do środka. - Napijesz się kawy? Jadłeś śniadanie? Mogę ci zrobić jajecznicę, zostało też trochę dżemu.

- Dzień dobry. Pięknie wyglądasz. Dziękuję, ale pani Heston przygotowała mężowi i mnie niezwykle obfite śniadanie.

- Przyszedłeś się dowiedzieć, jak czuje się panna Susan? - zapytała, zniżając głos do szeptu. - Właśnie ubiera się w swoim pokoju, ale na pewno zaraz się tu pokaże.

- Czy był tu Jenkins?

- Tak. Stwierdził, że Morrison po rozmowie z nim nie ośmieli się jej tknąć. Biedaczka nadal nie ma ochoty pokazać się ludziom.

- Dajmy jej jeszcze kilka dni. Przyszedłem, żeby się dowiedzieć o samopoczucie panny Susan, ale chciałbym również, żebyś pojechała ze mną coś zobaczyć.

- Ale co? Gdzie?

Uśmiechnął się szeroko.

- To niespodzianka. Przekonasz się na miejscu.

Rozdział dziesiąty

- Niczego mi nie zdradzisz, póki tam nie dojedziemy? - zapytała Delia.

Przed plebanią stał czterokołowy powóz Hestonów.

- Nic a nic. Przecież to niespodzianka - odparł Jude i skierował konia na drogę. - Chyba dawno nie wyjeżdżałaś z miasteczka, prawda?

Potwierdziła skinieniem głowy.

- Odkąd dziadek podupadł na zdrowiu, rzadko oddalałam się od domu. A wszystko, czego potrzebowaliśmy, można było kupić w miasteczku.

Przejechali kilka mil na zachód, gdy niespodziewanie Jude zatrzymał powóz przed zakrętem.

- A teraz zamknij oczy - powiedział.

Delia spełniła jego prośbę. Czuła, że powóz mija zakręt. Po chwili Jude krzyknął „hola”.

- Teraz możesz otworzyć oczy.

Na rozpościerającym się przed nią łagodnym wzniesieniu nad rzeką Llano, w cieniu topól i starych, sękatych dębów stał niewykończony duży jednopiętrowy dom, obok którego znajdowały się stajnie.

- Czyj to dom?

Jude uśmiechnął się.

- Może być twój, jeśli ci się spodoba. Teren ma pięć akrów.

Wpatrywała się w Jude'a z niedowierzaniem.

- Ale kto rozpoczął budowę i dlaczego jej nie skończył?

- Powiedziano mi, że jankescy spekulanci kupili tę ziemię od starszego małżeństwa... Może słyszałaś o Delaceyach, którzy przeprowadzili się do Houston? Jankesi zburzyli stary dom i rozpoczęli budowę.

- Pamiętam, że Delaceyowie się wyprowadzili. Byli najstarszymi członkami zgromadzenia. Słyszałam też o dwóch Jankesach, którzy tuż po wojnie przybyli do naszego miasteczka i chcieli kupić ziemię, ale nie wiem, jak to się skończyło. Dziadek nie interesował się takimi sprawami. Wiesz, co się z nimi stało?

- Pan Heston powiedział, że mieszkańcy miasteczka dali im wyraźnie do zrozumienia, iż nie będą tu szczęśliwi.

- Dali do zrozumienia? - powtórzyła Delia.

- Tylko tyle udało mi się dowiedzieć. Odniosłem wrażenie, że pan Heston nie pochwała sposobu, w jaki zostali o tym przekonani. W każdym razie skończyło się tym, że Jankesi sprzedali nieruchomość bankowi i wyjechali.

Delia patrzyła na niewykończony dom, który mógł w sobie pomieścić co najmniej cztery plebanie. Przeniosła wzrok na Jude'a.

- Uważasz, że mogłabym...

- ...kupić ten dom za uczciwą cenę. Musiałoby upłynąć trochę czasu, zanim mogłabyś się do niego wprowadzić, ponieważ jest w stanie surowym. Moim zdaniem, akurat to jest korzystne, bo miałabyś szansę zaprojektować i urządzić wnętrze według swego uznania.

Delia poczuła dreszczyk emocji.

- Och, Jude, czy mogłabym wejść do środka?

- Zdziwiłbym się, gdybyś nie miała na to ochoty - odparł z uśmiechem. - Zaciągnął hamulec, wysiadł z powozu i podał rękę Delii.

Ujawszy ją, poczuła zrogowacenia powstałe w wyniku ciężkiej fizycznej pracy. Zbyt podekscytowana, aby zachować się jak dama, Delia pobiegła w stronę domu. Wnętrze nie zostało podzielone na pokoje; znajdował się w nim jedynie komin i drewniane schody prowadzące na piętro.

- Tu mogłaby być bawialnia. - Delia wskazała część z kominem na parterze. - Kuchnia tam, z tyłu; z kolei tu salonik - mówiła, żywo gestykulując. - Możemy wejść na schody? - zapytała.

Zadowolony, że Delia okazuje tak wielki entuzjizm, Jude podał jej dłoń.

- Pozwoli pani, że będę jej towarzyszył. Zamiast tego - wskazał prymitywnie ciosaną poręcz - może pani mieć balustradę i schody z drewna orzechowego.

- Tu jest cudownie - zachwyciła się Delia, gdy znaleźli się na piętrze. - Jest miejsce na co najmniej sześć sypialni, nawet jeśli moja będzie bardzo duża. - Wyjrzawszy przez

otwór okienny, roześmiała się na widok pobliskiej rzeki Llano i pofałdowanego, usianego drzewami krajobrazu z niebieskimi wzgórzami w tle.

- Widzę, że ci się tu podoba - powiedział Jude, gdy zstępowali ze schodów. - Masz ochotę kupić ten dom? - Było to bardziej stwierdzenie faktu niż pytanie.

- Czy będzie mnie na niego stać? - wyraziła na głos swoje obawy.

Jeszcze nie wiedziała, ile pieniędzy odziedziczyła.

- Tak sędzę, ale oczywiście powinnaś starannie to przemyśleć.

- I się modlić, jak powiedziałałyby mój dziadek.

Zamknęła oczy, wyobrażając sobie, że tu mieszka. Nie będzie musiała się martwić przeciekającym dachem i przeciągami. Będzie mogła wydawać przyjęcia i oddać gościom do dyspozycji pokoje na piętrze. Niewykluczone, że za pewien czas zamieszkają tam jej dzieci. Ale kto będzie jej mężem, a ich ojcem?

Zastanawiała się, czy ten dom spodobałby się Charlesowi. Kiedy wspomniała mu, że chciałyby kupić dom, zasugerował, że powinna poczekać i pozwolić, żeby mąż wybrał dom dla niej. Czy zmieni zdanie, kiedy zobaczy to miejsce?

Kręciło jej się w głowie z nadmiaru wrażeń. Jude spodobał jej się od pierwszego wejrzenia, jednak zrobił wszystko, by ją do siebie zniechęcić. Mimo to znalazł dom jak z jej marzeń. Tymczasem Charles nie ukrywał swego zainteresowania.

- Muszę się spotkać z panem Dawsonem - orzekła, rozglądając się dookoła. - Jeśli uznamy, że stać mnie na ten dom, oczywiście doliczając koszty prac budowlanych, kupię go.

- Bardzo rozsądne podejście - pochwalił Jude.

- Dziadek nauczył mnie szacować koszty przedsięwzięcia przed rozpoczęciem prac. A właśnie... Jak znaleźć fachowców, którzy wykonają prace wykończeniowe?

- No cóż... Jestem cieślą. Moja praca dla Hestonów już się kończy.

- Mógłbyś zrobić to wszystko sam?

- Przy niektórych robotach musiałbym prosić o pomoc, ale uzyskanie jej nie byłoby zbyt trudne.

- Znalazłeś dla mnie dom tylko po to, aby zapewnić sobie pracę?

Delia odczuła rozczarowanie na myśl o tym, że być może Jude miał na względzie jedynie własną korzyść. Trudno było cokolwiek wyczytać z jego oczu, osłoniętych przed słońcem szerokoskrzydłym kapeluszem.

- Pomyślałem, że mógłbym upiec dwie pieczenie na jednym ogniu - przyznał szczerze. - Miałbym pracę i mógłbym zostać trochę dłużej, a poza tym pomógłbym ci spełnić twoje marzenie.

Delia postanowiła jeszcze tego samego dnia udać się do banku na rozmowę z Amosem Dawsonem i wziąć odpowiednie dokumenty, jeśli bankier uzna, że stać ją na tę inwestycję. Zamierzała też wsłuchać się w głos Boga przy odmawianiu wieczornej modlitwy.

- Ile czasu potrzebowalbyś na wykończenie domu? - zapytała, gdy znaleźli się w powozie i ruszyli w stronę plebanii. - Jeśli diakoni znajdą nowego pastora, zanim skończysz... Cóż, wynajmę pokój w hotelu.

- Jest wrzesień. O ile pogoda będzie nam sprzyjać, wprowadzisz się do nowego domu tuż przed Świętem Dziękczynienia, a może nawet wcześniej - odpowiedział Jude.

Delia doznała nagłego olśnienia.

- Myślę, że powinnam wykorzystać część pieniędzy na remont plebanii. Zleciłabym ci także i tę pracę. Nowy pastor i jego rodzina zasługują co najmniej na nowy dach i odmalowane wnętrza.

Jude popatrzył na nią z uznaniem.

- Jesteś bardzo hojną damą, Delio Keller. Tak, właśnie przede wszystkim damą.

Zajrzała do panny Susan. Była w znacznie lepszym nastroju niż rano i Delia postanowiła bezzwłocznie udać się do banku. Z tego, co mówił Jude, wynikało, że jak dotąd nikt inny nie zainteresował się kupnem niewykończonego domu, jednak nie chciała ryzykować, że go straci.

Amos Dawson przyjął ją z wyraźnym zadowoleniem, sądząc po szybkości, z jaką została wprowadzona do jego gabinetu przez młodego szczupłego kasjera, który, zanim rozeszła się wiadomość o jej majątku, traktował ją tak, jakby naprzykrzała się bankowi. Teraz, nim zostawił Delię z Dawsonem, podał jej szklanekę lemoniady i świeżo upieczone ciasteczka.

- Panno Keller, czym Llano Grossing Bank może dziś pani służyć? - zapytał Dawson, uśmiechając się promiennie.

Delia wyjaśniła, że chciałaby kupić dawny dom Delaceyów. Nie wspomniała jednak, skąd dowiedziała się o tym, że dom jest na sprzedaż.

- Och, doskonale! - zawołał dyrektor banku, klaszcząc w dłonie. - Uważam, że to bardzo odpowiedni dom dla pani.

- Okaże się, czy jest odpowiedni, gdy poznam cenę - zauważyła Delia, starając się nadać swemu głosowi wesołe brzmienie. Nie zamierzała pokazywać, jak bardzo jej zależy na kupnie domu. - Zamierzam rozsądnie gospodarować pieniędzmi.

- Oczywiście, oczywiście - pochwalił Dawson, lecz jego twarz nie wyrażała żadnych emocji. Sięgnął po kartkę papieru, zamoczył pióro w kałamarzu, napisał kilka cyfr i podał ją Delii. - To jest suma, którą bank życzy sobie otrzymać za ziemię i dom.

Delia spojrzała na rząd cyfr, starając się, by jej oblicze pozostało nieprzeniknione. Uznawszy cenę za znacznie zawyżoną, wymieniła sumę o kilkaset dolarów niższą.

Amos Dawson zawahał się.

- Stawia pani wymagania, ale cóż... nieruchomość już dłuższy czas czeka na nabywcę. Zgoda, bank przyjmuje pani warunki.

- Bardzo się cieszę.

- Bezzwłocznie przygotujemy dokumenty - ciągnął Dawson. - Jestem niezmiernie rad, że zamierza pani pozostać w Llano Crossing. Czy mógłbym zaproponować pani ekipę doskonałych fachowców niemieckich z Gillespie Springs do prac budowlanych i wykończeniowych?

- Dziękuję. Mam upatrzonego fachowca. - Zauważywszy błysk ożywienia w oczach Dawsona, postanowiła nie zaspokajać jego ciekawości. - Twierdzi, że jeśli pogo-da dopisze, wprowadzę się do nowego domu jeszcze przed Świętem Dziękczynienia.

- Będzie musiała pani wybrać meble odpowiedniej jakości i zamówić przewóz do Llano Crossing.

- Najpierw zobaczę, co pan Dean ma w swoim magazynie.

- Znajdzie tam pani meble odpowiednie najwyżej na okres przejściowy. Mam kontakt z rzemieślnikami, którzy wiedzą, jakie meble powinna mieć dama o pani statusie majątkowym. Towarzyszyłem pani Ladley przy zakupie gustownych mebli.

- Dziękuję, będę o tym pamiętać.

Delia nie zamierzała pozwolić, by Dawson zyskał jakąkolwiek kontrolę nad jej poczynaniami. Groziło to szybkim pozbyciem się całego spadku. Wstała.

- Dziękuję panu. Kiedy będę mogła złożyć podpis na dokumentach?

- Jutro, panno Keller. Powiedzmy o dziewiątej?

Delia skinęła głową, planując w myślach następny dzień. Po podpisaniu dokumentów chciała się udać na zakupy.

- Pozostaje jeszcze jedna kwestia, której warto poświęcić uwagę - dodał Amos Dawson, zanim zdążyła dojść do drzwi. - Mam na myśli zainwestowanie pani pieniędzy - powiedział, szybko podchodząc do Delii, jakby w obawie, że wyjdzie, nim on skończy mówić. - Określona kwota powinna przynieść zysk. Jest wiele sposobów: obligacje, nieruchomości i, na przykład, Komitet na rzecz Poprawy Warunków Życia, któremu leży na sercu dobro mieszkańców Llano Crossing i rozwój miasta.

- Tak, naturalnie. - Delię rozbolała głowa. Przed odziedziczeniem majątku jej życie było tak cudownie nieskomplikowane...

Dawson zauważył jej znużenie.

- Zająłem pani dużo czasu, panno Keller. Nie musimy dzisiaj omawiać szczegółów. Kiedy rozpoczną się prace budowlane przy pani domu i będzie pani mogła poświęcić mi godzinę, wrócimy do tej rozmowy.

- Z pewnością - potwierdziła i pośpiesznie opuściła gabinet w obawie, że dyrektor znów sobie o czymś przypomni.

Po wyjściu z banku, ku swemu zaskoczeniu, zobaczyła Charlesa Ladleya siedzącego w okazałym landzie. Wyglądało na to, że na nią czekał.

- Widziałem, jak pani wchodziła do banku - powiedział. Zdjął kapelusz i otarł spocone czoło. - Przyznam, że nie spodziewałem się, że spędzi pani tam aż tyle czasu. Pewnie załatwiała pani ważne sprawy.

- Można to tak nazwać. Jeśli nie ma pan pilnych zajęć, chciałabym panu coś pokazać.

Sprawiał wrażenie zaintrygowanego.

- Mój powóz jest do pani dyspozycji - rzekł szarmancko, podając jej rękę.

Po niedługim czasie dojechali na miejsce.

- Kupuję ten dom - oznajmiła Delia. - To właśnie dlatego byłam w banku. Chciałby pan zobaczyć wnętrze?

- Oczywiście.

Poszedł za nią do budynku, bez specjalnego zainteresowania słuchając, jak Delia rozprawia z ożywieniem. Ciężko wspierając się na lasce, wstąpił na prymitywnie ciosane schody, by obejrzeć piętro i podziwiać widok z okna.

- Jest jak dla mnie stworzony, nie sądzi pan?

- Uważam, że może to być całkiem przyjemne miejsce, ale trzeba włożyć w ten budynek sporo pracy i pieniędzy - skwitował. - Jak pani znalazła ten dom?

Wiedziała, że usłyszy to pytanie. Mogła skłamać, powiedzieć, że natknęła się na niego przypadkiem podczas spaceru. Mówienie nieprawdy nie leżało jednak w jej naturze.

- Jude Tucker go odkrył i doszedł do wniosku, że właśnie taki dom może mi się spodobać - odparła, uważnie obserwując twarz Charlesa.

Była ciekawa jego reakcji.

Zacisnął szczęki, a jego błyszczące oczy przygasły.

- A więc rozmawia pani o swoich marzeniach z Tuckerem?

Zdała sobie sprawę, że Charles poczuł się dotknięty.

- Nie nazwałabym tego w ten sposób. Pan Tucker szuka pracy, a kiedyś wspomniałam mu, że myślę o kupnie domu, to wszystko. - Zacerwieniła się na wspomnienie okoliczności, w jakich zwierzyła się Jude'owi ze swych planów; na ganku o północy.

- Aha.

- Tucker uważa, że prace potrwać do Święta Dziękczynienia. Mam nadzieję, że będę mogła liczyć na pańską pomoc przy wyborze mebli, zasłon. - Chciała udobruchać Charlesa. - Jeśli zarząd parafii znajdzie nowego pastora, zanim będę mogła się wprowa-

dzić do nowego domu, wynajmę pokój w hotelu. - Zdała sobie sprawę, że usilnie stara się zagadać niezręczną sytuację.

- Dobrze pani wie, że może liczyć na moją pomoc. Oczywiście podejmie pani decyzję według swego uznania, ale, proszę mi wybaczyć, to wszystko wydaje się zbędne.

Zadała sobie w duchu pytanie, co Charles ma na myśli.

- Moi rodzice nawet nie chcieliby słyszeć o tym, że mogłaby pani zamieszkać sama w hotelu, podczas gdy w Ladley House są pokoje gościnne - wyjaśnił z wyraźnym zniecierpliwieniem. - Mogłaby się pani do nas wprowadzić choćby jutro, gdyby tylko pani zechciała. Uważam, że powinna pani to zrobić. W obecnej sytuacji wręcz nie wypada, by mieszkała pani sama w tej rozpadającej się chałupie.

Delia otworzyła usta, zamierzając bronić plebanii. Przez lata była niemym świadkiem chwil radości i smutku zarówno jej, jak i dziadka. Było jej tam dobrze.

- Jeśli pani wprowadzi się do Ladley House - kontynuował Charles - będziemy mogli spędzać więcej czasu razem, nie uchybiając moralności ani przyzwoitości. Nie chciałem mówić o tym tak wcześnie, mając na względzie pani żalobę, ale pozwalam sobie żywić nadzieję na naszą wspólną przyszłość. Sądziłem, że razem będziemy szukać odpowiedniego domu.

Rozdział jedenasty

- N-nie wiedziałam, że pan myśli o... - Speszona, a zarazem uradowana Delia musiała zaczerpnąć tchu.

- Widzę, że zanadto dałem się ponieść emocjom. Bardzo przepraszam.

- Przecież nie mówię „nie”. Po prostu jest dla mnie za wcześnie na podjęcie tak poważnej decyzji.

- Pani mądrość dorównuje niezwyklej urodzie - orzekł Charles. - Jest też pani dzielna i ma wielkie serce. To dlatego udzieliła pani schronienia pannie Susan.

„Schronienia”? Charles wydawał się wiedzieć znacznie więcej, niż się spodziewała. W niedzielę po nabożeństwie nie wyjawiała przecież ani jemu, ani jego rodzicom całej prawdy.

- Spotkałem się dziś z Dixonem Millerem. Powiedział, że szeryf rozmawiał z nim o jego pomagierze, Donleyu Morrisonie - wyjaśnił Charles. - Czy panna Susan zamierza zatrzymać się u pani na dłużej? Może szybciej doszłoby do pojednania z Morrisonem, gdyby go nie unikała?

Delia doszła do wniosku, że wypowiedziane przed chwilą słowa świadczą o tym, że Charles nie wie niczego ponad to, że modniarkę łączy bliska znajomość z Morrisonem.

- Panna Susan unika jego pięści oraz żądań, by dała mu pieniądze na whisky.

Sprawiał wrażenie szczerze zaskoczonego.

- Ach, to tak. Rozumiem. Proszę być ostrożną. Mężczyźni, którzy biją żony, są niebezpieczni i nie mają skrupułów. Mogą zrobić krzywdę także tym, którzy starają się ich powstrzymać.

Następnego wieczoru Delia i panna Susan sprzątały po kolacji, gdy na plebanię zawitał Jude Tucker.

- Dobry wieczór. Panno Susan, jak się pani czuje?

Delia zauważyła, że modniarka pokraśniała na twarzy, zadowolona z okazanego jej zainteresowania.

- Zdecydowanie lepiej. Obserwuję, jak to zmienia kolory - wskazała siniak wokół oka, które już mogła otwierać - z czarnego na purpurowy, potem na zielony. Chyba jutro wrócę do pracy choćby po to, żeby zobaczyć, jak ludzie się na mnie gapią.

- Niezłomny duch - pochwalił Jude i uśmiechnął się do panny Susan. - Przyniosłem projekty - zwrócił się do Delii i podał jej kilkanaście kartek.

Rozrysował szczegółowe plany wykończenia wnętrza domu, sporządził też szkic przedstawiający dom z zewnątrz po ukończeniu prac. Widać było, że poświęcił projektom wiele czasu i namysłu.

- Wprowadź odpowiednie zmiany. - Jude wskazał na szkice. - Pamiętaj, że to będzie twój dom.

- Chciałabym, żeby to okno było większe. - Delia wzięła do ręki rysunek przedstawiający salon. - A czy tutaj mogłaby być weranda?

- Wedle życzenia właścicielki - odrzekł z komiczną powagą Jude. - Pod koniec tygodnia zakończę pracę u Hestonów i wezmę się za twój dom. Pozostanę u nich przynajmniej do czasu, gdy wygoi się ramię pana Hestona, więc będziesz miała kilka dni na wprowadzenie niezbędnych poprawek.

Panna Susan obejrzała projekty, nie kryjąc podziwu, a potem wymówiła się pilnym szyciem i wyszła, zostawiając Jude'a i Delię na ganku. Przez dłuższy czas siedzieli w milczeniu, ciesząc się swym towarzystwem.

Wiał lekki wietrzyk niosący przyjemne orzeźwienie po upalnym dniu, a w powietrzu unosił się zapach jesieni.

- Czym zajmowałaś się przed wojną? - zapytała w pewnej chwili Delia. - Pracowałaś jako cieśla?

Jude zapatrzył się na niebieskie wzgórza wylaniające się znad jadłoszynów. Czuł, że w końcu Delia zada mu to pytanie. Nie chciał zbywać jej wymijającą odpowiedzią.

- Jeśli wolałbyś nie odpowiadać na pytania, nie będę na ciebie naciskać - powiedziała, zanim zdążył otworzyć usta. - To byłoby bardzo nieuprzejme z mojej strony. Nie wydaje mi się, że ukrywasz się przed wymiarem sprawiedliwości albo masz na sumieniu nieczyste sprawy.

- Rzeczywiście nie jestem przestępcą ani straceńcem. - Jude uśmiechnął się do Delii, aby dać jej do zrozumienia, że nie ma nic przeciwko jej pytaniu. Uciekam przed samym sobą, dodał w myślach.

- Nie wyglądasz mi też na człowieka, który zostawił żonę i siedmioro dzieci - dodała.

Uśmiechnął się szerzej.

- Nigdy nie byłem żonaty, nie jestem też ojcem. Opowiem o sobie, lecz chciałbym zaznaczyć, że pewna część mojego życia bezpowrotnie należy do przeszłości. Nauczyłem się ciesiołki przy ojcu, ale potem zostałem kaznodzieją. Byłem pastorem w kościele w niewielkim miasteczku Mount Mulberry w stanie Tennessee.

Zaskoczona Delia czekała, aż Jude powie coś więcej na ten temat. Milczał, więc spytała:

- Dlaczego przestałeś być kaznodzieją?

Oczami wyobraźni Jude ujrzał sceny wojennej pożogi: morze krwi, stosy poległych. Wydawało mu się, że słyszy strzały z broni palnej i krzyki rannych. Pomyślał też o Norze i o tym, jakie piętno odcisnęła ta znajomość na jego duszy. Pragnął być z Delią szczerzy, wiedział jednak, że gdy wszystko jej wyzna, będzie na niego patrzyła innymi oczami. Poza tym niektóre sprawy były intymne i wciąż zbyt bolesne, by się nimi dzielić.

- Wojna zmienia ludzi - powiedział po namyśle, mając nadzieję, że Delia nie będzie domagała się szczegółów. - Mam na sumieniu sprawy, które uniemożliwiają mi na powrót zostać kaznodzieją.

- Bóg jest nieskończenie miłosierny i wszystko nam wybacza. Wystarczy tylko Go poprosić o przebaczenie.

- Już to zrobiłem i wierzę, że mi wybaczył. Rzecz w tym, że ja nie potrafię sobie wybaczyć, dodał w duchu.

Delia popatrzyła na niego z niedowierzaniem, jakby odrobinę rozdrażniona.

- W Llano Crossing ambona stoi pusta...

- Pewna część mojego życia należy do przeszłości - powtórzył Jude.

- Uważam, że wykonując zawód cieśli można służyć Bogu, lecz nie powinieneś marnować swoich talentów.

- Mówiłaś przecież, że do czasu znalezienia nowego pastora kazania będzie wygłaszał burmistrz.

- Pan Ladley stara się jak może, ale nie jest pastorem, o czym byś się przekonał, gdybyś przyszedł do kościoła - zauważyła nie bez złośliwości. - Dlaczego nie uczestniczyłeś w niedzielnym nabożeństwie? Może gdybyś przyszedł, odezwałoby się twoje powołanie?

Odwrócił wzrok. Obawiał się, że gdyby uczestniczył w nabożeństwie, poczułby nieodpartą potrzebę głoszenia Słowa. A przecież nie był tego godzien.

- Proszę, zastanów się nad przyjściem do kościoła w następną niedzielę. To, że byłeś kaznodzieją, wiele wyjaśnia. Na przykład okazanie współczucia pannie Susan. Myślę, że byłeś bardzo dobrym pastorem.

Sam tak uważał dopóty, dopóki wojna nie zmieniła jego zapatrywań na wrodzone dobro ludzkiej natury i jego zdolności opierania się pokusom.

- Nie mów nikomu o tym, co usłyszałaś, dobrze? - zwrócił się do Delii.

- Dobrze, ale będę się modlić o to, żebyś znów odczuł powołanie. Po tym, jak skończysz prace przy budowie mojego domu, oczywiście - dodała z uśmiechem, żeby rozładować atmosferę.

Zamierzała się za niego modlić! To znaczyło dla Jude'a więcej, niż skłonny byłby się do tego przyznać.

- To dobry człowiek - orzekła panna Susan, powróciwszy na ganek po tym, jak Jude odjechał w stronę miasteczka. - Jest więcej wart niż dziesięciu Charlesów Ladleyów.

Delia zastanawiała się, czy modniarka podsłuchiwała ich rozmowę na ganku, jednak panna Susan nie była osobą skłoną do wściubiania nosa w nie swoje sprawy.

- Spotkała pani Jude'a Tuckera zaledwie dwa czy trzy razy. Skąd ta pewność? - Nie zamierzała się spierać z panną Susan; była ciekawa jej zdania.

- Przecież to widać na pierwszy rzut oka.

- Myślę, że Charles też jest dobrym człowiekiem - powiedziała z rozmarzeniem Delia. - Był dla mnie bardzo uprzejmy, zresztą, jego rodzina również miło mnie potraktowała. Od dawna go lubię, a teraz wreszcie on zaczyna lubić mnie.

Zastanawiała się, jaką opinię wygłosiłaby panna Susan, gdyby się dowiedziała, że Charles poprosił, by Delia zamieszkała z jego rodziną, i praktycznie jej się oświadczył.

- Niektórzy są po prostu dobrzy, a inni są dobrzy wtedy, gdy spodziewają się osiągnąć korzyść. Nie zamierzam wtrącać się w pani życie, radzę dogłębnie się zastanowić, zanim podejmie pani tak poważną decyzję.

- Poważną decyzję? - powtórzyła jak echo Delia. - Jude wyraźnie dał mi do zrozumienia, że nie jest mną zainteresowany, a poza tym nie planuje osiąść w Llano Crossing. Potrzebuję domu, a on szuka pracy, to wszystko. Tymczasem z Charlesem łączy mnie coraz więcej...

Panna Susan nie posiadała się z oburzenia.

- Jude Tucker nie jest panią zainteresowany?! Delio Keller, czas już otworzyć oczy! Jude może sobie mówić, co chce, ale proszę wziąć pod uwagę to, co robi!

Zdumiona Delia wpatrzyła się w modniarkę.

- Dobrze, zastanowię się nad tym - obiecała.

- Żałuję, że nie ma wśród nas wielebnego McKinneya. Powiedziałby pani to samo co ja. I na pewno kazałby się pani modlić o cnotę roztropności.

- Ja też ogromnie żałuję, że nie ma tu z nami dziadka.

- Czy robisz postępy w ubieganiu się o rękę naszej uroczej Delii? - zapytał syna burmistrz, siedząc w prywatnym saloniku hotelowej restauracji. - Posuwasz się naprzód?

Lada chwila mieli nadejść pozostali członkowie Komitetu na rzecz Poprawy Warunków Życia, jednak póki co wygodnie rozparty w krześle Charles mógł swobodnie rozmawiać z ojcem przy sutym posiłku i cygarze.

Uśmiechnął się do ojca przez mgiełkę aromatycznego dymu.

- Wszystko jest na jak najlepszej drodze do sukcesu - odparł. - Oczywiście muszę postępować ostrożnie, bez zbytniego pośpiechu - zaznaczył, mając żywo w pamięci rozmowę z Delią po obejrzeniu domu, który zamierzała kupić. - Pamiętajmy, że jest wnuczką pastora. Nie chciałbym spłoszyć klaczki, zanim jej nie osiodłam. - Nie zamierzał mówić ojcu, że omal na dobre nie wystraszył Delii, zbyt otwarcie przedstawiając jej swoje zamiary.

Ladley senior zaniósł się głośnym śmiechem.

- Mój chłopcze, ależ ty jesteś staroświecki. Nie zwlekaj, bo inni przyciągną jej uwagę. Zdobądź się na śmiałość. Kobiety to lubią.

- Co sugerujesz, ojcze?

- Nadszedł czas na kosztowny podarunek. Spraw jej coś tak cennego, by uznała, że nie powinna przyjmować tego daru przed oficjalnym ogłoszeniem zaręczyn, a jednocześnie tak wspaniałego, żeby nie potrafiła odmówić.

- Przecież musimy oszczędzać pieniądze na nasz projekt. To chyba nie najlepszy czas na wydawanie.

- Chłopcze, czasami trzeba wydać pieniądze, by zdobyć większe, czyż nie uczyłem cię tego? Jeśli uda ci się nakłonić tę dziewczynę do małżeństwa, a im szybciej to zrobisz, tym lepiej, będziemy mieli więcej pieniędzy na osiągnięcie naszych celów niż w przypadku oskubania mieszkańców miasteczka.

- Właśnie przyszedł mi do głowy wspaniały pomysł - powiedział Charles.

Rozdział dwunasty

- To było wspaniałe! - zawołała Delia. - Zapomniałam już, jak cudowna jest szybka jazda, gdy wiatr rozwiewa włosy. Miałam wrażenie, że fruвам. - Czule poklepała błyszczącą szyję wałacha pożyczonego ze stajni Ladleyów.

- Jesteś urodzoną amazonką - pochwalił ją Charles. - Radziłaś sobie świetnie, mimo że nie jesteś przyzwyczajona do damskiego siodła.

- Niezwykle taktownie to ująłeś. Midnight okazał się wyjątkowo wyrozumiały dla moich niedociągnięć - powiedziała, ponownie poklepując konia. - Papa pozwalał mi dośiadać swojego wierzchowca i nie zdradził mamie, jak szybko galopowaliśmy. Po tym, jak mnie zostawił, jeździłam jedynie na dziadkowym mule, który wkrótce zakończył żywot.

- Mama prosiła przekazać, że możesz zatrzymać jej kostium jeździecki i kapelusz. Ostatnio niezmiernie rzadko wybiera się na przejażdżki. Kostium leży na tobie jak ulał - dodał, przyglądając się Delii z nieskrywanym podziwem.

- To bardzo uprzejme z jej strony. - Delia poczuła, że rumieni się od nadmiaru pochwał. Wiedziała, że strój do konnej jazdy podkreśla jej szczupłą talię, a ciemnozielona tkanina komponuje się z jej mleczną cerą.

- Mam nadzieję, że wstąpisz do nas, by napić się czegoś zimnego - kontynuował Charles, gdy mijali rząd sklepów. - Nasza kucharka robi najlepszą mrożoną herbatę w całym Teksasie, a Manuel przyniósł dziś świeży lód z chłodni.

- Bardzo bym chciała. Jednak skoro poświęciłam cały ranek na przyjemności, podczas gdy powinnam siedzieć nad projektami domu, lepiej zrobię, zatrzymując się tutaj, tak jak zaplanowałam. - Delia podała Charlesowi wodze, zsiadając z konia. - Och! Zapomniałam, że po długiej przerwie człowiek sztywnieje na końskim grzbiecie.

- Znajdziemy sposób, by temu zaradzić. Będziemy częściej wybierać się na przejażdżki. Pamiętaj, że jesteś damą i dysponujesz wolnym czasem. Powinnaś poświęcać go na przyjemności.

- Zastanawiam się, czy zgodziłbyś się pójść z Lucy na zakupy - zagadnął Jude'a pan Heston. - Uparła się, że musi kupić w miasteczku żywność. Twierdzi, że nie ma mą-

ki, kukurydzy i wielu innych produktów. Doktor Jones twierdzi, że moja ręka nie nadaje się jeszcze do dźwigania ciężarów.

Przed godziną Jude obwieścił, że skończył pracę nad przybudówką. Zamierzał wybrać się do tartaku i uzupełnić zapas drewna, jednak nic nie stało na przeszkodzie, żeby w tym zająć.

- Dobrze, tylko umyję się pod pompą.

Był zgrzany z wysiłku. Rano nie zdążył się ogolić, ale miał nadzieję, że nie przyniesie wstydu pani Heston w czasie wspólnej wyprawy do miasteczka. Kiedy dokonali sprawunków w sklepie spożywczym, pani Heston powiedziała, że chciałaby również odwiedzić inne sklepy, a potem udać się do krawcowej. Minęło już pięć lat od czasu, gdy sprawiła sobie niedzielną wizytową suknię, wyjaśniła, a słabnący wzrok nie pozwalał na zajmowanie się szyciem.

Jude, rad nierad, udał się za panią Heston, niosąc zakupione towary w licznych torbach z brązowego papieru. Obawiał się, że nim skończą obchód sklepów, tartak zostanie zamknięty. Wiedział, że w piątki można tam było załatwić sprawy tylko do dwunastej. Liczył na to, że uda mu się zamówić dostawę drewna na sobotni ranek. Przypomniał sobie jednak, jak wiele serca okazali mu Hestonowie. Przyjęli go pod swój dach i zapewnili trzy suto posiłki dziennie. Postanowił wybrać się do tartaku w sobotę rano i poprosić Bartona Jeffersa, by dostarczył drewno tego samego dnia. Wspiął się po trzech kamiennych schodkach na drewniany pomost i wszedł do kolejnego sklepu.

- Popatrz, kogo spotykamy! - usłyszał głos pani Heston, zanim jego oślepienie blaskiem słońca oczy przyzwyczyły się do półmroku panującego we wnętrzu. - Co za niespodzianka!

Delia przeniosła wzrok z korpulentnej starszej pani na szczupłą sylwetkę towarzyszącego jej mężczyzny, rysującą się na tle otwartych drzwi. Gdy szedł w jej stronę, obcas jego butów głośno stuknęły o posadzkę. Ze zdumieniem stwierdziła, że jej serce przyspiesza rytmu. Zapomniała, że Jude Tucker jest bardzo wysoki, co najmniej o głowę wyższy od Charlesa.

- Wygląda na to, że się spóźniliśmy - powiedział lekko schrypniętym głosem. - Panna Keller zdążyła wykupić cały towar. - Wskazał stos pakunków różnych kształtów i

rozmiarów, do którego właściciel sklepu, pan Dean, wciąż dokładał nowe. Obok paczek stała rzeźbiona drewniana toaletka i krzesło, najwyraźniej również nabyte przez Delię.

- Kupiłam jedynie kilka najpotrzebniejszych rzeczy - zaproponowała panna Keller, starając się nadać głosowi beztroskie brzmienie.

Nie miała pojęcia, dlaczego Jude wywierał na niej tak wielkie wrażenie. Wydawał się nieokrzesany w porównaniu z prezentującym nienaganną uprzejmość Charlesem. Poza tym syn burmistrza nie wychodził z domu, nie zadbawszy uprzednio o strój jak spod igły. Tymczasem nieogolony i ubrany w spłowiałą koszulę i znoszone spodnie Jude Tucker zdawał się nie przejmować swoim wyglądem.

- Byłaś na przejażdżce, moja droga - zauważyła pani Heston, wskazując kostium do konnej jazdy, który Delia miała na sobie.

- Nie wiedziałem, że masz konia - odezwał się Jude.

- Charles pożyczył mi jednego ze swoich wałachów i zabrał go z powrotem do stajni - wyjaśniła Delia.

Nie uszło jej uwagi, że Jude spochmurniał. Szybko przeniosła wzrok na panią Heston.

- Zdążyłam zapomnieć, jak wielką przyjemność można czerpać z konnej jazdy - ciągnęła. - Myślę, że w najbliższym czasie sprawię sobie odpowiedniego wierzchowca.

- Jestem pewna, że Jude chętnie ci doradzi. Jego Shiloh jest doskonale ułożony jak na ogiera. Wyobraź sobie, że je mi z ręki kostki cukru.

- Lucy okropnie go rozpuściła, zresztą mnie też - wtrącił Jude. - Lucy i Jim przyjęli mnie tak serdecznie, że trudno mi będzie się z nimi pożegnać, gdy nadejdzie czas powrotu na zachód.

- Wolelibyśmy, żeby został na zawsze. - Pani Heston wymownie popatrzyła na Delię. - Stał się wręcz niezbędny. Jest dla nas jak syn, którego nigdy nie mieliśmy. Słyszałam, że kupiłeś dawny dom Delaceyów. - Pani Heston zmieniła temat. - Podobno Jude go wykończy.

- To będzie istny pałac w porównaniu z plebanią. Wciąż muszę się szczytać, żeby się upewnić, że nie śnię.

- Moja droga, jestem pewna, że twój dziadek również byłby niezmiernie zadowolony z takiego obrotu spraw. Myślę, że patrzy na ciebie z nieba i jest szczęśliwy.

Delia, zauważywszy, że pan Dean skończył pakować jej sprawunki, zdecydowała się przerwać potok wymowy pani Heston.

- Sądzę, że ma pani rację. Przepraszam, że panią tak długo zatrzymałam. Proszę serdecznie pozdrowić ode mnie męża.

- Jak zamierzasz przewieźć zakupy do domu? - zapytała pani Heston. - Przecież nie będziesz sama ich taszczyła.

- Pan Dean je przywiezie pod koniec dnia, po zamknięciu sklepu.

- Jude mógłby pożyczyć wóz i zabrać to wszystko już teraz, prawda, panie Dean?

Właściciel sklepu kiwnął głową na znak zgody.

- W takim razie zostawiam cię z Jude'em, moja droga. Wiem, że jest znudzony do trzymywaniem towarzystwa starej babie.

- Ale jak poradzi sobie pani ze swoimi zakupami? - zatroszczyła się Delia.

- Chciałabym wstąpić do pracowni panny Susan, a pan Dean przechowa moje sprawunki do powrotu Jude'a. Nie śpiesz się - dodała pod adresem swojego pomagiera.

- To naprawdę nie jest konieczne - zaprotestowała Delia. Lucy Heston nie zdawała sobie sprawy z tego, w jakie wpędza ją tarapaty.

- Naprawdę nie widzę problemu, kochanie - upierała się starsza pani.

Delia gotowa byłaby przysiąc, że widzi figlarne iskierki w jej oczach. Jude nie odezwał się ani słowem podczas załadunku towarów na wóz. Potem w milczeniu pomógł Delii wsiąść. W czasie krótkiej jazdy na plebanię również nie sprawiał wrażenia chętnego do podjęcia rozmowy.

- Mamy ładną pogodę - odezwała się w końcu Delia, zdecydowana przerwać nieznośną ciszę. - Jest ciepło jak na wrzesień.

- Istotnie.

Nie pozostawało jej nic innego, jak tylko zdobyć się na szczerość.

- Przykro mi, że pani Heston naraziła cię na kłopot. Przyznaję, że jestem zadowolona, iż nie muszę czekać na dostawę sprawunków do wieczora.

- Nie ma o czym mówić. - Wyładował zakupy i sprawnie wniósł je do domu, nie odzywając się przy tym ani razu. Na koniec otarł czoło chustką.

- To wszystko. - Postąpił krok w stronę drzwi.

- Może napijesz się zimnej lemoniady? - zaproponowała Delia, zastanawiając się, dlaczego za wszelką cenę pragnie opóźnić wyjście Jude'a. Przecież zrobił to, co do niego należało.

- Wolałbym cię nie trudzić.

- Chciałabym ci się odwdziaczyć za to, że pomogłeś mi przywieźć zakupy.

- Skoro nie sprawi ci to kłopotu i jeśli jesteś pewna, że Charles Ladley nie miałby nic przeciwko temu - dodał, patrząc jej w oczy.

Nie od razu zrozumiała wymowę tych słów. Nie wierzyła, że Jude mógł powiedzieć coś podobnego. Czuła, jak wzbiera w niej gniew.

- Dlaczego syn burmistrza miałby mi za złe, że częstuję zimną lemoniadą przyjaciela, który wyświadczył mi przysługę?

Jude rozłożył ręce, starannie unikając wzroku Delii.

- Charles nie jest moim właścicielem. Jego również uważam za przyjaciela - oznajmiła Delia.

- Jestem pewien, że chciałby być kimś znacznie bliższym niż przyjaciel.

- Co to ma znaczyć?!

- Czy poprosił cię o rękę, Delio?

Poczuła, że się rumieni, wściekła na Jude'a za to pytanie. Była też zła na siebie, iż nie potrafi szczerze zaprzeczyć. Przecież Charles wyznał, że myśli o ich wspólnej przyszłości.

- Uważam, że jest zdecydowanie za wcześnie na takie sprawy, i to nie tylko dlatego, że jestem w żałobie. - Delia wymownie spojrzała na czarną suknię.

- Ratuszesz się wymijającą odpowiedzią?

- Chyba powinno ci być obojętne, czy Charles stara się o moją rękę, skoro sam nie masz poważnych zamiarów i w ogóle ci na mnie nie zależy.

- Zaraz ci pokażę, jak bardzo mi nie zależy - powiedział Jude, po czym kilkoma susami przemierzył pokój i zaczął do utraty tchu całować Delię, która była zbyt zaskoczona, by się opierać.

Po dłuższej chwili puścił ją równie nagle, jak złapał i się cofnął. Przez dłuższy czas patrzyli na siebie w milczeniu. Jude sprawiał wrażenie równie zagniewanego jak wcześniej. W końcu Delia ochłonęła na tyle, by powiedzieć uprzejmie:

- Chyba jednak powinniśmy zrezygnować z lemoniady.

- Też tak uważam, panno Keller. Proszę mi wybaczyć. - Jude ruszył do drzwi, po drodze sięgając po kapelusz.

Odwróciła się, modląc w duchu o to, by nie zaczęła płakać, zanim on nie opuści domu.

TLR

Rozdział trzynasty

- Jaki piękny widok - pochwalił James Heston, wchodząc do magazynu paszy przy stajniach, służącego Jude'owi za sypialnię, i widząc go czytającego Biblię.

W ciągu tygodnia, który upłynął od spotkania z Delią, Tucker zajmował się różnymi pracami dla Hestonów i ich licznych przyjaciół w miasteczku. Nie kupił jednak drewna na budowę domu Delii, a ona nie powiadomiła go, czy znalazła innego fachowca. Obawiał się, że lada dzień zabraknie mu pretekstu do pozostania w Llano Crossing.

Śnił o Delii Keller. W snach był też obecny Charles Ladley. Czasami stał w tle, uśmiechając się z wyższością, innym razem obejmował ramieniem pannę Keller. Ponieważ w marzeniach sennych najczęściej trudno dopatrzeć się logiki, wszyscy troje stali przy ambonie kościoła w Llano Crossing. Na ambonie, w miejscu, w którym zwykle spoczywała Biblia, leżał zwinięty grzechotnik. Delia najwyraźniej nie zdawała sobie sprawy z niebezpieczeństwa. Stojąc w odległości zaledwie kilku cali od węża, ufnie opierała głowę na ramieniu Ladleya i prosiła Jude'a, żeby sobie poszedł i zostawił ją w spokoju. W tym momencie Jude budził się, zlany zimnym potem, i nie mógł już ponownie zasnąć.

To właśnie podczas długich bezsennych godzin przed świtem Jude wyjął zniszczony, oprawny w skórę egzemplarz Biblii, który od dawna leżał zapomniany na dnie sakwy podróżnej.

- Tak, to piękny widok. Nasz Jude czyta Biblię. Może nadeszła pora, żebyś zadał ci pytanie, które słyszysz ode mnie na koniec każdego tygodnia.

Jude doskonale wiedział, co się święci.

- Czy pójdziesz z nami w niedzielę do kościoła, czy też zamierzasz tu zostać jak jakiś poganin? Tylko nie próbuj się wymówić tym, że masz pilne prace budowlane, bo leje jak z cebra.

Jude głęboko zaczerpnął tchu i powiedział:

- Zgoda, wygrałeś.

- Alleluja! - zawołał Heston. - A to się Lucy ucieszy!

W tej właśnie chwili zdali sobie sprawę z tego, że deszcz ustał. Promień słońca zajrzał do wnętrza przez okienko stajni i oświetlił posłanie Jude'a. Długo wpatrywał się w smugę światła. Skoro miał się udać na niedzielne nabożeństwo, musiał się do tego odpowiednio przygotować. Przed chwilą czytał fragment Ewangelii według Świętego Mateusza.

„Jeśli więc przyniesiesz dar swój przed ołtarz i tam wspomnisz, że brat twój ma coś przeciw tobie, zostaw dar swój przed ołtarzem, a najpierw idź i pojednaj się z bratem swoim! Potem przyjdź i dar swój ofiaruj!”.

- Myślę, że powinienem się przespacerować - powiedział.

Delia upięła włosy i nakryła je złożonym w trójkąt kawałkiem płótna, po czym, nucąc pod nosem jakąś melodię, ochoczo zabrała się za sprzątanie. Wcześniej, z powodu choroby dziadka, nie miała czasu na wiosenne porządki. Nie chciała też, by panna Susan czuła się w obowiązku jej pomóc przy domowych zajęciach. Tego dnia, odprowadziwszy modniarkę do pracowni, postanowiła przystąpić do dzieła. Wprawdzie nie pojawił się jeszcze nowy pastor, jednak Delia wołała być przygotowana na przeprowadzkę.

Miała też nadzieję, że sprzątanie przynajmniej na kilka godzin pozwoli jej nie myśleć o ostatnich wydarzeniach. Po nieprzyjemnym rozstaniu z Jude'em, od zeszłego tygodnia nie miała od niego żadnych wiadomości. Nie wiedziała, czy on zamierza podjąć pracę przy budowie jej domu. Panna Susan wspomniała, że widziała go pracującego przy powiększaniu zagrody dla koni przy stajniach pana Pierce'a.

Wiedziała, że powinna wybrać się do Hestonów i zapytać Jude'a wprost, czy w dalszym ciągu chce się zająć wykończeniem jej domu. Gdyby miało się okazać, że nie jest zainteresowany, najęłaby niemieckich fachowców z Gillespie Springs, których polecił jej pan Dawson. Czy tchórzy? Trudno rozstrzygnąć.

Wiedziała tylko, że ścieranie kurzu z mebli wydaje jej się znacznie łatwiejsze niż konieczność spojrzenia w szaroniebieskie oczy Jude'a. Być może nazajutrz będzie w stanie odwiedzić Hestonów i porozmawiać z nim. Spotkanie było nieuchronne.

- Czy ktoś jest w domu? - usłyszała głęboki męski głos przy drzwiach wejściowych.

Charles wspominał o wspólnej przejażdżce, jednak nie określił dnia ani godziny, a poza tym ten głos nie należał do Charlesa. Był zbyt głęboki, z charakterystyczną chrypką. Podeszła do drzwi i ujrzała Jude'a Tuckera. Prezentował się zupełnie inaczej niż wtedy, gdy zostawił ją nagle po wypowiedzeniu cierpkich słów. W niczym nie przypominał nieokrzesanego kowboja. Miał na sobie świeżą koszulę i czyste dżinsy. Być może wstąpił do zakładu fryzjersko-kąpielowego w miasteczku, gdyż otaczał go delikatny zapach mydła. Nawet buty były świeżo wypastowane, zauważyła. W jednym ręku trzymał szerokoskrzydły kapelusz, w drugim - bukiet polnych kwiatów. Nie byłaby w stanie odgadnąć, gdzie je znalazł na początku września.

- Witaj. - Wyciągnął kwiaty w stronę Delii. - Przychodzę nie w porę? - Prześliznęła się wzrokiem po chustce i starej sukni.

- Nic podobnego. Pora jest jak najbardziej odpowiednia - odparła, przyjmując bukiet. Była pewna, że jej twarz jest umazana smugami kurzu, podobnie jak sukienka.

- To znak pokoju.

Popatrzyła na kwiaty, po czym przeniosła wzrok na Jude'a.

- Dziękuję. To nie było konieczne. Wejdz, proszę.

- Uznałem, że jest. Możesz wstawić je do wody - zaproponował, przestępując próg.

- Zaraz...

- Widzę, że jesteś zajęta porządkami domowymi. Nie będę wchodził.

- Wejdz i napij się zaległej lemoniady - powiedziała Delia, zachęcając go gestem dłoni i uśmiechając się na znak, że mu wybaczyła. - Przy odkurzaniu bardzo chce się pić i właśnie zamierzałam zrobić sobie przerwę. - Sięgnęła do kredensu po szklanki. - Proszę, usiądź - zachęciła, wskazując krzesło przy kuchennym stole. - Pójdę do chłodni po dzbanek z lemoniadą.

Po powrocie naląła zimny napój do dwóch szklanek, zajęła miejsce na krześle i patrzyła, jak Jude pociąga łyk.

- Próbuję zdecydować, co mam zachować dla siebie, a co zostawić nowemu pastrowi - wyjaśniła. - Większość z tych rzeczy nadaje się do użytku, a kaznodzieje przeważnie nie gromadzą zbyt wielu dóbr doczesnych. Kupię nowe meble, więc zabiorę zapewne tylko pamiątki po mamie. Jeśli pastor zjawi się wkrótce, oddam je na przechowa-

nie do magazynów pana Pierce'a. Moja sąsiadka, pani Purvis, weźmie kury. Będę się dziwnie czuła, kiedy przestanie mnie budzić pianie koguta.

Nie spodobało jej się, że Jude się nie odzywa.

- Czy przyszedłeś, aby powiadomić, że wyjeżdżasz i nie zajmiesz się moim domem?

- Nie byłem pewien, czy nadal sobie życzysz, żebym to ja podjął się tej pracy - wyznał.

- Oczywiście, że sobie życzę.

Sprawiał wrażenie człowieka, któremu spadł z grzbietu wielki ciężar.

- Chciałem cię przeprosić. W zeszłym tygodniu zachowałem się bardzo niestosownie; pozwoliłem sobie na zbyt wiele.

Postanowiła zdobyć się na odwagę.

- Przepraszasz za to, że mnie pocałowałeś? Nie chcę, żebyś mnie za to przeproszał. Chciałabym znów spróbować. Tylko nie wtedy, gdy będziesz na mnie zły. - Wstrzymała oddech, czekając na reakcję Jude'a.

Po chwili ukląkł przed nią, po czym objął ją i pocałował. W trakcie pocałunku ściągnął jej z głowy chustkę; szpilki wysunęły się z włosów, które opadły na ramiona.

- Marzyłem o tym, by wsunąć palce w twoje włosy - szepnął, odchylając głowę, i ponownie zawładnął jej ustami.

Nagle rozległo się pukanie do drzwi. Natychmiast odskoczyli od siebie. Jude popatrzył na Delię.

- Spodziewasz się czyjejs wizyty?

- Nie. Tak. Nie wiem - odparła, rumieniąc się.

Jeśli to Charles, pomyślała, to z pewnością zapyta o powody obecności Jude'a Tuckera w jej domu, zwłaszcza jeśli zobaczy kwiaty. Nie zamierzała jednak ich chować.

- Zobaczą kto... - Urwała i szybko podeszła do drzwi wejściowych.

Tak jak się tego obawiała, w progu stał Charles.

- Witaj, co porabiasz? - Z rozbawieniem popatrzył na jej zmierzwiłone włosy i domowy strój, jednak ujrzawszy Jude'a nadchodzącego od strony kuchni, natychmiast spoważniał.

- Sprzątałam - wyjaśniła Delia. - Zapewne pamiętasz pana Jude'a Tuckera.

- Tucker. - Charles skinał głową.

Zacisnął dłoń na gałce laski, tak że aż zbieleły mu palce.

- Ladley.

Delia wyczuła, że Charles czeka, aż zostanie poinformowany o powodach wizyty Jude'a, jednak uznała, że wcześniej wyjaśniła mu już wystarczająco wiele.

- Właśnie wychodziłem - oznajmił Jude, przerywając panujące milczenie. - Tak jak mówiłem, panno Delio, jutro kupię drewno i zacznę pracę w poniedziałek rano.

- Doskonale. Do widzenia.

Patrzyła, jak Charles odprowadza wzrokiem zstępującego ze schodków Jude'a, uśmiechając się z ponurą satysfakcją. Gdy usłyszeli odgłos kopyt oddalającego się wierzchowca, syn burmistrza oświadczył:

- Mam dla ciebie niespodziankę. Szkoda, że Tucker widział ją przed tobą, ale chodź.

Zaintrygowana, wciąż lekko roztrzęsiona po tym, co zaszło, podeszła do okna i spojrzała w kierunku wskazanym przez Ladleya. Tuż obok miejsca, w którym gniadosz Charlesa został przywiązany do tylnej części powozu Ladleyów, zobaczyła okazałego karego konia, niecierpliwie bijącego kopytem o ziemię. Wierzchowiec miał na grzbiecie damskie siodło.

- To klacz czystej krwi. Jest twoja. Idź się przebrać w kostium do konnej jazdy.

- Moja?! Nie mogę przyjąć takiego podarunku. - Mówiąc to, wybiegła z plebanii, a po chwili gładziła aksamitną szyję zwierzęcia. - Ależ jesteś piękna - powtarzała z zachwytem w głosie, wciągając w nozdrza koński zapach.

- Wabi się Zephyr, ale oczywiście możesz ją nazwać według swego upodobania - powiedział Charles. - Jak najbardziej możesz ją przyjąć. Pamiętaj, że kobieta o twoim statusie powinna mieć odpowiedniego wierzchowca.

Nie przychodziły jej do głowy słowa, z pomocą których mogłaby odmówić przyjęcia tak wspaniałego stworzenia. Klacz wydawała się ją przekonywać, trącając łbem jej ramię.

- Nie mam dla niej stajni.

- Będiesz ją trzymać w naszej dopóty, dopóki nie przeprowadzisz się do nowego domu.

- Skąd wiedziałeś, że moje umiejętności jeździeckie pozwalają mi dosiadać takiego akurat konia? - zapytała Delia.

Czuła moc mięśni klaczy, delikatnie gładząc ją po boku.

- W czasie naszych przejażdżek zdążyłem się zorientować, że jesteś wytrawną amazonką. Mając taką klacz w krótkim czasie zostaniesz królową amazonek.

Delia zastanawiała się nad słowami Charlesa. Owszem, kilka razy wybrała się z nim na przejażdżkę. Wczesnym rankiem, gdy było jeszcze rześko, galopowała drogami i polami na pożyczonym wałachu. Tamten koń był potulny i odpowiednio ułożony. Zdawała sobie sprawę, że musi się jeszcze wiele nauczyć, by móc pewnie dosiadać pełnej temperamentu klaczy.

- Najdroższa, powiedz, że przyjmiesz prezent. - Charles starał się skruszyć opór Delii powłóczyłymi spojrzeniami. - Przecież w głębi serca wiesz, że pragniesz go przyjąć.

Cofnęła się o krok.

- A co to będzie dla ciebie oznaczało? - zapytała, zaskoczona własną śmiałością.

- Będzie oznaczało tak wiele albo tak niewiele, jak sobie życzysz.

- To dla mnie trochę zbyt skomplikowane.

Uśmiechnął się do niej.

- Mój prezent to co najmniej dowód szacunku i podziwu.

- Co najmniej. Co jeszcze masz na myśli?

- Prezent zaręczynowy, pod warunkiem, że to ci odpowiada - dodał szybko, widząc, że Delia otwiera usta, aby zaprotestować.

- Nie mogę przyjąć takiego prezentu - powiedziała. - Przykro mi, ale nie jestem jeszcze na to gotowa. Z przyjemnością wybiorę się na tej pięknej klaczy na przejażdżkę, ale powinna pozostać twoją własnością.

- Powiedz, że tylko do czasu - powiedział błagalnym tonem, lecz jego twarz pozostała nieprzenikniona. - Wiem, że jesteś bardzo roztropna. Kiedy zobaczyłem tę klacz, pomyślałem, że musisz ją mieć, niezależnie od tego, czy ja również będę częścią daru.

Kocham cię, Delio, ale gotów jestem poczekać. Kiedy nadejdzie odpowiednia pora, przygotuję inny prezent zaręczynowy.

Kochał ją, a w dodatku nie oczekiwał, że natychmiast odwzajemni jego uczucie. Czy to dawało jej prawo do przyjęcia hojnego daru? Chyba jednak nie. Głęboko zaczerpnęła tchu, po czym powiedziała:

- W takim razie wszystko sobie wyjaśniliśmy. Bardzo ci dziękuję, że jesteś dla mnie tak uprzejmy i wyrozumiały. - Rozchyliła ramiona i po chwili znalazła się w objęciach Charlesa.

TLR

Rozdział czternasty

Mimo że Jude wcześniej nie uczestniczył w nabożeństwie w kościele w Llano Crossing, nie czuł się obco, zajmując miejsce w środkowym rzędzie ławek obok Hestonów. Parafianie uśmiechali się do siebie; farmerzy z żonami, córkami i synami siadali obok rodzin właścicieli sklepów i rzemieślników. W pierwszym rzędzie zauważył rodzinę Ladleyów. Charles siedział obok Delii.

Poprzedniego dnia, gdy Jude zobaczył wspaniałą klacz czystej krwi przed plebanią, domyślił się, że Charles zamierza ją ofiarować Delii na zaręczyny. Jude zadał sobie w duchu pytanie, czy Ladleyowi udało się przekonać pannę Keller, że jest dobrym, uczciwym człowiekiem. Nie przypuszczał wprawdzie, by ona łatwo zmieniała zdanie, jednak najwyraźniej się pomylił. Doznawał dojmującego poczucia utraty.

Z trudem oderwał wzrok od pary w pierwszym rzędzie. Gdy zaczął śpiewać hymn na rozpoczęcie nabożeństwa, spłynął na niego spokój, cudowny i krzepiący niczym błogosławieństwo. Nawet słuchając głośnej przemowy burmistrza, która w zamyśle miała być kazaniem, choć było jej do tego daleko, uznał, że postąpił właściwie, przychodząc do kościoła.

- Zatem wydałeś majątek na tę klacz - podsumował burmistrz.

Nadszedł dzień kolejnego spotkania członków Komitetu na rzecz Poprawy Warunków Życia. Jak zwykle dwaj Ladleyowie przyszli do hotelowej sali nieco wcześniej, by omówić sprawy, którymi nie chcieli dzielić się z mogącą ich podsłuchać panią Ladley.

- Nie rozumiem jednak, dlaczego nie zastrzegłeś, że warunkiem przyjęcia prezentu ma być zgoda na małżeństwo.

- Wybrałem sposób, który pomoże mi szybciej osiągnąć cel - wyjaśnił ojcu Charles. Nie zamierzał dodawać, że Delia oznajmiła, iż nie jest jeszcze gotowa się zdeklarować, i nie przyjęła prezentu.

Czas wprowadzić nasz plan w życie, synu. Musimy przejąć kontrolę nad pieniędzmi Delii Keller, a jedynym sposobem na osiągnięcie celu jest twoje małżeństwo z tą panną. Pozycja adoratora nic nam nie daje. Jaki jest następny punkt planu?

Charles upił łyk mocnego portu, ulubionego trunku ojca. Wolałby whisky, jednak wino okazało się całkiem smaczne.

- Myślałem o wieczornym pikniku w Ladley Hall przy świetle księżyca, zanim nastaną jesienne chłody. To bardzo romantyczne, nie sądzisz? - Uśmiechnął się. Mianem „Ladley Hall” żartobliwie określali między sobą nowy dom Delii. Nazwa wyrażała ich tęsknotę za dniem, w którym przejmą kontrolę zarówno nad domem, jak i jego właścicielką.

- Świetnie. Wypijmy za sukces... - burmistrz zmrużył oko i stuknął się kieliszkiem z synem - i za przejście majątku. Kobieta nie powinna sama dysponować pieniędzmi. Nie będzie żadnego długiego narzeczeństwa. Trać czułą strunę w jej romantycznej duszy i zmuś ją, aby z tobą uciekła. - Wychylił się w stronę syna. - Skompromituj ją, jeśli nie uda ci się osiągnąć celu w inny sposób.

Charles został wybawiony od konieczności ustosunkowania się do tej propozycji, gdyż w tym właśnie momencie otworzyły się drzwi i do pokoju weszli członkowie komitetu.

- O, są nasi przyjaciele - powiedział burmistrz. - Możecie być pierwszymi, którzy złożą gratulacje mojemu synowi, przyszłemu mężowi dziedziczki jednej z największych fortun w Llano Crossing. Oczywiście ta wiadomość nie może wyjść poza ściany tej sali. Syn jeszcze nie poprosił panny o rękę.

Pozostali członkowie komitetu: Amos Dawson, Dixon Miller, Barton Jeffers i szeryf Jenkins roześmiali się gromko, obiecali zachować dyskrecję i zaczęli poklepywać Charlesa po plecach, nazywając go szczwanym lisem.

Potem Dawson, najbardziej krewki członek komitetu, zapytał:

- Czy to oznacza, że możemy zasilić strumień? - Dwa ostatnie słowa były kryptonimem planu, znanego jedynie członkom komitetu. - Mam serdecznie dość tego zapyzianego miasteczka. Nie mogę się doczekać, kiedy będę popijał tequilę na mojej *estancia*, a *señorita* o sarnich oczach będzie wachlować mi czoło.

Ladley uśmiechnął się z pobłażaniem.

- Jesteś w gorącej wodzie kąpany. Jeszcze chwila cierpliwości. Sukces zbliża się wielkimi krokami. Miller, jesteś gotowy do odegrania swej roli?

- Tak. Starannie zakryłem wejście do tej jaskini, co nie było łatwe, bo, jak dobrze wiecie, zatrudniam wielu kowbojów na swoim ranczu.

- Doskonale - pochwalił burmistrz. - Jak wiemy, największa suma na inwestycję wpłynie od panny Keller, zakładając że zaloty mojego syna nie pójdą na marne - dodał, wymownie patrząc na Charlesa.

- Możesz mi zaufać, ojcze. Na pewno dopnę celu. Z każdym dniem Delia coraz bardziej mnie lubi.

- A jaką mamy pewność, że kiedy ślubna obrączka znajdzie się na palcu tej dziewczyny, wy, Ladleyowie, po prostu nie uciekniecie do Meksyku? - dał wyraz zaniepokojeniu Jeffers. - Będziecie mieli dostęp do wielkich pieniędzy.

Pozostali członkowie komitetu wyrazili podobne obawy.

- Jestem niemile zaskoczony, że taka możliwość w ogóle przyszła wam do głowy - oznajmił burmistrz. My, ludzie Południa, mamy swój honor i nawet nie pomyślelibyśmy o tym, by wystawić was do wiatru. Poza tym planujemy przecież zebrać więcej pieniędzy, nakłaniając łatwowiernych głupców do inwestowania. Nie musicie się niczego obawiać, zgromadzimy pokaźną kwotę. Wystarczy dla wszystkich.

- Dobrze zabezpieczyłeś złoto? - spytał Dawson, nie wyzbywszy się podejrzeń.

- Bardzo dobrze - zapewnił go burmistrz.

W ciągu minionych dwóch tygodni Delia widywała Jude'a jedynie na placu budowy. Wydawał się bez reszty pochłonięty pracą, a że doszedł do etapu, w którym potrzebował pomocy przy stawianiu ścian działowych, otaczali go robotnicy. Delii wydawało się, że Jude, który czule ją całował i uśmiechał się do niej ujmująco, nigdy nie istniał.

Domyślała się, że zobaczywszy klacz przed jej domem, doszedł do wniosku, że wybrała Charlesa. Chciała jak najszybciej wyprowadzić go z błędu, jednak nie miała okazji porozmawiać z nim na osobności. Któregoś wieczoru udała się nawet do domu Hestonów, lecz spędziła tam bezowocnie pół godziny, gawędząc z Lucy i Jamesem. Okazało się, że Jude wziął konia i oddalił się w nieznanym kierunku.

Myślała o tym, żeby zostawić mu liścik w jakimś miejscu, w którym na pewno by go znalazł, ale nie pozwoliła jej na to kobieca duma. Doszła do wniosku, że Jude najwyraźniej chce wierzyć pozorom. Spędzała więc coraz więcej czasu z Charlesem, który nie

miewał złych nastrojów i nie żywił do niej urazy z byle powodu. Z każdym dniem coraz bardziej doceniała jego urok i wdzięk oraz poczucie humoru. Prawił jej zręczne komplementy i przynosił miłe podarunki - kolczyki z onyksem, kryształowy wazon na kwiaty, które zrywał dla niej w ogrodzie matki.

Jane Ladley wyraźnie dała Delii do zrozumienia, że jest zachwycona wyborem syna i nie może się doczekać dnia, w którym zostanie jej teściową. Serdeczność pani Ladley wynagradzała Delii zachowanie burmistrza, który, choć ostentacyjnie uprzejmy, nieustannie mierzył ją badawczym wzrokiem. Nie potrafiła domyślić się przyczyny jego podejrzliwości.

Charles często powtarzał, że ją kocha. Zastanawiała się, czy nadejdzie chwila, w której ona odwzajemni jego uczucie. Cieszyły ją delikatne uściski i objęcia, nigdy nie wykraczające poza przyjęte normy przyzwoitości. Czy to powinno jej wystarczać? Znała wiele par, które łączyło znacznie mniej. Byli sobie teraz równi statusem społecznym, a Charles zdawał się doskonale pasować do jej świata; tymczasem Jude Tucker wyraźnie dawał jej do zrozumienia, że nie zamierza się o nią starać.

Powinnaś się pomodlić, pomyślała. Skąd nagle przyszło jej to do głowy? Popatrzyła na Biblię leżącą na stoliku przy łóżku i poczuła wyrzuty sumienia. Ostatnio bardzo zaniedbała czytanie Biblii. Dowodnie świadczyła o tym warstwa kurzu na zniszczonej skórzanej oprawie.

- *Señorita* Keller, pan Charles prosił, aby pani powtórzyć, że nie będzie mógł dzisiaj wybrać się z panią na przejażdżkę - powiedział stajenny, zasuszony staruszek, gdy Delia o umówionej porze przysłała pod stajnie Ladleyów.

Od pewnego czasu odbywali wspólne przejażdżki niemal codziennie, a Delia z każdym dniem coraz pewniej czuła się w siodle. Była rozczarowana. Miała na sobie nowy strój do konnej jazdy w odcieniu gołębiej szarości, uszyty przez pannę Susan i odebrany poprzedniego dnia. Był to jeden z pierwszych strojów przełamujących czern żałoby.

- Prosił przekazać, że jest mu bardzo przykro, ale musiał wyjechać w interesach do Mason - kontynuował Manuel, czyszcząc zgrzeblem błyszczącą sierść klaczy.

- Manuelu, ale czy mógłbyś mimo to osiodłać dla mnie Zephyr? - spytała Delia.

Stajenny uniósł brwi, wyraźnie zakłopotany.

- *Señorita* Keller, nie wiem, czy powinienem. Chyba jeszcze nigdy nie jeździła pani na niej sama.

- *Sí...* to znaczy, nie jeździłam. - Delia uśmiechnęła się promiennie. - Jestem pewna, że nie będę miała problemów. Kiedyś musi być ten pierwszy raz, czyż nie? Charles będzie ze mnie dumny. Proszę się nie martwić, pojedę spokojnym kłusem. Obiecuję.

Stajenny nie wydawał się przekonany, jednak w końcu uniósł ręce w geście poddania.

- Dobrze. Będzie pani jeździć tylko po mieście, *sí*?

- Tylko po mieście - powtórzyła Delia, pomyślała jednak, że tylko na początek. Potem wyjedzie z miasteczka i pozwoli Zephyr galopować. Wszystko przebiegało według planu. Jadąc okazałym podestem przy Main Street czuła, że jest obiektem podziwu i przyciąga spojrzenia. Była dumna z klaczy, która wygiąwszy szyję, stąpała tak delikatnie, jakby spacerowała po chmurach. W pewnej chwili spłoszyła się na widok pieska, który z głośnym ujadaniem wybiegł z jakiejś uliczki. Parsknęła i lekko wygięła grzbiet, ściągając nogi, czym omal nie wysadziła amazonki z siodła.

- Przepraszam, panno Keller, że mój Skippy wystraszył pani konia - zawołał Billy Dean, syn właściciela sklepu, biegnąc za pieskiem, by go złapać.

- Nic się nie stało, Billy! - odkrzyknęła wesoło, chociaż klacz wciąż rozdymała nozdrza i niespokojnie zerkała na pieska, jakby bojąc się, że małe stworzonko za chwilę może wyrwać się z ramion swego pana i ją zaatakować.

- Piękny koń, panno Keller.

Trudno było się sprzeciwić tej opinii. Delia pomachała Billy'emu na do widzenia, marząc o szybszej jeździe. Zmusiła klacz do kłusa i skierowała się na zachód. Postanowiła dojechać w tym tempie do nowego domu, aby zobaczyć, jakie postępy poczynili robotnicy pracujący przy budowie. Potem zamierzała gwałtownie przyśpieszyć. To powinno uzmysłowić Jude'owi Tuckerowi, że nie przejmuje się jego humorami.

Wyjechawszy z za zakrętu, natychmiast zobaczyła Jude'a. Miał na sobie koszulę z podwiniętymi rękawami i właśnie wydawał polecenia dwóm pracownikom, niosącym przycięte bale. Shiloh skubał trawę w cieniu okazałych drzew.

- Co słyhać, panie Tucker? - zawołała, zwracając się do niego tak oficjalnie ze względu na obecność robotników malujących budynek z zewnątrz.

- Wszystko w porządku. - Popatrzył na nią i na konia, nie zdejmując rąk z bioder, wyraźnie zniecierpliwiony, że przeszkadza mu w pracy. - Pod koniec tygodnia zaczniemy malować wewnętrzne ściany. Będzie pani mogła się tu wprowadzić przed Świętem Dziękczynienia, tak jak obiecałem.

- To już niedługo - powiedziała, okrążając teren przed domem, gdyż stukot młotków, dobiegający z wnętrza, wprawiał klacz w niepokój. - Jest pan pewien?

- Przecież obiecałem!

Uważnie przyjrzał się Zephyr, która ustawiła się bokiem i biła kopytem w ziemię. Klacz najwyraźniej odgadła zamiary jeźdźcy i nie mogła się doczekać, kiedy wolno jej będzie przyśpieszyć tak, by pęd rozwiewał jej grzywę.

- Czy jest pani pewna, że może jeździć na koniu bez... sama?

Najpierw potraktował ją niemal opryskliwie, a teraz ośmielał się wątpić w jej jeździeckie umiejętności? Zaraz mu pokaże, jaka z niej amazonka!

- Jestem tego najzupełniej pewna - oznajmiła, ściskając klacz obcasami.

- Delio, zwolnij! - usłyszała po chwili za sobą krzyk Jude'a, lecz bez namysłu zignorowała ostrzeżenie.

Rozdział piętnasty

Nic nie mogło się równać z uczuciem unoszenia się w powietrzu na grzbiecie wspaniałego wierzchowca. Bez kapelusza, z rozwianymi włosami. Delia mijiała w pędzie porośnięte jadaloszynami i upstrzone kaktusami wzgórza. Roześmiała się głośno, radośnie. Żałowała, że nie jedzie na oklep. Wiedziała, że przyzwoitość nakazuje, by kobiety korzystały z damskiego siodła.

Oddaliła się o dobrą milę od wykańczanego domu, gdy bity trakt się skończył. Postanowiła zwolnić ze względu na wyboje i natychmiast zdała sobie sprawę z tego, że Zephyr nie ma ochoty jej słuchać. Delia ściągnęła wodze i zawołała:

- Hola! Wolniej!

Klacz mocno zagryzła wędzidło, pochyliła łeb i pogalopowała jeszcze szybciej. Niedawną triumfującą amazonkę ogarnął strach.

Czyżby nie wiedziała, że może spaść z konia i skrócić kark? Próbował ją ostrzec, lecz go zignorowała. Zaniepokojony nie na żarty, Jude patrzył, jak

Delia i jej klacz znikają za zakrętem w tumanie kurzu. Cóż, skoro zdecydowała się na to, by martwił się o nią Charles Ladley... Jednak czy to wystarczające usprawiedliwienie, by nie podejmować żadnych kroków, zastanawiał się Jude. Przyłożył dłoń zwinętą w trąbkę do warg i krzyknął:

- Will, zaraz wracam!

Rzucił się biegiem w stronę Shiloha przywiązanego do potężnego dębu. Nie zawracał sobie głowy siodłaniem konia, wskoczył na jego grzbiet i spiął go do galopu, mocno ściskając boki kolanami oraz chwytając się końskiej grzywy. Boże, proszę, spraw, by mój niepokój okazał się nieuzasadniony. Niech ją znajdę przy drodze, w czasie postoju, modlił się Jude.

Zorientował się, że nadzieja była złudna, zobaczywszy przed sobą karą klacz bez jeźdźca, ciężko oddychającą, ze zwieszoną głową. Obok leżała skulona postać, odziana w szary kostium. Zeskoczył z konia, ledwie ten się zatrzymał i podbiegł do Delii.

Była nieprzytomna, lecz nieznacznie się poruszyła i jęknęła, gdy jej dotknął. Na czole wyrósł guz wielkości kurzego jaja, policzek był otarty do krwi.

- Musisz się obudzić! - wykrzyknął.

A jeśli ona nie odzyska przytomności, pomyślał z rozpaczą. Zauważył manierę przytroczoną do siodła. Na szczęście Ladley przynajmniej tego zdołał nauczyć Delię. Zmoczył wyciągniętą z kieszeni chustkę i otarł nią czoło Delii, modląc się w duchu tak żarliwie jak jeszcze nigdy dotąd.

Delia poczuła coś mokrego i zimnego na czole. Woda spływała jej po szyi. Krzywiąc się z bólu, który przeszywał czaszkę, starała się otworzyć oczy. Ledwie uchylila powieki, oślepiło ją słońce. Chciała osłonić się dłonią, lecz powstrzymała ją czyjaś ręka. Krzyknęła ze strachu, usiłując się podnieść, aby zobaczyć, kto jest przy niej.

- Nie ruszaj się - usłyszała głos Jude'a. - Spadłaś z konia. - Przesunął się tak, by nie padały na nią promienie słoneczne.

Leżała nieruchomo, patrząc na wyrazistą twarz osłoniętą szerokoskrzydłym kapełuszem. Jude przesunął dłońmi wzdłuż jej ramion, chcąc się przekonać, czy nie są złamane.

- Bolać cię ręce? Możesz nimi ruszać? - zapytał łagodnym, kojącym tonem.

- Wszystko mnie boli - poskarżyła się cicho, po czym ostrożnie poruszyła palcami i zgięła ramiona. - Chyba niczego nie złamałam. Gdzie jest Zephyr?

- A nogi? Czujesz je? Możesz nimi poruszać? Tylko nie próbuj wstawać - ostrzegł.

- Tak, mam czucie w nogach - stwierdziła. - Skąd wiedziałeś, że będę potrzebować pomocy?

- Po twoim odjeździe próbowałem wrócić do pracy, ale ogarnęły mnie złe przecucia.

Spostrzegła za nim Shiloha. Jude tak się o nią niepokoił, że nie chciał tracić czasu na siodłanie konia i pojechał na oklep.

- Gdzie jest Zephyr? - spytała ponownie, bojąc się odpowiedzi.

Przesunął się, żeby mogła popatrzeć na klacz.

- Zając wyskoczył na drogę tuż przed nami - wyjaśniła Delia. - To nie była wina Zephyr.

- Rzeczywiście to nie jej wina. Nie słyszałaś, jak krzyczałem za tobą, żebyś zwolniła? Mogłaś się zabić.

Jude słusznie mnie ostrzegął, pomyślała Delia. Okazałam się nieznośnie uparta, a ta samowola mogła kosztować mnie życie. Naraziłam na niebezpieczeństwo także klacz.

- Dasz radę usiąść? - Nie czekając na pozwolenie, wsunął jej ramię pod pachę, a drugim otoczył szyję, po czym pomógł jej przyjąć pozycję siedzącą.

Miała wrażenie, że stłukła wszystkie kości, a miejsce, w którym plecy tracą swą szlachetną nazwę pulsowało bólem, podobnie jak głowa. Było jej niedobrze. Nie chciałyby dostać torsji w obecności Jude'a. Ponownie spojrzała na klacz - wyraźnie oszczędzała przednią nogę.

- Czy Zephyr złamała nogę? - spytała trwożnie. - Proszę, zobacz, czy nic się jej nie stało.

Wstał i podszedł do klaczy. Uniosła łeb, lecz nie ruszyła się z miejsca, drżąc, gdy Jude, uniósłszy z ziemi wodze, delikatnie przesunął dłońią wzdłuż jej nóg. Delia zauważyła, że klacz wzdrygnęła się, kiedy badał jej przednią nogę. Jude wyprostował się, powiedział coś cicho do Zephyr i przespacerował z nią kawałek drogi. Klacz pochyła głowę za każdym razem, gdy ciężar jej ciała opierał się na przedniej nodze. Po krótkim spacerze Jude przywiązał Zephyr do rosnącego nieopodal jadaloszynu i wrócił do Delii.

- Nie złamała nogi, ale okulała.

- Wyzdrowieje?

- Tak, ale to potrwa. Będzie musiała leżeć w boksie dopóty, dopóki nie wyleczy nogi. Zawiozę cię do domu na Shilohu i poprowadzę Zephyr. Myślę, że powinien cię zbadać lekarz.

- Nie ma takiej potrzeby - zaprotestowała Delia.

Jude bez słowa otoczył ją ramieniem i pomógł jej się podnieść. Gdy wstała, lewą nogę przeszył ostry ból.

- Wygląda na to, że nie tylko klacz okulała - zauważył Jude i zanim Delia zdążyła się zorientować, co zamierza zrobić, wziął ją na rękę i ruszył w stronę ogiera.

- Będziesz musiała usiąść okrakiem - powiedział - i chwycić się grzywy. Shiloh pójdzie za mną. - Posadził ją na bułanym koniu z taką łatwością, jakby była piórkiem.

Kiedy dotarli do domu, Delia zwiesiła głowę, zakłopotana. Jude powiedział robotnikom, że wróci, gdy tylko odwiezie ją na plebanię i odprowadzi klacz do stajni Ladleyów.

- Moje biedactwo! - zawołała ze współczuciem panna Susan, zdyszana i czerwona na twarzy, wbiegając na plebanię kilkanaście minut po wyjściu Jude'a. - Pan Tucker wstąpił do pracowni i opowiedział mi o tym, co się stało. Był tak przejęty, że postanowiłam natychmiast zamknąć zakład i tu przybiec. Bardzo boli? - spytała, wskazując chorą nogę, którą Delia oparła o krzesło.

- Nie musiała pani tego robić. Skręciłam nogę w kostce, to wszystko. Zasłużyłam sobie na to, a nawet na jeszcze większy ból. Mogłam zabić klacz.

- Niech pani nie będzie dla siebie taka surowa, moja droga. Wyzdrowieje pani, a klacz też dojdzie do siebie. Obandażuję pani kostkę, a potem zaparzę herbatkę z kory wierzbowej, która uśmierzy ból. Wie pani o tym, że ma guz na czole i zadrapany policzek? O, pod moim łóżkiem jest laska pani dziadka. Obawiam się, że przez pewien czas będzie pani musiała z niej korzystać.

- Zapomniałam o tym, że tam leży - powiedziała Delia, myśląc o niedawnej rozmowie z Jude'em.

- Wiem, że bardzo lubisz tę swoją klacz, ale błagam, poproś Ladleya, aby znalazł dla ciebie spokojniejszego konia.

- To nie jest moja klacz. Rzeczywiście Charles chciał mi ją sprezentować, ale wyraźnie dałam mu do zrozumienia, że nie mogę przyjąć takiego podarunku. Powiem mu, że nadal nie jestem na to gotowa... Być może nigdy nie będę.

Popatrzył na nią, nie kryjąc zaskoczenia.

- To nie był prezent zaręczynowy? Nie jesteś narzeczoną Ladleya?

- Nie. - Zauważyła, że jej wyznanie wywarło duże wrażenie na Jude'u. - Mówiłam ci, że jest jeszcze dla mnie za wcześnie na podejmowanie decyzji o małżeństwie z Charlesem czy z kimkolwiek innym.

Twarz Jude'a się wypogodziła; sprawiał wrażenie zadowolonego.

- Zatem wszystko sobie wyjaśniliśmy. Odprowadzę twoją... odprowadzę klacz do stajni Ladleyów i wstąpię do ciebie później, aby zobaczyć, jak się czujesz.

Rozdział szesnasty

- Skarbie, przyjechałem, jak tylko usłyszałem. - Omijając pannę Susan, Charles wszedł do pokoju i pośpiesznie zbliżył się do Delii opierającej chorą nogę na podstawionym krześle. - Wybacz, ale interesy zabrały mi więcej czasu, niż się spodziewałem. Wróciłem do domu zaledwie kilka minut temu i matka powiedziała mi, co się stało. - Boli cię, moja droga? Och, wystarczy spojrzeć na siniaki i zadrapania na twarzy! I ta kostka! Przeklęta szkapa!

Delia trochę się obawiała, że będzie na nią zły za okulawienie cennej klaczy, tymczasem okazywał jej troskę.

- Nic mi nie jest - zapewniła. - Noga jest tylko skręcona, a sińce i zadrapania znikną po paru dniach. To nie koń zawinił. Sama jestem sobie winna, co wytknął mi Jude Tucker, kiedy mnie znalazł. Miał rację, nie powinnam była puszcząć się galopem. Nigdy bym sobie nie darowała, gdyby Zephyr złamała nogę.

- Znacznie bardziej obchodzi mnie twoje bezpieczeństwo niż koń. Tucker otrzyma nagrodę za to, że udzielił ci pomocy. Chyba nie potraktował cię zbyt surowo?

- Oczywiście, że nie. Chyba nie powinnam dosiadać Zephyr.

Charles delikatnie dotknął jej policzka, jakby nie zdawał sobie sprawy z obecności panny Susan, pełniącej wartę przy drzwiach.

- Nonsens, kochanie - oznajmił z przekonaniem. - Odbędziemy jeszcze kilka lekcji, po których będziesz się trzymać w siodle jak kawalerzysta. Popatrz tylko, teraz oboje poruszamy się o lasce, choć ty, na szczęście, potrzebujesz jej tylko chwilowo. Szkoda, że zdarzył się wypadek - mówił dalej Charles. - Planowałem cię zabrać wieczorem na piknik tam, gdzie kiedyś zamieszkaś.

- Rzeczywiście szkoda - przyznała Delia. - Pomysł pikniku bardzo mi się podoba. Może uda nam się wybrać kiedy indziej...

- Przecież możemy urządzić coś w rodzaju pikniku tutaj, na twoim podwórzu, skoro nie możemy wyjechać - wszedł jej w słowo Charles. - Kucharka zapakowała dla nas koszyk smakołyków i umieściła w landzie. Nie ma sensu, żeby się zmarnowały z powodu skręconej kostki. Rozłożę wszystko na trawie, a potem pomogę ci wyjść na zewnątrz.

Kiedy Charles opuszczał salon, Delia wymieniła spojrzenia z panną Susan.

- Oczekuje, że pokuśtyka pani na podwórze tylko po to, aby się nazywało, że panią zabrał na piknik - powiedziała z dezaprobatą modniarka. - Trzeba być wyjątkowo samolubnym człowiekiem.

Delia także żałowała, że nie mogą zjeść posiłku przy stole, co oszczędziłoby jej bolesnego stąpania po schodach, ale nie chciała sprawiać zawodu Charlesowi, który zadał sobie trud, organizując romantyczny wieczór. Poza tym zostawianie panny Susan samej, jakby była służącą, a nie gościem w jej domu, wydało jej się niezręczne.

- Wszystko gotowe - oznajmił Charles wróciwszy do środka. - Oto twój szal na wypadek, gdyby się ochłodziło, i twoja laska. Możesz się wesprzeć na moim ramieniu.

- Panno Susan, proszę do nas dołączyć - odezwała się Delia.

- Och, nie, nie będę się wpraszać na państwa piknik.

- Nie chcemy zostawiać pani samej, prawda Charlesie? - spytała Delia, zaglądając mu w oczy.

Odniosła wrażenie, że przez urodziwą twarz Ladleya przemknął cień rozczarowania. Mimo to zapewnił:

- Oczywiście, że nie. Mamy mnóstwo jedzenia. Musimy jedynie zabrać jeszcze jedno nakrycie, bo kucharka nie wiedziała, że będzie nas więcej.

- Dziękuję państwu, to bardzo miło z waszej strony, ale nie jestem głodna - powiedziała zdecydowanie krawcowa. - Proszę nie nalegać.

Delia patrzyła, jak przyjaciółka odchodzi; niemal namacalnie wyczuwała ulgę Charlesa, że będą tylko we dwoje. Westchnęła, uznawszy, że zrobiła wszystko, co mogła. Z pewnym trudem dotarła do miejsca „pikniku” na trawniku przed domem i pozwoliła Charlesowi, by pomógł jej usiąść na skraju lnianego obrusa rozpostartego na murawie. Odkryła, że jest głodna i szybko wzięła się za jedzenie.

Maisie, kucharka Ladleyów, przeszła samą siebie. Zapakowała dla nich pieczone przepiórki, młode ziemniaki, zieloną fasolkę szparagową, tort czekoladowy oraz wielki dzbanek mrożonej herbaty, a do tego kryształowe szklanki i talerze z chińskiej porcelany. Charles przywiózł nawet dwa kandelabry, które z namaszczeniem pozapalał.

Jedzenie smakowało równie wspaniale, jak się prezentowało. Charles był jednak nienaturalnie milczący, a kiedy już się odzywał, przybierał oficjalny ton. Delia zastanawiała się, co go trapi. Może po prostu był rozczarowany, że nie mogli odbyć pikniku w plenerze, w pobliżu jej przyszłego domu?

- Maisie zadała sobie wiele trudu. Podziękuj jej, proszę, w moim imieniu. Ty także bardzo się postarałeś. Przykro mi, że wszystko zepsułam przez nieroztropną przejażdżkę.

- Daj spokój. Wprawdzie żywiłem nadzieję, że ten wieczór... Cóż, będą inne wieczory. Chyba za dużo sobie wyobrażałem. Wybacz, że marny ze mnie towarzysz. - Nieoczekiwany grymas wykrzywił mu usta.

Delia zastanawiała się, co mógł mieć na myśli, wspominając o nadziei związanej z tym wieczorem.

Z pewnością po ich rozmowie odbytej przed kilkoma dniami nie zamierzał się oświadczyć ani próbować zacieśnić ich znajomość.

- Słyszałam dziś w mieście pewne plotki - oznajmiła Lucy Heston, jedną ręką podsuwając mężowi talerz zbożowych racuchów, drugą Jude'owi miseczkę maślanych herbatników.

- Tak? Jakie? - zainteresował się jej mąż. - Nie mów mi, że Llano Crossing ma zostać nową stolicą stanu zamiast Austin, a burmistrz Ladley zamierza objąć urząd gubernatora.

- Nie, głuptasie. Burmistrz zwołuje w przyszłą niedzielę wieczorem zebranie w kościele i życzy sobie, aby wszyscy mieszkańcy wzięli w nim udział.

- Co znów knuje? Zapewne nic dobrego.

- Daj spokój, Jim - skarciła go łagodnie żona. - Przecież tego nie wiesz.

- Może i nie, ale skoro już mowa o burmistrzu Ladleyu... Złożył mi wizytę, prosząc, żebym w najbliższą niedzielę czytał Biblię w kościele. Twierdzi, że stara się przejąć część obowiązków, przewodnicząc modlitwom - wyjaśnił Heston, nie kryjąc sceptycyzmu. - Według mnie lepiej by nie zawracał głowy, tylko znalazł nowego kaznodzieję.

- Może właśnie to zamierza ogłosić na niedzielnym zebraniu - zasugerował Jude.

- Nie, podobno ono nie ma nic wspólnego z kościołem. Chodzi o jakiś plan wymyślony przez Komitet na rzecz Poprawy Warunków Życia.

- Który fragment miałbyś czytać? - spytał Jude, nie kryjąc zaciekawienia.

- Ten o Miłosiernym Samarytaninie. Pewnie, że mogę przeczytać, ale idzie mi wolno i się zacinam. Ty powinienesz to zrobić, masz donośny głos.

Jude pokręcił przecząco głową, żalując, że kilka razy dał się namówić na czytanie psalmów; Hestonowie czytali Biblię co wieczór po kolacji i jeśli był wówczas w domu, przyłączał się do nich.

- Jestem zwykłym cieślą. Poza tym to nie mnie burmistrz prosił. - Szczerze pragnął pomóc zacnemu Jamesowi Hestonowi, z którym się zaprzyjaźnił. - Może poćwiczyłbyś czytanie przede mną? - zaproponował.

Heston z pewnym ociąganiem przyznał, że pomysł wart jest rozważenia.

Minęło pięć dni i Delia przekonała się, że rada panny Susan na temat skręconej nogi okazała się przydatna. Dzięki temu, że owinęła kostkę bandażem, trzymała nogę opartą o poduszkę, starała się jak najwięcej odpoczywać, a do tego używała laski i trzy razy dziennie popijała napar z wierzbowej kory, ból stopniowo się zmniejszał, podobnie jak opuchlizna.

Najmilszą częścią każdego dnia był moment, kiedy Jude wstępował do nich o zmierzchu w drodze z pracy, aby, jak twierdził, zdać sprawozdanie z postępów robót i spytać o zdrowie Delii. Zazwyczaj zostawał dłużej, aby pogawędzić zarówno z Delią, jak i z panną Susan, którą z troską pytał, czy Donley Morrison się jej nie naprzykrzał. Raz Jude zjadł nawet z nimi kolację; tego dnia późno skończył pracę i kiedy się zjawił, zasiadały właśnie do stołu.

Panna Susan za każdym razem znajdowała wymówkę, żeby zostawić ich samych, ale choć Jude nie śpieszył się do wyjścia, nie mówił też ani nie robił nic, co by wskazywało, że pragnie pogłębić znajomość z Delią. Sprawiał wrażenie, jakby na coś czekał. Nie umiejąc rozstrzygnąć tej kwestii, któregoś wieczoru po wyjściu Jude'a Delia wspominała o swych wątpliwościach pannie Susan.

- Może czeka, żebyś podjęła decyzję co do Ladleya - podsunęła przyjaciółka.

Delia już zdecydowała. Ceniła przyjaźń Charlesa i nie chciała go zranić, ale nie połączyło ich uczucie. To, że z chwilą wzbogacenia się Delii należeli do tego samego kręgu, nie wystarczało do zawarcia małżeństwa. Kochała Jude'a, już to wiedziała. Niestety, po zakończeniu budowy jej domu planował wrócić do Nevady.

W niedzielny poranek, czekając na ganku, aż Charles podjedzie po nią powozem, Delia odkryła, że jest w stanie stanąć na chorej nodze, nie odczuwając przy tym szczególnego bólu. Postanowiła na razie nie pozbywać się laski, tak na wszelki wypadek.

Jude zajął miejsce obok Hestonów w tej samej kościelnej ławce co poprzednio. Starał się nie patrzeć na Delię siedzącą z przodu obok syna burmistrza.

Odśpiewano trzy hymny, tak jak zawsze. Potem burmistrz, zamiast wstać z przedniej ławki i skierować się do ambony, pozostał na miejscu, natomiast podniósł się i wstał jego syn.

- Chciałbym coś ogłosić, zanim pan Heston odczyta fragment z Biblii. Ojciec poprosił mnie, by państwa powiadomić, że boli go gardło, a do tego dziś rano stracił głos i może mówić tylko szeptem. Ma nadzieję, że oszczędzając głos, będzie w stanie poprowadzić wieczorem zebranie, a gdyby nie mógł, ja go zastąpię. Tak więc po czytaniu z Biblii możemy zaśpiewać jeszcze jeden hymn, a potem rozejść się do domów na wcześniejszy niedzielny obiad - zakończył z dobrodusznym śmiechem.

- A nie mógłbyś przeczytać jego zapisków do kazania? - odezwał się jakiś starszy mężczyzna spośród tłumu.

Charles uśmiechnął się z udawanym żalem.

- Byłbym szczęśliwy, mogąc to zrobić, ale ojciec zawsze mówi prosto z głowy. Nie robi notatek.

Przez kościół przebiegł szmer ściszonych głosów. Jude dostrzegł, jak James Heston wymienia z żoną porozumiewawcze spojrzenie.

- Panie Heston - odezwał się Charles, wskazując leżącą na ambonie Biblię.

James Heston wstał, wygładził surdut noszony jedynie od święta, a potem sięgnął do kieszeni na piersi.

- Tylko wyjmę okulary. - Okazując wyraźne zaniepokojenie, poklepał się po kieszeniach spodni, następnie zanurzył w nich ogorzałe, sękatę dłoń i wyciągnął je puste. -

Lucy - zwrócił się do żony - masz moje okulary?

- Oczywiście, że ich nie mam. Nie zabrałeś ich ze sobą?

Uderzył się w czoło otwartą dłonią.

- No nie! - wykrzyknął. - Musiałem je zostawić na stoliku przy łóżku po tym, jak ćwiczyłem czytanie dziś rano. Moi drodzy, przykro mi, ale nie nauczyłem się tych fragmentów na pamięć, więc nie mogę ich odczytać.

Jude nie był pewien, czy wyobraźnia płata mu figla, czy rzeczywiście Heston unika jego wzroku? Zatraskanie starszego mężczyzny wydawało mu się udawane. Charles Laddley sprawiał wrażenie skonsternowanego.

- Sądzę, że ja... - zaczął niepewnie.

- Obecny tu pan Tucker może czytać zamiast mnie - przerwał mu James Heston.

Jude spojrzał szybko na podstępnego staruszka, całkowicie pewien, że został wmanewrowany. Zastanawiał się, czy nie odmówić, gdy zobaczył, że Delia odwróciła się i patrzy na niego szeroko otwartymi oczyma, zdumiona tym nieoczekiwanym obrotem sytuacji.

Rozdział siedemnasty

Ladley zaczął się krygować.

- Przecież ja mógłbym z powodzeniem...

Jude wstał i na drżących nogach podszedł do ambony. Biblia była otwarta na właściwej stronie.

- „Słowa Ewangelii według Świętego Łukasza, rozdział dziesiąty” - zaczął Jude, rozglądając się po zgromadzonych. Minęło dużo czasu, odkąd ostatnio czytał ewangelię. Pomóż mi, Panie, jeśli chcesz, bym to robił, pomodlił się w duchu. - „Pewien człowiek schodził z Jerozolimy do Jerycha i wpadł w ręce zbójców”.

Z początku głos brzmiał niepewnie, Jude zająknął się raz i drugi. Wreszcie poczuł, że ogarnia go błogi spokój, i nim dotarł do fragmentu o tym, jak Samarytanin znalazł ранego i zabrał do gospody, by go opatrzyć, czytał głośno i zdecydowanie. Kiedy skończył, z tłumu raz po raz rozlegało się „Amen”.

Zamknął Biblię z głuchym stuknięciem i opuścił ambonę z zamiarem udania się na miejsce w ławce, gdy znów odezwał się James Heston.

- Świetnie ci poszło, Jude! Może dodasz coś do tej przypowieści, powiesz nam, co według ciebie powinna dla nas oznaczać.

- Nie sądzę...

- Panie Heston - odezwał się Charles - nie powinniśmy stawiać pana Tuckera w tak niezręcznej sytuacji.

- Właśnie, może by pan powiedział kilka słów? - zawołała pani Dean, żona właściciela sklepu. - Człowiek, który tak pięknie czyta Biblię, prawdopodobnie ma jakieś przemyślenia na jej temat!

Wśród zgromadzonym przebiegł szmer poparcia dla jej prośby, natomiast burmistrz Ladley siedział z naburmuszoną twarzą. Szaleę przeważało zachęcające spojrzenie Delii oraz jej skinienie głową. Jude uznał, że powinien spełnić życzenie wiernych. Pomodlił się szybko w duchu, by Pan podsunął mu właściwe słowa.

- Czasami - kończył jakieś dwadzieścia minut później - musimy uważniej się przypatrzeć, aby dostrzec, że ktoś cierpi. Nie zakładajmy, że ktoś inny mu pomoże. Zróbmy to sami, postępujmy jak Samarytanin.

Podnosząc wzrok znad Biblii, ujrzał rozpromienione oblicza Hestonów; patrzyli na niego z minami dumnych rodziców. Delia, podobnie jak reszta zgromadzonych, sprawiała wrażenie zamyślanej.

- To chyba wszystko, co można powiedzieć o Miłosiernym Samarytaninie, przynajmniej ja tyle mam wam dziś do powiedzenia - dodał Jude oniesmielony tym, co się stało. Czuł się tak, jakby nie opuścił małego kościółka w Tennessee, jakby lata wojny i złe uczynki zostały wymazane. - Proponuję, byśmy zaśpiewali jeszcze jeden hymn, tak jak sugerował pan Ladley, a później może pan Heston zechce nam udzielić końcowego błogosławieństwa. - Uśmiechnął się triumfalnie do Jamesa Hestona, który chętnie pogodził się z faktem, że ostatnie słowo należało do Jude'a, i wywiązał się ze swego zadania najlepiej, jak potrafił.

Potem Jude miał wrażenie, że znalazł się w oku cyklonu. Większość ludzi obecnych w kościele podchodziła do niego, żeby podać mu rękę i pochwalić za piękne kazanie, które wygłosił bez wcześniejszego przygotowania. Iulku zapytało, czy myślał o tym, aby zostać kaznodzieją, a paru nawet zachęcało, żeby rozważył objęcie ich parafii.

- Świetnie się spisałeś. Wiedziałam, że potrafisz - wyraziła uznanie Delia, doczekawszy się swojej kolejki, by uścisnąć mu dłoń przy wyjściu z kościoła.

Idący tuż za nią syn burmistrza kiwnął nieznacznie głową i wymamrotał coś pod nosem. Delia miała taką minę, jakby zamierzała coś dodać, ale Charles ponaglającym gestem dotknął jej łokcia, przypominając, że czeka ich proszony obiad u jego rodziców.

Jude odwrócił się, by powitać kolejną osobę, która chciała uścisnąć mu rękę, nie zauważył więc, jak Delia gniewnie ściąga usta, poirytowana zaborczością Ladleya.

- Możesz być z siebie dumny, synu - powiedział James Heston w drodze powrotnej do domu. - Przyznaj się, zdarzyło ci się już wygłaszać kazania - Zabrzmiało to bardziej jak stwierdzenie niż pytanie.

Jude spojrział na przyjaciela spod ściągniętych brwi; jednocześnie położył palec na ustach z nadzieją, że nikt z mijających ich ludzi nie usłyszał słów przyjaciela.

- Dzięki, ale odłożmy ten temat na później.

Heston skinął głową.

- Nie powiem ani słowa więcej.

- Delia Keller pięknie dziś wyglądała - stwierdziła Lucy Heston.

- Wyglądałaby lepiej, stojąc koło Jude'a niż przy tym tchórze Charlesie Ladleyu - orzekł Jim, zanim Jude zdążył cokolwiek powiedzieć. - Niech ci się nie zdaje, że nie zauważyłem, jak często na nią popatrywałeś - zwrócił się do Jude'a.

Delia, podobnie jak pozostali mieszkańcy Llano Crossing, nie wiedziała, jaki temat będzie poruszany na wieczornym zebraniu. Widziała jedynie, że Charlesa roznosi z trudem opanowywane podniecenie i z przejęcia błyszcza mu oczy. Jego ojciec również wykazywał niezwykle ożywienie. Przy niedzielnym obiedzie, rozmawiając z panią Ladley o nowym domu, Delia kątem oka zauważyła, jak ojciec z synem wymieniają porozumiewawcze spojrzenia.

- Dziękuję wam wszystkim za przybycie - zaczął burmistrz Ladley, podnosząc się z krzesła ustawionego w przedniej części kościoła.

Głos nadal miał schrypnięty, ale najwyraźniej był już w stanie mówić. Obok niego zajął miejsce syn, dalej usadowili się Amos Dawson, Dixon Miller, szeryf Jenkins i Barton Jeffers.

- Wiem, że wszyscy zastanawialiście się nad powodem zwołania zebrania. Nie będziemy was dużej trzymać w niepewności.

- Czas najwyższy! - rzuciła scenicznym szeptem panna Susan, siedząca obok Delii. Obecni odpowiedzieli śmiechem, nawet burmistrz, który po chwili przyznał:

- Owszem, najwyższy czas, żeby mieszkańcy Llano Crossing zaczęli się cieszyć dobrobytem, na jaki w pełni zasługują. Dobrobytem, który nie zdążył na dobre zapanaować, gdy wojna secesyjna odebrała nam kwiat naszej młodzieży, wielu z jej przedstawicieli pozostawiła okrutnie okaleczonych... - Ladley na moment zwiesił głos, spoglądając wymownie na swojego syna - ...a większość z nas udręczyła rujnującymi podatkami - dokończył.

- Chyba nie planuje pan odłączenia się od Unii? - zawołał z tłumu mężczyzna, który stracił ramię na wojnie. - Raz to zrobiłem i ten raz mi wystarczy.

- Nie ma obawy, drodzy współobywatele miasta Llano Crossing. Chociaż wolałbym widzieć naszych chłopców w mundurach Konfederacji, nie zamierzam dopuścić do czegoś tak głupiego jak nowa rebelia. Chodzi o coś zupełnie innego. Otóż Komitet na rzecz Poprawy Warunków Życia pracuje nad tym, by zapewnić dostatek naszemu miastu i jego mieszkańcom.

Zamilkł, a w kościele zrobiło się tak cicho, że Delia była pewna, iż usłyszałaby szpilkę spadającą na posadzkę. Burmistrz odchrząknął i podjął przemowę.

- Nasza droga panna Delia Keller - wskazał na nią - otrzymała niespodziewany majątek, który zmienił jej życie. Pragnę was zapewnić, że wszyscy, którzy wezmą udział w naszym przedsięwzięciu, także otrzymają zyski, które odmienią ich życie.

Przez ławki przebiegł szmer podniecenia. Burmistrz odczekał, zanim uniesieniem ręki przywrócił spokój.

- Zanim poproszę Dixona Millera, żeby stanął tu i przedstawił plan, muszę zobowiązać wszystkich obecnych do zachowania tajemnicy. Plan się nie powiedzie, jeśli rozejdą się plotki i ludzie spoza naszego miasta zaczną się zjeżdżać, by zagarnąć ciężko zdobyte dobra, którymi komitet chce się podzielić z wami, zacni obywatele Llano Crossing. - Burmistrz Ladley rozejrzał się po twarzach słuchających go ludzi. - Jeszcze raz podkreślam, że dyskrecja jest sprawą pierwszorzędnej wagi. Zamierzam zwrócić się do tych z was, którzy są w stanie zainwestować pewną sumę. Chcę przy tym zapewnić, że ci, którzy nie dysponują wolną gotówką, nie mają powodu do rozpacz, ponieważ i dla nich znajdzie się stosowna rola. Fala przyływu unosi wszystkie łodzie, czyż nie? Na razie nie musicie deklarować, ile chcecie zainwestować. Trzeba się dobrze zastanowić, omówić to w domu, no i oczywiście się pomodlić - dodał. - Czy obiecujecie dochować tajemnicy? Wszyscy gotowi dotrzymać sekretu niech wstaną i uniosą prawe ręce do przysięgi. Ci, którzy czują, że nie mogą przysiąc, niech teraz wyjdą i wrócą do domu.

Wszyscy wstali i popatrując jeden na drugiego zastanawiali się, o jaki to plan może chodzić. Nikt nie opuścił kościoła.

- Proszę, powtarzajcie za mną...

Zgromadzeni posłusznie powtarzali każde słowo wypowiedziane przez burmistrza, przysięgając wspieranie działań przewidzianych w planie i zachowanie najściślejszej ta-

jemnicy, pod groźbą konieczności opuszczenia hrabstwa przez tych, którzy dopuściliby się złamania przysięgi. Niektórzy wymieniali niepewne spojrzenia, ale dokończyli przysięgę, ciekawi usłyszeć, co zapewni im obiecowane bogactwo.

Delia stała razem z resztą, ale nie podniosła ręki ani nie powtarzała przysięgi za burmistrzem. Nikt nie zwracał na nią uwagi. Zastanawiała się, co by powiedział na to wszystko jej dziadek, a tym bardziej, co sędzi Jude Tucker. Widziała go siedzącego z Hestonami w tym samym miejscu, co zwykle, kiedy wchodziła do kościoła z Charlesem.

Burmistrz klasnął w duże, mięsiste dłonie, uśmiechając się szeroko.

- Gratuluję wam, że zdecydowaliście się wraz z nami wziąć udział w tej przygodzie. Miałem nadzieję, że się zgodzicie, i nie rozczarowaliście mnie. Wiedziałem, że mogę na was liczyć. A teraz proszę Dixona Millera, żeby zechciał przedstawić plan.

Kiedy ranczer wstał, żeby zabrać głos, wśród zgromadzonych rozległy się szepty.

- Niektórzy z was wiedzą - zaczął - że przez moją ziemię płynie strumień, wzbiera wiosną i nawadnia moje południowo-wschodnie pastwiska, zanim wpłynie do rzeki Llano. Nie tak dawno jeden z moich pracowników, niejaki Donley Morrison, poił w tym strumieniu konia i zauważył w wodzie coś, od czego serce zabiło mu szybciej. Donley, podejdź tu bliżej i pokaż ludziom, co znalazłeś.

Z tylnej części pomieszczenia wyszedł rostry mężczyzna o beczkowatej piersi, którego Delia nie widziała od tamtego nieszczęsnego dnia w pracowni krawieckiej panny Susan. Usta rozciągał mu uśmiech świadczący o tym, że zdaje sobie sprawę z wagi własnej roli. Delia poczuła, jak panna Susan przysuwa się do niej bliżej.

Morrison stanął przodem do zgromadzonych i sięgnął do kieszeni znoszonych, brudnych spodni. Następnie uniósł rękę zaciśniętą w pięść i rozprostowując palce, pokazał na otwartej dłoni bryłkę o nieregularnym kształcie, wielkości laskowego orzecha.

Nawet z miejsca, gdzie siedziała, Delia rozpoznała, że patrzy na złoto. Wszyscy jak jeden mąż otworzyli usta z wrażenia.

- Tak, to jest złoto - potwierdził Miller. - Znalezione w moim strumieniu. Dobro obywateli, którzy wraz ze mną mieszkają w tym miasteczku, leży mi na sercu, dlatego nie dbam o zachowanie całego zysku dla siebie, jakkolwiek się to może wydawać dziwne. Po tym, jak Donley dokonał odkrycia, poszedłem wzdłuż strumienia aż do jego źró-

dła i dotarłem do niewielkiej jaskini, tak dobrze ukrytej, że dotąd nawet o niej nie wiedziałem. Wy także byście jej nie znaleźli, gdybym wam nie pokazał. Mieści się w niej tylko paru ludzi, i to pochylonych, a z niej wychodzą wąskie korytarze, gdzie może się wczołgać tylko jeden człowiek. W pieczarze są żyły złota tak obfite, że trudno sobie wyobrazić bogactwo, jakie można z nich uzyskać. I tu, zacni obywatele Llano Crossing, zaczyna się wasza rola. Panie Jeffers, może pan wyjaśnić resztę?

Barton Jeffers, potężny mężczyzna o grubej, mięsistej szyi i rumianych policzkach, stanął na środku w miejscu zwolnionym przez Dixona Millera.

- Proponujemy założenie stowarzyszenia, bo chyba tak możemy je nazwać. Ma się rozumieć, pieniądze będą potrzebne na wybudowanie kopalni - powiększenie wąskich korytarzy, zapłatę dla kopiących górników i tak dalej. Będą różne poziomy członkostwa, w zależności od tego, ile gotówki kto będzie w stanie zainwestować. Według tej samej zasady będą dzielone zyski.

- Im więcej pieniędzy się wyłoży, tym więcej się zarobi? - zawołał ktoś.

Jeffers uśmiechnął się jak nauczyciel zadowolony ze swoich uczniów.

- Dokładnie tak. Jednak każdemu, kto wyłoży jakiegokolwiek pieniądze, zwrócą się z nadwyżką. Chodzi nam o to, by zyski zostały w naszej społeczności, bo nie chcemy, żeby do Llano Crossing zaczęły ściągać rzesze poszukiwaczy złota, przynoszący ze sobą niekorzystne zmiany dla naszego miasteczka - saloony, hazard, rozwiązłe kobiety. Dzięki dochodom z kopalni zapanuje u nas dobrobyt, a ten przyciągnie porządnych osadników, którzy cenią sobie życie w bezpiecznym, cywilizowanym miejscu.

- Brzmi nieźle! - zawołał ktoś za plecami Delii. - Gdzie mam się wpisać?

Jeffers uniósł rękę.

- Doceniam waszą gorliwość, ale jak powiedział burmistrz Ladley, chcemy, żebyście dobrze się nad wszystkim zastanowili i odbyli narady rodzinne, decydując, ile pieniędzy możecie zainwestować. Przyjdźcie tu w środę wieczorem, gotowi przystąpić do stowarzyszenia, jeśli taka będzie wasza wola. Tymczasem pamiętajcie, że zobowiązaliście się do zachowania tajemnicy. Gdybyście spotkali kogoś spoza Llano Crossing, nie wolno wam ani słowem wspominać o planie. Myślę, że czas zakończyć nasze spotkanie. Burmistrzu Ladley, zechce pan odmówić modlitwę, zanim się rozejdziemy?

Rozdział osiemnasty

Po spotkaniu Charles, Delia i panna Susan wrócili na plebanię. Kiedy Delia chciała wejść za krawcową do środka, Charles niespodziewanie objął ją w pasie i powiedział:

- Może wybierzemy się na przejażdżkę? Jest taki piękny wieczór. Poza tym chciałbym usłyszeć, co sądzisz o tym... planie.

- A nie moglibyśmy porozmawiać w środku? Wprawdzie jestem trochę zmęczona, ale jak najbardziej chcę pomówić o propozycji, która padła na zebraniu.

- Trudno - odrzekł z westchnieniem Charles. - Szkoda, że ta stara panna z tobą zamieszkała. Moim zdaniem, przez nią w ogóle nie możemy być sami. Jestem przekonany, że nas podsłuchuje. Chyba nie zamierza zostać na plebani na stałe?

Delię zaskoczył opryskliwy ton, którego wcześniej u Charlesa nie słyszała.

- Pannie Susan nie przyszłoby do głowy nasłuchiwać przy drzwiach - podkreśliła stanowczo Delia. - Będzie mile widziana w moim domu dopóty, dopóki zechce w nim mieszkać.

- Przepraszam - rzucił Charles, jednocześnie biorąc ją za rękę. - Jestem przemęczony, od bardzo dawna pracowałem w Komitecie nad przygotowaniem planu, który przedstawiliśmy mieszkańcom miasta. Wybaczysz mi?

Delia przytaknęła, ale nie pozbyła się niepokoju. Charles pokazał oblicze, którego nie znała; ujawniły się nieprzyjemne cechy jego charakteru. Potwierdziło się przecucie, że nie powinna się z nim wiązać.

- Czy podzielasz moją opinię, że plan zaprezentowany na dzisiejszym zebraniu jest doskonały? - zagadnął, kiedy oboje usadowili się na kanapie. - Pomyśl tylko, ty i ja, ze względu na możliwość zainwestowania pokażnej kwoty, będziemy należeć do głównych udziałowców. Będziemy bogatsi od legendarnego Krezusa!

W migotliwym świetle lampy oczy mu błyszczały, a usta rozciągał szeroki uśmiech pełen entuzjazmu, tym bardziej zaskakujący dla Delii, że jeszcze przed momentem Charles był w zupełnie innym nastroju i twierdził, iż jest przemęczony.

- Głównymi udziałowcami? - powtórzyła ze zdziwieniem. - Zamierzasz zainwestować dużo pieniędzy?

- Oczywiście nie tak dużo jak ty - odparł. - Niedługo zostanę twoim mężem. To, co twoje, stanie się nasze, prawda? Tak jak to, co moje, stanie się twoje - dodał szybko. - Możemy wykorzystać te pieniądze, żeby zarobić więcej. Na tym polega mądre inwestowanie.

- Tak... rozumiem.

Delia otuliła się szczelniej szalem, jakby chłód październikowego wieczoru przeniknął do przytulnego saloniku. Wcześniej nie zastanawiała się nad tym, jak zmieni się jej sytuacja po ślubie. Teraz uprzytomniła sobie, że zgodnie z obowiązującym prawem mąż miałby decydujący głos w sprawie wydawania jej pieniędzy... ich pieniędzy. Nie żywiła złudzeń, że Charles był przekonany, iż jako mężczyzna będzie dowolnie dysponować całym majątkiem żony.

- Nie rób takiej zmartwionej miny, kochanie - rzekł pobłażliwym tonem Charles, obejmując ją ramieniem i przyciągając do siebie. - W głębi duszy nadal jesteś wnuczką ubożego kaznodziei i nawet teraz na myśl o fantastycznym bogactwie czujesz się nieswojo. Nie zmieniaj się, skarbie. Zostań na zawsze taka niewinna i słodka.

Delia odwróciła się akurat wtedy, gdy pochylił się, żeby ją pocałować w policzek. Gwałtownie się odsunęła.

- Czy coś jest nie tak? - spytał Charles, przyglądając jej się z niepokojem.

- Ja... - Nie chciała wypowiadać słów, które by go zraniły, ale nie było innego wyjścia. - To prawda, że czuję się nieswojo, rozmawiając o dużych sumach - przyznała.

- Rozumiem to, kochanie. Ile zamierzałaś przeznaczyć na ten projekt? Może wymienienie sumy na głos ułatwi ci oswojenie się z sytuacją.

- Tysiąc dolarów...

- Tysiąc dolarów?! - zdumiał się Charles. - Tylko tyle? Sądziłem, że popierasz plan komitetu! Tysiąc dolarów od kogoś, kto posiada fortunę, to tyle co nic.

Delia pomyślała z troską, że go obraziła. Tym trudniej było jej poruszyć tę drugą sprawę.

- Chcę poprzeć to przedsięwzięcie, ale przecież nie potrzebuję zysków z kopalni. To, co mam, wystarczy mi w zupełności, nie jestem chytra.

Charles zacisnął usta i z ponurą miną milczał przez dłuższą chwilę. Gdy wreszcie się odezwał, przybrał uprzejmy wyraz twarzy.

- Oczywiście. Zapomniałem, jak bardzo jesteś szczodra i wielkoduszna. Pragniesz, żeby ludzie, którzy nie mieli tyle szczęścia co ty, cieszyli się z możliwości powiększenia stanu posiadania.

Delia miała ochotę powiedzieć na głos to, o czym wielokrotnie myślała: że wolałaby odzyskać ojca, niż doznać „szczęścia”, o którym wspominał Charles. Powstrzymała się jednak przed tym wyznaniem.

- Dobrze, że to rozumiesz.

- Kocham cię. Jak mógłbym nie rozumieć? Dobrze zatem, niech będzie tysiąc. - Podniósł się z miejsca. - Chyba powinienem się zbierać. To był męczący dzień.

- Mam ci jeszcze coś do powiedzenia - zaczęła niepewnie Delia. Obserwowała, jak Charles ponownie zajmuje miejsce na kanapie, a na jego twarzy maluje się cień niepokoju. - Ceniłam sobie... to znaczy nadal sobie cenię naszą przyjaźń, lecz... Czuję, że pragniesz, aby połączyło nas coś więcej. Sądziłam, że nie jestem jeszcze gotowa, ale coraz wyraźniej widzę, że... nie pasujemy do siebie. Wyznajemy inne wartości - ciągnęła zdenierwowana. - Jak słusznie spostrzegłeś, w głębi duszy pozostanę ubogą wnuczką kaznodziei.

- Nie mów tak, proszę! - zawołał z przejęciem Charles. Następnie, ku jej wielkiemu zaskoczeniu, ukląkł przed nią, ujął ją za obie ręce i spojrzał jej błagalnie w twarz. - Nie mów, że nie będziesz w stanie żywić do mnie uczucia!

Ogarnęło ją współczucie, gdy dostrzegła pojedynczą łzę płynącą po pobladłym policzku Charlesa. Nie mogła znieść świadomości, że go rani.

- Ależ ja żywię do ciebie uczucie... przyjaźni. Zarówno ty, jak i twoja rodzina, byliście dla mnie bardzo dobrzy. Jednak nie potrafię cię kochać tak, jak żona powinna kochać męża. Zyskałam w tej sprawie pewność. Gdzieś żyje kobieta stworzona dla ciebie.

- Ty jesteś kobietą stworzoną dla mnie - rzekł z naciskiem. - Proszę, zastanów się nad tym, co robisz. Jak mogę... - Urwał gwałtownie.

Delia wstała, wyswobadzając dłonie z jego uścisku.

- Dobrze to przemyślałam, możesz mi wierzyć.

- Czy jest ktoś inny? Czy ten cały Jude Tucker składał ci jakieś obietnice, opowiadał kłamstwa na mój temat?

- Nie. Pan Tucker kończy budowę mojego domu i głównie o tym rozmawiamy. Lepiej będzie, jak powiemy sobie dobranoc. Pamiętaj, że chciałabym pozostać z tobą w przyjaźni, jeśli i ty sobie tego życzysz.

- Oczywiście, zawsze będziemy przyjaciółmi - odrzekł sztywno Charles, nie patrząc Delii w oczy.

- Jude, nie musisz wracać do Nevady, żeby znów być górnikiem - zauważył zrzędlwym tonem James Heston, kiedy dotarli do domu po zebraniu w kościele. - Domyślam się, że po zakończeniu prac przy domu panny Keller, zgłosisz się do komitetu, jak tylko zaczną zatrudniać ludzi.

- Może to niezły pomysł.

- Co masz na myśli?

- Należałoby mieć oko na to, co robią.

- Zatem też uważasz, że to zakrawa na rządy lisa w kurniku! - wykrzyknął Heston, uderzając się otwartą dłonią w kolano. - Do licha, od razu wiedziałem, że z ciebie bystry chłopak. Podejrzewasz, podobnie jak ja, że ci spryciarze coś knują.

- Sam nie wiem... W tych stronach nie znaleziono nigdy żadnego złota, prawda?

- Ani okruszka - odezwała się Lucy Heston, wygodnie usadowiona w bujanym fotelu.

James Heston potwierdził słowa żony, energicznie kiwając głową.

- Nie można jednak wykluczyć, że Morrison naprawdę znalazł złoto - stwierdził Jude.

- Nie wierzę mu, tak samo jak temu, który go zatrudnia. Jestem prawie pewny, że ten łobuz strzelał i spłoszył mi konia tamtego wieczoru, kiedy się poznaliśmy, Jude. Jaskinia, o której mówili, leży na mojej dawnej ziemi. Kiedyś wpadł do niej cielak, więc wszedłem, aby go ratować. Wówczas się nie rozglądałem, zajęty wspinaniem się do wyjścia z nieszczęsnym cielakiem na ramionach.

- Słyszałeś kiedyś o piryście, Jim? Złocie głupców? - spytał zniechęcony Jude. - Wygląda tak samo jak prawdziwy kruszec.

- Sądzisz, że właśnie o to chodzi?

- Nie wszystko złoto, co się świeci - rzuciła sentencjonalnie Lucy Heston, sięgając po robótkę.

- Nie potrafiłbym odróżnić jednego od drugiego, patrząc z daleka - odparł Jude. - Trzeba zasięgnąć opinii znawcy. Zresztą, złoża pirytu też bywają nie do pogardzenia, bo czasami ten minerał występuje obok miedzi lub żelaza.

- Nie jest tak cenny jak złoto.

- To Morrisom i członkowie komitetu twierdzą, że to, co nam pokazano, zostało znalezione w pobliskiej jaskini. Człowiek, który bije swoją żonę, może być zdolny do wszystkiego, zwłaszcza za sowitą zapłatę.

Heston gwizdnął z podziwem.

- Jude, wiesz co? Jesteś mądry jak stado sów. Zatem zatrudnisz się u nich, żeby odkryć, co naprawdę znaleźli?

- Pomyślałem, że mógłbym zatrudnić się na jakiś czas. Obiecałem Delii, że zakończę prace przy jej domu na Święto Dziękczynienia. Słyszałem, jak ktoś mówił, że komitet zamierza rozpocząć nabór pracowników w listopadzie, mimo iż prace w kopalni nie ruszą przed końcem zimy. Gdy korytarze zostaną poszerzone, powinienem się szybko zorientować, czy rzeczywiście chodzi o żyłę złota. Planujesz zainwestować?

- Nawet gdybym miał wolną gotówkę, a nie mam, nie utopiłbym jej w przedsięwzięciu, w którym maczają palce Dixon Miller i burmistrz.

- Może w ten sposób omijasz szansę wzbogacenia się, Jim.

- Już jestem bogaty, chłopcze, w dobra, które się liczą naprawdę. Mam wspaniałą żonę - zaczął wyliczać, wskazując ruchem głowy na panią Heston - kawałek urodzajnej ziemi, nie najgorsze zdrowie i dobre układy z Panem Bogiem. Oczywiście także oddanych przyjaciół. Czego więcej człowiek potrzebuje do szczęścia?

- Dobrze powiedziane - pochwalił Jude i pomyślał o Delii.

Zdarzyło mu się kilka razy zerknąć na jej śliczny profil, kiedy słuchała przemowy o planach komitetu. Nie dostrzegł u niej wówczas podniecenia, które malowało się na

twarzach wielu innych mieszkańców Llano Crossing. Może dlatego, że już jest bogata? - zadał sobie w duchu pytanie Jude. Uznał jednak, że jej mina wyrażała nie tyle brak zainteresowania, co troskę.

Rozdział dziewiętnasty

- Wygląda pani na zmęczoną - powiedziała następnego ranka panna Susan, gdy razem z Delią zmywały naczynia po śniadaniu. - Czy dobrze pani spała?

- Nie bardzo.

- Proszę kazać mi zamilknąć, jeśli wtrącam się w nie swoje sprawy. Wczoraj wieczorem, będąc w swoim pokoju, słyszałam podniesiony głos Charlesa Ladleya. Nie różniałam słów, ale z tonu wynikało, że jest wzburzony.

- Rzeczywiście tak było - przyznała Delia. - Nie zamierzam wpłacić na projekt komitetu sumy, która wydawałaby mu się zadowolająca.

- To dobrze, że jest pani stanowcza. Proszę też nie pozwolić, aby czułymi słówkami skłonił panią do zmiany zdania.

- Wydaje mi się, że już nie będzie próbował. Delia zrelacjonowała resztę rozmowy z Charlesem. Panna Susan odłożyła ścierkę i klasnęła w dłonie.

- To najlepsza wiadomość, jaką słyszałam w ciągu ostatniego roku. Uważam, że syn burmistrza nie jest pani wart. Kiedy pan Tucker zajdzie tu dzisiaj wieczorem po pracy, nie wyściubię nosa ze swojego pokoju, żeby mogła mu pani wszystko opowiedzieć.

Delia znieruchomiała z rękami w mydlinach i wlepiła wzrok w towarzyszkę.

- Pani chce, żebym mu się narzucała, a nie mogę.

- Dlaczego? Nie kocha go pani?

- Przeciwnie - szepnęła. - Nie wykluczam, że zamierza wrócić do Nevady najszybciej, jak będzie to możliwe.

- Niekoniecznie - zaproponowała panna Susan. - Zresztą zachęcam panią jedynie do tego, żeby powiedziała mu tyle, ile mnie. Jeśli przecucie mnie nie myli, sprawi mu to dużą przyjemność.

Delia mimo woli szeroko się uśmiechnęła. Miała ochotę zatańczyć z radości, choć ostrożność nakazywała jej zachować więcej powściągliwości, bo noga wciąż ją bolała.

- Jest tylko jeden sposób, żeby sprawdzić - przyznała. - Och, żałuję, że nie mam konia. Wybrałabym się na przejażdżkę.

Ta myśl przypomniała jej o Zephyr. Miała nadzieję, że wrażliwa i pełna życia klacz dochodzi do siebie i wkrótce przestanie kuleć. Szkoda, że Charles pewnie ją sprzeda. To by znaczyło, że ona Zephyr nie zobaczy.

- Dobrze powiedziane. Dzielna dziewczyna. - Panna Susan odwiesiła ścierkę. - Powinnam iść do pracowni.

- Pójdę z panią - zaproponowała się Delia.

Odkąd skręciła kostkę po upadku z klaczy, przestała odprowadzać pannę Susan do pracy. Dobrze jednak zapamiętała wrogie spojrzenie, którym Donley Morrison obrzucił modniarkę po wczorajszym zebraniu w kościele. Uznała więc, że należy wrócić do tego zwyczaju.

- Nie ma potrzeby - zapewniła panna Susan. - Gdyby Donley coś knuł, bez wątpienia już bym o tym wiedziała.

Delia nie dała się przekonać. Sięgnęła po laskę i ruszyła do drzwi wyjściowych.

- Doktor Jones polecił, żebym powoli rozruszała kostkę.

Były w pół drogi do pracowni, kiedy panna Susan powiedziała nagle:

- Niech pani uważa na Charlesa. Delia przystanęła w pół kroku.

- Jak to? Może być bardzo zawiedziony, ale przecież by mnie nie skrzywdził.

- Nie wydaje mi się, żeby ktokolwiek w miasteczku naprawdę go znał. W każdym razie, teraz mogę pani coś powiedzieć. Syn burmistrza zwykł spędzać dużo czasu w saloonie na piętrze. Mam nadzieję, że pani rozumie, o to oznacza.

- Skąd pani to wie?

- Moja pracownia mieści się naprzeciwko. Pracuję do późna, kiedy szyję suknię ślubną, więc wiele razy widywałam Charlesa schodzącego z góry. Tam są pokoje dziewcząt i...

- Wiem, co robią - wpadła jej w słowo Delia. - Słyszałam też, że mężczyźni chodzą tam palić opium. - Aż zakręciło jej się w głowie na myśl, że i Charles należał do gości tego przybytku. Jak to się stało, że omal nie poślubiła takiego człowieka?

Zbliżało się południe, kiedy Charles Ladley pojawił się wreszcie na parterze rodzinnego domu.

- Najwyższy czas! - powitał go ojciec, siedząc za biurkiem w gabinecie usytuowanym naprzeciwko schodów. - Świętowałeś wczoraj do późna?

Zaskoczony Charles przystanął u podnóża schodów.

- Dzień dobry, ojcze. Sądziłem, że pojechałeś na rancho Millera.

- Matka powiedziała mi, że słyszała twój powrót o świcie, postanowiłem więc zaczekać i spytać o przyczynę. Wyglądasz jak upiór, chłopcze. Czy dobrze rozumiem, że przypieczętowaliście z Delią sprawę, jeśli można to tak nazwać? Ustaliliście datę?

- Nie byłem u Delii. Poszedłem do Flory - wyjaśnił świadom, że ojciec dobrze zna tę dziewczynę.

- Widzę, że to jeszcze nie wszystko. Mów dalej. Charlesowi żołądek podszedł do gardła.

- Delia da tylko tysiąc i oświadczyła, że mnie nie poślubi.

Burmistrz otworzył usta ze zdumienia, na twarzy pojawiły mu się purpurowe plamy.

- Nie poślubi?! Przecież jest tobą zachwycona! Musisz być bardziej przekonujący.

- Powiedziała, że nie może mnie pokochać.

- Przecież nie przyjmiesz tego tak, jakbyś był potulnym barankiem. Potrzebujemy jej pieniędzy!

- Przepraszam, ojcze...

- Przepraszanie nie da nam władzy nad jej majątkiem! - wybuchnął Ladley senior, a w uszach jego syna zabrzmiało to jak strzał z bicia.

- Jeszcze ją odzyskam, ojcze, przysięgam. Znajdę sposób.

Kiedy nadjechał Jude, Delia siedziała na ganku. W perłowej jedwabnej sukni z kontrastującym ciemnoszarym rąbkiem i ze swobodnie rozpuszczonymi długimi, kręconymi włosami wyglądała uroczo.

- Nowa suknia? Piękna - pochwalił, zeskakując z konia. Zastanowiło go, czy właśnie w nią ubrała się na kolację z Ladleyem.

- Dziękuję. - Wstała i przyjrzała mu się w skupieniu, czekając, aż podejdzie.

- Czy dokądś się wybierasz? - spytał, przystając u szczytu schodów. - Bo jeśli tak, nie będę cię zatrzymywał. Pani Heston pewnie podała już kolację.

- Widziałam ją dziś w miasteczku i uprzedziłam, że możesz się spóźnić. Proszę, wejdź do środka, chciałam z tobą porozmawiać.

Czy będzie musiał teraz cierpliwie wysłuchać, że Delia przyjęła oświadczyzny Ladleya? Czyżby tak bardzo nie liczyła się z jego uczuciami, że oczekiwała życzeń szczęścia? - zastanawiał się Jude.

Tymczasem Delia zamknęła za nimi drzwi i ujęła go za rękę.

- Chcę, abyś wiedział, co powiedziałam wczoraj wieczorem Charlesowi. Nie poślubię go.

Nie był pewien, czy się nie przesłyszał.

- Dlaczego?

- Ponieważ to ciebie kocham.

- Och, Delio, to cudownie! Ja też cię kocham.

Żadne z nich nie zapamiętało, kto pierwszy rozwarł ramiona, aby przygarnąć do serca ukochaną osobę. W każdym razie wrócili do rozmowy dużo później, nacieszywszy się wzajemną bliskością.

- Byłem głupcem, że nie zacząłem się zalecać do ciebie wtedy, gdy się poznaliśmy. Wydawało mi się jednak, że nie obdarzysz zaufaniem dopiero co spotkanego człowieka. Mogłem być najzwyklejszym łowcą posagów.

- A jednak ci zaufałam. Nie wiem, jak to się stało. W każdym razie chyba właśnie dlatego zaprosiłam cię na obiad w hotelu. Owszem, chciałam usłyszeć więcej o ojcu, ale miałam również nadzieję lepiej cię poznać.

- Bardzo chciałem przyjąć zaproszenie - przyznał Jude, gładząc zarumieniony policzek Delii. - Uznałem jednak, że nie powinnaś się pokazywać w moim towarzystwie. Byłem zdania, że nie jestem odpowiednim człowiekiem. Wciąż nie mam co do tego

pewności. - Zamilkł na dłuższą chwilę, po czym wyznał: - Jestem biedakiem, poza tym jako sługa Boży omal nie popełniłem grzechu cudzołóstwa.

Delia na niego ze zdumieniem.

- Kiedy poznałem Norę, nie wiedziałem, że jest mężatką. Podała się za wdowę i zacząłem pomagać jej w gospodarstwie, bo nie dawała sobie rady. Raz po raz dawała mi do zrozumienia, że może być moją nagrodą za trudy. - Odwrócił głowę zawstydzony. - Pewnego dnia jej rzekomo nieżyjący mąż wrócił z wojny. Obiecała, że jeśli go zabiję, to nie tylko odda mi się jeszcze tej nocy, lecz mnie poślubi. Przez chwilę walczyłem z przemożną pokusą - przyznał szczerze. - Na szczęście zwyciężyłem. Odjechałem stamtąd jeszcze tego samego wieczoru.

Delia pobladła, słuchając tych słów.

- To dlatego ci powiedziałem, że nie mogę wrócić do pełnienia służby kaznodziei. Czy twoje uczucie pozostanie niezmiennie, kiedy już wyznałem, jakiego czynu omal nie popełniłem?

Delia skinęła głową.

- Ważne jest to, że się opamiętałeś - stwierdziła. - Kocham cię, bez względu na to, co zamierzasz robić. Uważam jednak, że powinieneś wrócić do nauczania, i to tutaj, w Llano Crossing. Naturalnie, musisz wyznać wszystko zarządowi parafii - dodała, uniósłszy rękę, kiedy chciał jej przerwać. - Bóg ci wybaczył i wierzę, że wciąż chce mieć sługę, który głosi Jego Słowo.

- Muszę to przemyśleć. Sądzisz, że przyjmie mnie zarząd parafii, któremu przewodzi burmistrz?

- Szczególnie że chcesz poślubić kobietę, do której wcześniej zalecał się jego syn. Co cię tak rozbawiło? - spytała na widok szerokiego uśmiechu goszczącego na twarzy Jude'a.

- O ile się nie mylę, Delio Keller, właśnie mi się oświadczyłaś.

- Rzeczywiście. Wygląda na to, że przy tobie staję się nadmiernie śmiała.

- Przyjmuję oświadczyzny. Zrobimy to jak należy. Rozpoczniemy tradycyjne zaloty, poza tym musimy się modlić, aby życie dobrze nam się ułożyło. Modlitwa powinna też pomóc w zdecydowaniu, czy powinienem wrócić do służby Bożej.

Rozdział dwudziesty

Delia obudziła się o świcie z uśmiechem na ustach. Ostatniego wieczoru jej świat radykalnie się zmienił, nareszcie dowiedziała się, czym jest prawdziwa radość. Nie miała nic wspólnego z bogactwem ani z wysoką pozycją w hierarchii społecznej. To wzajemna miłość jest skarbem i wyposażeniem na całe życie. Nie żywiła najmniejszych wątpliwości; autentyczne, szczere uczucie połączyło ją z prawym człowiekiem, chętnie pomagającym innym i szanującym Boga.

Chcąc w pełni się napawać szczęściem, postanowiła jak najszybciej wykonać przykre zadanie. Specjalnie wstała wcześniej, aby zdążyć, zanim zbudzi się panna Susan. Zebrała rzeczy, które dostała w prezencie od Ladleyów: kolczyki, kryształowy wazon, złotą broszkę i kostium jeździecki, pożyczony jej przez panią Ladley. Musiała to wszystko zwrócić. A gdyby zostawiła te przedmioty u pani Ladley? Tylko czy Charles powiedział jej, co się stało?

Żałowała, że zerwana znajomość z Charlesem prawdopodobnie zniszczy kielkującą jej przyjaźń z Jane Ladley. Żona burmistrza wydawała się ciepłą, pełną matczynych uczuć damą. Jednak kocha swojego syna, może więc zmienić swój stosunek do jego niedosłej wybranki, uznała Delia. Czy nie będzie miała mi za złe, że odrzuciłam Charlesa?

- Niech pani nie zaprzęta sobie tym głowy - powiedziała panna Susan, gdy Delia, idąc z nią do miasta, zwierzyła jej się z kłopotu. - Pójdę do Ladleyów i zostawię te rzeczy. Zdaje sobie pani sprawę z tego, że Charles chętnie skorzystałby z okazji, aby ponownie wkraść się w pani łaski.

Delia właśnie tego się obawiała. Nie była też pewna, czy Charles nie wpadnie w złość i nie powie jej czegoś bardzo przykrego, gdyby zostali sam na sam. Mimo wszystko nie chciała, aby ktoś ją wyręczył.

- Dziękuję, ale nie mogę stosować tchórzliwych uników.

- Już nie musi pani iść do jego domu - stwierdziła panna Susan, gdy zbliżały się do pracowni. - On właśnie wychodzi z banku. Zostać z panią?

Charles ruszył w ich stronę. Prawdopodobnie nie ucieszyłoby go, gdyby musiał rozmawiać ze mną przy świadku, pomyślała Delia.

- Nie, dziękuję. Proszę uważać, żeby nie zauważył pani w oknie.

Panna Susan wzruszyła ramionami i odeszła.

- Delio, pięknie wyglądasz. Cieszę się ze spotkania - powitał ją, jakby nic nie zaszło. - Proszę zobaczyć, wszyscy rozmawiają o kopalni złota - dodał, wskazując skinieniem głowy mężczyzn gestykulujących z podnieceniem przed wejściem do saloonu.

- Dzień dobry - przywitała się Delia, zaskoczona jego pogodą ducha. Pilnowała więc, by i jej głos brzmiał życzliwie. - Mam parę drobiazgów, które chciałabym ci zwrócić.

Pobladł, a Delii przez chwilę zdawało się, że nie zechce odebrać od niej torby. Wziął ją jednak ze zboląłą miną.

- Najdroższa, to były podarunki. Chciałem, aby te rzeczy należały do ciebie, i nic się w tym względzie nie zmieniło.

- Nie mogę ich zatrzymać. To nie byłoby w porządku. Proszę podziękować mamie za pożyczenie mi kostiumu do konnej jazdy.

Zanim zdążyła zorientować się w sytuacji, ujął ją za rękę.

- Nie przekreśliłem naszego związku. Kochałaś mnie, wiem o tym, i mam nadzieję, że miłość powróci. Proszę zachować te rzeczy, niech przypominają ci o mnie. - Usiłował wsunąć jej torbę do ręki.

Cofnęła się o krok, robiąc unik.

- Nie mogę. To nie wpłynęłoby na moją decyzję. Bardzo mi przykro, ale...

- Jeszcze zmienisz zdanie. Nie zapomnij o zebraniu w kościele w środę wieczorem, na które wszyscy chętni mają przynieść zadeklarowane pieniądze. Tam się spotkamy, dobrze?

Delia była zdziwiona. Czy mimo rozmowy, którą odbyli, Charles spodziewał się jej obecności?

- Wypiszę w banku czek i tam go dla ciebie zostawię - powiedziała oficjalnym tonem. - Do widzenia.

Wstrząsnęło nią, że Charles zdaje sobie nic nie robić z jej decyzji. Z nadzieją, że nie zauważy jej poruszenia, schroniła się w banku. Kiedy wyszła na ulicę, już go nie było. Postanowiła upiec ciasto dla Jude'a, więc weszła do sklepu, żeby kupić czekoladę.

Klienci rozprawiali o kopalni złota w Llano Crossing i o tym, co zrobią z zyskiem. Podśluchała przechwałki tych, którzy gotowi byli dużo zainwestować, i kobiety opowiadające, jak ciężko będą pracować ich mężczyźni, żeby wydobyć dużo złota.

- Przez najbliższe dni będę malował pokoje w twoim nowym domu - zapowiedział Jude, gdy Delia ukroiła trzy kawałki ciasta dla niego, siebie i panny Susan.

- Czy możesz pożyczyć powóz i podjechać po mnie do pracowni panny Susan? Pomogę ci w malowaniu - obiecała Delia, zachwyconą, że prace przy domu dobiegają końca.

- Podjechać po nas - poprawiła ją modniarka. - Mogę zamknąć pracownię na jeden dzień. Nic się nie stanie, jeśli zamiast igłą pomacham pędzlem.

- Weźmiemy przy okazji koszyk piknikowy - zaproponowała Delia.

- Znakomity pomysł - pochwalił Jude.

- Pamiętaj, że nie malujemy salonu ani jadalni - zwróciła mu uwagę Delia. - Zamówiłam tapety.

Tylko co będzie, jeśli nie zostaną dostarczone przed Świętem Dziękczynienia? - zaniepokoiła się.

- Mamy zajadać tapetę zamiast indyka? - spytał z tak niewzruszoną powagą, że obie kobiety parsknęły śmiechem.

- Gołe ściany nie pasują do świątecznego nastroju. Aha, i powiedz Hestonom, że też są zaproszeni na kolację.

- Lucy na pewno będzie chciała wnieść swój wkład w tę ucztę, więc poproszę, żeby z tobą o tym porozmawiała.

- Proszę jej powiedzieć, że upiekę ciasta - wtrąciła panna Susan. - To miło móc coś przyrządzić dla kogoś bliskiego.

Jude i Delia zasiedli razem na ganku. Właśnie uświadomili sobie, że pochłodziło i wkrótce trzeba będzie się schować.

- Czy postępuję słusznie? - spytała.

- Siedząc tutaj ze mną i trzymając mnie za rękę? Tak, z pewnością, kochana Delio.

- Lubię, kiedy zwracasz się do mnie w ten sposób. Miałam na myśli dom. Jeśli zamierzasz znowu zostać kaznodzieją, to może powinnam go sprzedać, a my zostalibyśmy

na plebanii. Nie wydaje mi się, żeby rzeczy kiedykolwiek miały stać się dla mnie ważne. Zależy mi tylko na tym, aby jak najlepiej sprawować się jako żona kaznodziei.

- Co do tego nie żywię wątpliwości - zapewnił ją Jude - Pamiętaj jednak, że Bóg nie ma nic przeciwko temu, aby jego dzieci korzystały z darów, które im zsyła. Także z pieniędzy. Sądzę, że ten wielki dom może być błogosławieństwem nie tylko dla rodziny Tuckerów. Jest przecież wielu potrzebujących: wędrowcy, ubodzy, sieroty. Nie mówiąc o dzieciach, którymi, mam nadzieję, Bóg nas obdarzy. Przy takich zamierzeniach plebania z dwiema sypialniami naprawdę mogłaby okazać się ciasna.

Ucieszył go wstydlivy uśmiech ukochanej. Chyba nie potrafiłby wyrazić, jak bardzo jest wdzięczny za to, że spotkał na swojej drodze Delię.

- Muszę powiedzieć, że to brzmi przekonująco - przyznała. - Czy zgodzisz się, aby panna Susan mieszkała u nas tak długo, jak tylko będzie jej to odpowiadało?

- Naturalnie - odrzekł zdziwiony, że w ogóle przyszło jej do głowy takie pytanie. - Jesteś dobrą kobietą, Delio.

Zasepiła się, przypomniała sobie bowiem poranek. Opowiedziała Jude'owi o spotkaniu z Charlesem.

- Nie martw się. Może on jeszcze nie wierzy, że to prawda, ale przy twojej konsekwencji zrozumie, zwłaszcza gdy będzie widywał nas razem w kościele i gdzie indziej.

- Czy to jednak rozsądne? - spytała. - Zamierzasz zwrócić się do zarządu i ubiegać o miejsce kaznodziei, a ojciec Charlesa jest przewodniczącym...

Jude położył jej palec na wargach.

- Nie zamierzam udawać, że cię nie kocham. Jeśli Pan chce, abym znowu był kaznodzieją, to tak będzie. Najpierw muszę coś sprawdzić.

Po Święcie Dziękczynienia komitet rozpoczynał nabór górników do kopalni i Jude postanowił się zgłosić.

- Po co? - spytała Delia.

Podzielił się z nią swoim podejrzeniem, że w tak zwanej kopalni wcale nie ma złota.

- Chcę się o tym przekonać na własne oczy. Kto może to zrobić lepiej niż górnik? Wiem, czym się różni prawdziwe złoto od złota głupców.

W oczach Delii odbił się strach.

- Myślisz, że komitet chce oszukać mieszkańców? Czy mogą liczyć, że tak wielkie oszustwo ujdzie im płazem? Przecież prędzej czy później ktoś się zorientuje.

- Ale wtedy członkowie komitetu będą o mile stąd z cudzymi pieniędzmi. Chciałbym się mylić - przyznał. - W każdym razie warto odpowiedzieć sobie na pytanie, dlaczego taki człowiek jak Dixon Miller, o którym Heston mówi, że zawsze dbał wyłącznie o swoje sprawy, chce dzielić się z mieszkańcami Llano Crossing.

- O innych członkach komitetu można powiedzieć to samo - przyznała zafrasowana Delia. - Bardzo żałuję, że w ogóle cokolwiek zadeklarowałam. Może nie jest jeszcze za późno, żeby się wycofać.

- Zostawiłbym wszystko bez zmian. Lepiej, żeby nie wiedzieli, że ktoś ich o cokolwiek podejrzewa. Jeśli rzeczywiście próbują oszukać i uda się ich na tym złapać, to ludzie odzyskają pieniądze.

- Jude, błagam cię, uważaj - przestrzegła, choć wiedziała, że nie odwiedzie go od jego zamierzeń. - Ci ludzie mogą być niebezpieczni, zwłaszcza Miller i jego kowboje.

- Będę ostrożny - obiecał.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Październik niepostrzeżenie przeszedł w listopad. Na sumaku pojawiły się obficie płomieniste jagody, a owocujące kiście kojarzyły się ze znanym z Biblii krzewem gorejącym Mojżesza. Dom Delii był już prawie gotowy. Jude pożyczył od Hestonów konia pociągowego, przywykłego również do chodzenia pod siodłem, więc Delia niemal co dzień wyruszała w drogę, by pomagać ukochanemu w malowaniu, kłaść tapety i nadzorować rozstawianie nowych mebli, które stopniowo przysyłano. Wracając do miasta, aby przyprowadzić pannę Susan z pracowni na plebanię. Zwykle jedli kolację we troje, czasem zaś szli do Hestonów, którzy przyjęli na siebie rolę przyszywanych dziadków.

Pewnego dnia krawcowa odciągnęła Delię na stronę i oznajmiła, że kiedy dom będzie gotowy, ona zamierza wrócić do pensjonatu.

- Spodziewam się, że wkrótce po przeprowadzce weźmiecie ślub, a nowożeńcom nie należy przeszkadzać.

Delia zaproponowała, aby przemyślała swoją decyzję. Przypomniała, że dom jest duży, a ona i Jude chcą, żeby służył także innym. Zapewniła modniarkę, że przygotuje dla niej pokój. Pannie Susan podejrzanie zwilgotniały oczy. Uściskała Delię i obiecała, że zostanie z nią przynajmniej do dnia ślubu, aby nie czuła się samotna w nowym miejscu.

Charles nie dawał znaku życia. Ilekroć przypadkiem znajdowali się w swoim pobliżu, starannie omijał Delię. Podczas niedzielnych nabożeństw Jude regularnie zaczął odczytywać i komentować ustępy z Biblii. Burmistrz Ladley okazywał im obojgu chłodną uprzejmość. Natomiast ku zaskoczeniu Delii pani Ladley witała ją życzliwym uśmiechem, mimo że mąż starał się za wszelką cenę przeszkodzić w wymianie uprzejmości.

Delia uspokoiłaby się całkowicie i uwierzyła, że Charles wreszcie uznał ich znajomość za zakończoną, gdyby zaczęła go widywać z kobietą. Nic takiego się nie zdarzyło. Kiedy była sama, czy to w miasteczku, czy w okolicy plebanii lub nowego domu, odnosiła wrażenie, że ktoś ją obserwuje. Naturalnie, nikogo nie zauważyła, ale bywało, że ni stąd, ni zowąd ogarniał ją strach.

Do nowego domu wprowadziła się w poniedziałek przed Świętem Dziękczynienia, więc miała niewiele czasu, aby doprowadzić do stanu używalności kuchnię przed świąteczną ucztą.

Kolacja udała się nadzwyczajnie. Dzięki pomocy Lucy Heston i panny Susan indyk upiekł się właśnie tak, jak powinien, a stół wprost uginał się od smakołyków. Znalazło się na nim wiele tradycyjnych potraw, nic więc dziwnego, że biesiadnicy się zajadali. W pewnym momencie Jude podniósł się od stołu, podziękowawszy za dokładkę placka z dyni.

- Dziękuję bardzo, ale zabrakło mi dziurek w pasku.

- To było pyszne - dodał pan Heston.

- Jutro komitet zaczyna nabór górników - przypomniał wszystkim Jude, gdy po zakończonym posiłku siedzieli w salonie.

- Wciąż zamierzasz się zgłosić? - zainteresował się Heston.

- Owszem.

- Uważaj, Jude, bardzo cię o to proszę - powiedziała Delia, nieświadomie zaciskając dłonie na jedwabnej spódnicy.

Dwaj kowboje Dixona Millera siedzieli rozparci na werandzie rozległego domu. Wyglądaliby zupełnie nieszkodliwie, gdyby nie nosili pasów z rewolwerami i nabojami. Jude stanął w długiej kolejce oczekujących, ciągnącej się od drzwi wejściowych przez brązowy, późnojesienny trawnik. Poznał wiele osób w kościele, skracał więc sobie oczekiwanie pogawędkami. Dowiedział się, że większość z nich nie była w stanie zadeklarować znacznych sum na projekt komitetu, a niektórzy w ogóle musieli zrezygnować z inwestycji i chcą wspomóc rodziny przynajmniej swoją pracą. Nikt z nich wcześniej nie pracował w kopalni.

- Na pewno cię przyjmą - powiedział z nutką zazdrości żylasty mężczyzna z siwą bródką, gdy usłyszał, że Jude miał do czynienia z wydobywaniem srebra w kopalniach w Nevadzie. - Potrzebują przecież ludzi z doświadczeniem. Może nawet zrobią cię zmianowym.

Gdy jednak przyszedł czas na rozmowę w gabinecie Dixona Millera, okazało się, że nikt nie zamierza proponować Jude'owi funkcji zmianowego. Stanął przed wielkim

lśniącym biurkiem z drewna orzechowego, za którym siedzieli Miller, Amos Dawson, Barton Jeffers i obaj Ladleyowie, strzeżeni przez uzbrojonego po zęby kowboja. Jednoznacznie powiedziano mu, że do niczego się nie przyda.

- Przecież mam doświadczenie. - Jude udał, że jest zaskoczony odmową. Prawdę mówiąc, umocnił się w przeświadczeniu, że cała sprawa wygląda podejrzanie. - Nie chcą panowie zatrudnić kogoś, kto pracował jako górnik?

- Pan... Tucker, prawda? - Miller zrobił przedstawienie, zerkając przez szkła na kartkę z podaniem Jude'a. - Tak, nie mylę się. Musi pan zrozumieć, że projekt ma na celu przyniesienie korzyści mieszkańcom Llano Crossing. Pan nie jest stąd.

- Przecież mieszkam tu kilka miesięcy, przyjechałem w sierpniu - sprzeciwił się Jude, choć wiedział, że nic nie działa.

Charles Ladley pogardliwie uśmiechał się pod nosem.

- Czy zainwestował pan w projekt? - spytał burmistrz Ladley, sięgając po listę leżącą na stole i przesuując wzrokiem po kolumnie nazwisk. - Nie widzę pańskiego nazwiska.

- Jestem cieślą, nie mam majątku. Nazwiska większości stojących w kolejce ludzi też nie figurują na tej liście - zauważył Jude, wskazując energicznie na długą kolejkę przed domem. Zaniepokojony kowboj natychmiast położył rękę na kolbie rewolweru i przesłał mu znaczące spojrzenie. Jude go zignorował. - Właśnie dlatego się zgłosiliśmy. Potrzebujemy pracy.

- Oni mieszkają w Llano Crossing od dawna - powiedział burmistrz. - Natomiast pan dopiero co się pojawił.

- Pracowałem u kilku obywateli Llano Crossing, w tym u Jamesa Hestona, długoletniego mieszkańca i byłego sąsiada pana Millera. Czy to nie ma żadnego znaczenia?

- Obawiam się, że nie - odrzekł Dixon Miller.

Jude skulił ramiona, jakby przeżył srogi zawód.

- Nie wiem, jak przetrwam zimę.

- Może powinien pan rozważyć, czy nie warto wyjechać, na przykład na zielone pastwiska? - podsunął Dixon Miller.

Odjeżdżając spod okazałego domu Millera, Charles Ladley plasnął lejcami koński zad z niepotrzebną gwałtownością. Zaskoczony koń omal nie stanął dęba, po chwili jednak ruszył kłusem.

- Nie tak ostro, synu! - zganiał go burmistrz. - Uczyłem cię lepiej powozić, to pewne.

Charles zmeł pod nosem ostrą ripostę.

- Przepraszam, ojciec. To był męczący dzień.

Dopiero gdy słońce znikło za wzgórzami, zakończył się nabór ludzi. Potrzebni byli do budowania szalunków w jaskini, zakładania dynamitowych ładunków, kucia ścian, płukania piasku sitem w strumieniu i rzece oraz do pilnowania terenu poszukiwań przed obcymi. Pogoda przed Bożym Narodzeniem była wyjątkowo łagodna, więc płukanie piasku miało się rozpocząć niezwłocznie, natomiast rozpoczęcie pracy w kopalni przewidywano na początek lutego, kiedy grunt zacznie tajać.

- Zamurowało cię? - odezwał się burmistrz. - Powinieneś odczuwać satysfakcję, że utarłeś nosa temu Jude'owi Tuckerowi. A może wciąż się wściekasz, że Delia Keller pokazała ci drzwi, bo wołała tego majstra złotą rączkę? Daj spokój, chłopcze, na świecie jest pełno kobiet odpowiednich dla ciebie, możesz nawet trochę poczekać na ognistą *señorite*.

Charlesa zirytowała jowialność ojca, a zwłaszcza jego protekcyjny ton.

- Nie wiem, czy zdajesz sobie z tego sprawę - powiedział - ale Tucker może nam bardzo nabruździć. Nie chodzi o Delię Keller. Uważam, że powinniśmy się go pozbyć.

- Co ty mówisz? - spytał skonsternowany ojciec. - Nie chcesz chyba...

- Posłuchaj, ojciec. Tucker jest jedynym człowiekiem, który wie na tyle dużo, że diabli mogą wziąć nasz plan. Przecież powiedział, że pracował jako górnik. Gdyby zachciało mu się węszyć, to nie wiem, czy zdołamy upilnować przed nim wejście do kopalni. Jeśli szybko nie usuniemy go z drogi, może się okazać, że nasza wymarzona *estancia* w Meksyku jest mrzonką i przyjdzie nam gnić w więziennej celi w Huntsville.

- Morderstwo?! Synu, to zbyt wielkie ryzyko. Wiem, że dobrze strzelasz, Jankesi przekonali się o tym nieraz i gorzko tego żałują, ale nie jestem pewien, czy można w pełni zaufać komitetowi. Czy wszyscy jego członkowie potrafią trzymać język za zębami?

Charles pomyślał, że ojciec jest starym głupcem.

- Nie musimy im o niczym mówić. Wystarczy, że urządzę zasadzkę na Tuckera. Na tym dobrze się znam, robiłem to przecież setki razy jako snajper na wojnie. Rozwiązanie łatwe, skuteczne i bez niepotrzebnych punktów zaczepienia, gdyby ktoś okazał się wścibski.

- Nie chcę nic o tym wiedzieć - podkreślił burmistrz.

Rozdział dwudziesty drugi

Listopad ustąpił miejsca grudniowi. Pewnego popołudnia, kiedy pozostawało jeszcze dziewięć dni do Bożego Narodzenia, Jane Ladley zaskoczyła Delię, składając jej wizytę w nowym domu.

- Mam nadzieję, że cieszysz się z mojego widoku, Delio. Charles i jego ojciec nie wiedzą, że tu przyszłam. Stęskniłam się za tobą i nie rozumiem, dlaczego miałybyśmy przestać się przyjaźnić, nawet jeśli nie zostaniesz moją synową. - Te ostatnie słowa wypowiedziała z widocznym smutkiem na twarzy.

Delię pokrzepiła myśl, że pani Ladley zadała sobie trud, by ją odwiedzić, tak więc powitała ją z przyjemnością. Salon był już przybrany dekoracją na Boże Narodzenie. Gałęzie z czerwonymi jagodami ostrokrzewu, spośród których sterczały świeczki, leżały na mahoniowym gzymisie kominka. Nad drzwiami Delia umieściła gałązkę jemioły, zerwaną z jadłoszynu. Jałowiec wykopany przez Jude'a, dostatecznie wysoki, by sięgał sufitu, stał teraz na honorowym miejscu jako choinka, ubrany świątecznie.

- Czy te ozdoby należały do twojego dziadka? spytała pani Ladley, popijając herbatę, którą została poczęstowana.

- Część należała do mojej matki - odparła Delia, wskazując palcem aniołka wyrzeźbionego z drewna, mającego zamiast głowy kulkę ze szkła kobaltowego i niewielkie pęknięcie na plecach. - Za życia dziadka zwykle robiłyśmy tylko papierowe łańcuchy i nawlekałyśmy sznurki prażonej kukurydzy. Większość tych ozdób pochodzi jednak od kupca. Pan Dean był taki dobry, że zamówił je dla mnie we Fredericksburgu.

- Niemieccy imigranci wytwarzają najpiękniejsze ozdoby. Pewnie dlatego, że choinki przyszły do nas z ich kraju - powiedziała żona burmistrza i westchnęła. - Podejrzewam, że w tym roku cała organizacja Bożego Narodzenia będzie spoczywać na barkach kobiet i dzieci. Mężczyźni są zanadto pochłonięci kopalnią złota. Nie rozmawiają o niczym innym. Nie wyobrażasz sobie nawet, jak wiele czasu spędza komitet na zebraniach.

- Słyszałam, że za pieniądze, które przyniesie złoto, będzie można wprowadzić wiele usprawnień w miasteczku - ucieszyła się Delia. - Ma być park z podium dla orkiestry, nowy ratusz, większy kościół.

- Moim zdaniem, powinni poczekać, aż pieniądze zaczną spływać - stwierdziła pani Ladley. - Ech, ci mężczyźni! Miejmy nadzieję, że skoro już wszczął się ruch, to przynajmniej zawita do nas nowy pastor. Nie rozumiem tylko, dlaczego po tylu staraniach jeszcze go nie ma. Zwłaszcza że postanowiłaś na własny koszt wyremontować plebanię. To bardzo hojny gest z twojej strony, moja droga.

- Dla mnie to zaszczyt. Wygląda jednak na to, że właściwy kandydat jeszcze się nie zgłosił.

- Wybierasz się jutro wieczorem na jasełka?

Delia skinęła głową.

- Zamierzam dobrze się bawić. Zwłaszcza że tym razem będę jedynie oglądać, a nie wszystko organizować, jak to było za życia dziadka. Bardzo jestem wdzięczna pani Purvis, że zgodziła się przejąć moje obowiązki, bo mam mnóstwo zajęć przy urządzaniu domu.

Stojący w kącie pokoju zegar zaczął wybijać godzinę.

- Ojej, robiło się późno - zreflektowała się pani Ladley, wstając. - Muszę iść, moja droga. Ani się obejrzę i Charles będzie się domagał kolacji.

Delia pożegnała ją ciepło, przekonana, że ani pan Ladley, ani jego syn niczego nie wiedzą o tej wizycie.

Siedząc w mroku zatłoczonego kościoła i oglądając w towarzystwie Jude'a rozgrywającą się na ich oczach historię Bożego Narodzenia, Delia czuła się tak, jakby pierwszy raz widziała jasełka. Okrzyki zachwytu powitały na scenie młodą dziewczynę,

potykającą się o rąbek długiej, białej sukni. Złote skrzydła i nimb niebezpiecznie się zakłósały, gdy oznajmiła:

- Nie bój się, Mario, znalazłaś bowiem łaskę u Boga...

Delia i Jude roześmiali się wraz z resztą widzów, gdy jedna z owiec, pożyczonych od miejscowego farmera, zabeczała i próbowała uciec ze sceny. Osiołek zaczął ryczeć, a to z kolei zachęciło do muczenia jałówkę przywiązaną postronkiem do nogi fortepianu. Jednak prawdziwy wybuch radości nastąpił dopiero wtedy, gdy weszli na scenę trzej chłopcy w szatach mędrców ze Wschodu, podejrzanie przypominających stare brokatowe zasłony pani Purvis, i turbanach z ręczników ozdobionych pośrodku pożyczonymi klejnotami. Prowadzili za sobą cielęta, którym do grzbietu przytroczono garby ze starych worków, aby przypominały wielbłądy.

- Gdzie jest ten nowo narodzony król, abyśmy mogli oddać mu pokłon? - spytał najstarszy chłopiec głosem złamanym nieco przez pierwsze oznaki dorastania. - Widzieliśmy bowiem gwiazdę jego na Wschodzie i przynieśliśmy mu w darze złoto, kadzidło i...

- Mirrę! - wspomogła go scenicznym szeptem z pierwszego rzędu pani Purvis.

- I mirrę! - zakończył triumfalnie swą kwestię.

Chłopiec ustąpił miejsca swemu następcy grającemu Heroda. Król miał złowieszczy wygląd dzięki doklejeniu sztucznych wąsów i brody. Toczyła się ta sama bożonarodzeniowa historia co zawsze. Jak co roku skłaniała do głębszych refleksji.

Kontemplowanie jasełek zakłócał Delii niepokój o ukochanego. Jude powiedział jej, że znajdzie sposób i wkradnie się do kopalni, aby osobiście się przekonać, czy naprawdę coś tam jest, a jeśli tak, to co. A jak złapią go na tym ludzie, których komitet używa do czarnej roboty? A jak go zabiją? Delię przeszył dreszcz trwogi.

- Nic ci nie jest, kochanie? - spytał z troską Jude.

- Nic takiego. Po prostu poczułam przeciąg.

Nie chciała zdradzić mu swych obaw. Zniszczyłaby magię tej wiekowej historii o przyjściu Jezusa na świat.

- Nie bójcie się, oto zwiastuję wam radość wielką - ogłosił anioł, w którym Delia poznała jedną z córek Deana.

„Nie bójcie się”. Te słowa zapadły jej w serce. Bóg chroni przecież Jude'a, aby udało mu się to, co zamierzył. Od tej pory wszystkie Boże Narodzenia w Llano Crossing będą mijać w pokoju i poczuciu bezpieczeństwa dzięki odwadze Jude'a, który nie boi się członków komitetu.

Słońce schowało się za wzgórzami. Jude na Shilohu jechał wzdłuż płotu, dzielącego drogę od rancza, i bacznie przyglądał się ogrodzeniu. Mijał właśnie zakole, gdzie na ziemi Millera gęsto rosła bawełna, a gdzieniegdzie wznosiły się dęby.

Zauważył dwóch potężnych strażników z posepnymi twarzami i strzelbami w rękach. Pomyślał, że Miller woli nie ryzykować. Stanowczo nie życzy sobie, żeby ktoś próbował badać kopalnię na własną rękę, a może i ukraść trochę rzekomego złota. Jude dałby wiele, by na kilkanaście minut stać się niewidzialnym. Tylko na tyle, by zejść do jaskini i przekonać się samemu, co tam zastanie. Naturalnie, narzędzia też musiałyby być niewidzialne.

Bryłkę złota, którą Morrison pokazał na zebraniu, poddano wcześniej próbie i uznano za autentyczną. Jude podejrzewał że została podrzucona do jaskini razem z kilkoma podobnymi i z pewną ilością złotego piasku, który w strumieniu znaleźli wynajęci robotnicy.

Nagle Shiloh się spłoszył. Jude poczuł ciarki biegnące mu po krzyżu. Musiało to być podobne uczucie do tego, o którym ostatnio opowiadała mu Delia. Wiedział, że przyglądają mu się strażnicy, odniósł jednak wrażenie, że ten niepokój promieniuje skądinąd, jego źródło jest bliżej...

Huknął strzał. Jude osunął się na koński kark. Zrobiło mu się ciemno przed oczami, krew zalała mu twarz. Shiloh zarżał przerażony i pognął przed siebie. Jude poczuł rozrywający ból w ramieniu. Zaraz potem usłyszał kolejny wystrzał. Rozpaczliwie uczeplił się końskiej grzywy, choć czerń z każdą chwilą wciągała go głębiej. Był jak posadzona w siodle wielka szmaciana lalka.

- Mam go! - Ladley zeskoczył z gałęzi jednego z rozrośniętych dębów. - Najwyższy czas! Wiedziałem, że przyjedzie węszyć, ale ile można siedzieć na drzewie? To sępy tak czekają na padlinę.

- Wygląda na to, że trafiłeś - stwierdził Donley Morrison, zerkając przez lunetę z sąsiedniego konaru. - Koń jeszcze go niesie - stwierdził, kiedy Shiloh zawrócił, aby pogalopować ku Llano Crossing. - Nie powinniśmy pojechać za nim i przekonać się, czy rzeczywiście nie żyje?

- Po co? Widziałeś, jak krwawił. Tucker jest trupem, a w najgorszym razie będzie nim za kilka minut. Pewnie spadnie z konia, zanim dojedzie do miasteczka. Jeśli nie wykrwawi się na śmierć, to zgnije, zanim ktoś się na niego natknie. Doskonale to wyszło. Znajdą go daleko od ziemi Millera, więc nie będzie sposobu, żeby udowodnić, kto i gdzie go postrzelił. Idę do saloonu. Postawię ci drinka, chcesz? Od zabijania zachciewa się człowiekowi pić.

TLR

Rozdział dwudziesty trzeci

Już nie jestem szarą myszką, uznała z zadowoleniem Delia, przeglądając się w lustrze. Widziała pewną siebie kobietę w eleganckiej sukni z ciemnozielonego bengalskiego jedwabiu, wykończoną szkarłatną lamówką. Grzebyki z kości słoniowej postrzymywały niesforne pukle, a pomagał je okiełznać przedziałek pośrodku głowy.

- Ma pani złote ręce, panno Susan - powiedziała Delia.

- Dziękuję. - Modniarka najwyraźniej z dumą przyjęła tę pochwałę. - Wygląda pani bardzo świątecznie. Jude powie, że jak malowanie.

- Jeśli w ogóle przyjedzie. Powinien już być. Wspomniał, że ma coś do załatwienia, ale niczego więcej mi nie zdradził.

- Proszę się nie martwić. Kolację trzymam na kuchni. Szynka będzie ciepła i soczysta. Czy zaplanowaliście coś szczególnego na dzisiejszy wieczór?

Delia poczuła, jak policzki zalewa jej rumieniec.

- Mamy ustalić datę.

- Och, moja miła, tak się cieszę. - Panna Susan podeszła, by ją uściskać. - Oho, słyszę, że ktoś się zbliża.

Obie natychmiast podeszły do okna z widokiem na drogę.

W gęstniejącym mroku ujrzały jednak nie jeźdźca, lecz człowieka siedzącego w bryczce, która zatrzymała się przed domem. Chwilę potem przybysz nie bez kłopotów się z niej wygramolił.

- To pan Heston - rozpoznała niezapowiedzianego gościa Delia. - Spiesząc do wyjścia, usłyszała głośnie pukanie i wołanie Hestona:

- Delio?! Jesteś w domu? Jest tam kto?!

- Idę! - odkrzyknęła - Co się stało, panie Heston? - spytała, szeroko otwierając drzwi.

- Musisz ze mną pojechać. Jude'a postrzelono.

- Postrzelono?! Ale kto to zrobił i dlaczego?

- Nie wiem, chociaż mam swoje podejrzenia. Możemy porozmawiać o tym po drodze. Pytał o ciebie. - Heston spojrział ku bryczce. - Po drodze zawiadomiłem doktora, więc powinien być na miejscu.

- Boże wielki! - Delia miała wrażenie, że rozstępuje się pod nią ziemia. Nie była pewna, czy za chwilę nie zemdleje, na szczęście panna Susan zorientowała się w sytuacji i ją podtrzymała.

- Jadę z wami - oświadczyła. - Tylko wezmę dla nas jakieś okrycia.

- Czy rana jest ciężka? - spytała Delia, gdy modniarka pomagała jej włożyć płaszcz.

- Jedna kula drasnęła go w głowę, ale druga przebiła ramię. Stracił dużo krwi. - Heston pomógł obu kobietom usadowić się w bryczce. Delia usiadła obok niego na koźle, a panna Susan za nimi.

Delia była niemal sztywna z przerażenia. Nie wiedziała, czy Jude nie umrze, zanim ona zdąży dojechać. Boże, ocal go!

- Gdzie to się stało?

Heston szarpnął za lejce i para koni ruszyła.

- Powiedział mi, że jechał drogą wzdłuż granicy ziemi Millera, niedaleko wejścia do jaskini, i nagle rozległy się strzały. Nie zauważył, skąd padły. To cud, że zdołał się utrzymać na grzbiecie ogiera dostatecznie długo, aby wrócić do domu. Miał szczęście. Inaczej z upływu krwi umarłby gdzieś w samotności albo znaleźliby go i dobili ludzie Millera.

Starszy mężczyzna wbił wzrok w drogę i znów strzelił lejcami, by popędzić konie. Przez miasteczko przejechali, nie spotykając nikogo. Wreszcie stanęli przed domkiem Hestona. Delia spędziła cały ten czas na modlitwie.

- Proszę do środka, on jest w drugiej sypialni! - zawołała od progu pani Heston.

Delia zeskoczyła z kozła i wbiegła do domku. Jude leżał na plecach w ciemnym pomieszczeniu, nieogolona twarz była niemal tak biała jak bandaże wokół głowy i ramienia. Oczy miał zamknięte, ale gdy stanęła nad łóżkiem, uniósł powieki.

- Przyszłaś... - szepnął, jakby stał się cud.

- Naturalnie - potwierdziła, osuwając się na kolana. Dopiero w tym momencie zauważyła doktora Jonesa. - Mogłeś zginąć.

- Bóg jeszcze ze mną nie skończył.

- Powinien wydobrzeć, jeśli nie dojdzie do zakażenia - poinformował doktor Jones.

- Wyjdę do kuchni, żebyście mogli porozmawiać. Tylko nie za długo - przestrzegł.

- Jude, musisz przerwać dochodzenie - stwierdziła stanowczo Delia. - Komitetowi wyraźnie tak bardzo zależy na zachowaniu tajemnicy, że są gotowi nawet zabić. Myślę, że powinieneś wyjechać z Llano Crossing.

- Za późno. Wiedzą, że ich podejrzewam. - Jude mówił cicho i z wysiłkiem. - Trzeba znaleźć sposób, aby dostać się do kopalni, kiedy nie będzie strzeżona. Potrzebuję próbki. Wtedy zorientuję się, czy tam jest złoto. Piryt tworzy kryształy, ma czarne prążki, dzięki którym łatwo go odróżnić od złota.

- Przecież jesteś ciężko ranny. - Delia zadała sobie w duchu pytanie, czy doktor podał rannemu laudanum, co tłumaczyłoby majaki. - Nie możesz w tym stanie oglądać jaskini.

- Za kilka dni mój stan się poprawi. W każdym razie na tyle, abym mógł tam zejść. Muszę najpierw sam się przekonać, jak sprawy stoją, zanim zawiadomię policję stanową. Właśnie zajęła miejsce Strażników Teksasu na mocy decyzji nowych władz. Nie możemy ufać szeryfowi Jenkinsowi, bo jest w komitecie.

Zrozumiała, że on zdania nie zmieni.

- Czy nie można się zakraść tam w nocy?

- Jeśli straż stoi za dnia, to w nocy zapewne też - odparł jej ukochany. - Zwłaszcza teraz, kiedy wiedzą, że chcę się dostać do jaskini.

- W takim razie trzeba odpowiedzieć, że rana jest bardzo ciężka i pewnie się nie wyliżesz - stwierdziła Delia. - Jeśli się dowiedzą o twoich planach, mogą dokończyć dzieła. Sądzisz, że doktorowi Jonesowi można zaufać?

Jude skinął głową.

- Już go wysondowałem. Chyba od początku powątpiewał w istnienie złota. Zgodził się mówić, że jestem w pół drogi między życiem a śmiercią, więc pozostała jedynie modlitwa.

- Co zamierzasz? - spytała.

- W Wigilię strażnicy będą pewnie na swoich miejscach, założę się jednak, że urządzą sobie święta... - Zdołał wykonać gest unoszenia butelki do ust.

- Poczekam, aż upiją się w trupa, i wtedy wślizgnę się do jaskini.

- Nie mogę ci na to pozwolić - zdecydowanie sprzeciwiła się Delia. - Jeśli cię złapią, tym razem nie ujdiesz z życiem. Zorganizuję zebranie mieszkańców i przeforsuję wniosek, aby komitet oficjalnie zatrudnił rzeczoznawcę, który oceni, czy w kopalni naprawdę jest złoto. Nie mogą odmówić, bo to byłoby równoznaczne z przyznaniem się do oszustwa.

- To na nic. Większość ludzi jest zakażona gorączką złota. Nie uwierzą ci. Komitet orzeknie, że wezwanie rzeczoznawcy ściągnie tłumy chętne do poszukiwań na własną rękę.

TLR

Rozdział dwudziesty czwarty

W ostatnią niedzielę adwentu kościół udekorowano świeżą zielenią, a wśród wiernych zapanował świąteczny nastrój. Doniosła o tym po powrocie z nabożeństwa pani Heston. Delia, wraz z jej mężem, została przy rannym. Obawiała się, że jego wrogowie wykorzystają fakt, że mieszkańcy Llano Crossing znajdują się na mszy, i ośmielą się napisać na dom, w którym leży. Pan Heston pożyczył jej rewolwer, sam miał pod ręką strzelbę.

- Sam burmistrz Ladley prowadził dziś modlitwę za twoje wyzdrowienie, Jude, a także za ujęcie złoczyńców, którzy na ciebie napadli - powiedziała Lucy Heston.

- Przeklęty hipokryta! - wykrzyknął James.

- Część jego modlitw już została wysłuchana. - Jude ostrożnie zgiął ramię. Nie udało mu się jednak ukryć grymasu. - Boli znacznie mniej. W Wigilię będę gotowy do odwiedzenia jaskini.

- To bardzo niebezpieczne - orzekła pani Heston. - Może powinniśmy zatelegrafować do policji stanowej?

- Skąd możemy wiedzieć, czy komitet nie kontroluje telegrafu? - wtrąciła Delia.

- Będzie mnóstwo czasu, aby do nich zatelegrafować, kiedy zapędzimy obu Ladleyów i resztę tego towarzystwa do aresztu - stwierdził Jude.

- Czy pan Tucker ma się lepiej? - spytał pan Dean, kiedy Delia płaciła za zakupy.

Korzystając z jej niemal nieprzerwanej obecności w domu, Lucy Heston wysłała ją do sklepu, aby uzupełniła kończące się zapasy, na co Delia chętnie przystała. Postanowiła przy okazji kupić prezenty świąteczne dla Hestonów.

- Nic się nie zmieniło. - Delia zrobiła zboląłą minę.

Pan Dean przyjrzał jej się współczująco. Nie chcąc patrzeć mu w oczy, skierowała wzrok ku eleganckiemu surdutowi wiszącemu za ladą w komplecie ze spodniami, czarną krawatką i przesywaną złotogłowie kamizelką. Wyobraziła sobie Jude'a, jak w tym eleganckim stroju naucza z ambony, nie mogła jednak podzielić się swoimi myślami ze sklepikarzem.

- Może potrzeba mu laudanum?

- Pan Heston ma zapas, dziękuję - powiedziała, zbierając zakupy, które tymczasem zostały zapakowane. - Wesołych Świąt!

- Wesołych Świąt! - odparł pan Dean, gdy Delia była już przy drzwiach.

Oszukiwanie sklepikarza, którego знаła od lat, sprawiało jej przykrość, nie wolno jej było jednak wyjawić, że Jude'owi nic nie grozi. Pan Dean mógłby powtórzyć to innym, a poza tym należał do tych mieszkańców miasteczka, którzy duże kwoty zainwestowali w projekt komitetu.

Nadchodził wieczór. Właściciele zamykali sklepiki. Delii pozostało zająć po pannę Susan, by razem z nią wrócić do Hestonów. Pomyślała, że kiedy będzie po wszystkim, znajdzie sposób, aby podziękować tym starym ludziom za opiekę nad Jude'em i gościnę, jakiej jej udzielili.

Zeszła z drewnianego pomostu i skręciła w wąskie przejście między bankiem a pracownią modniarki.

- Witaj, Delio - usłyszała.

Rozejrzała się i zobaczyła Charlesa Ladleya.

- Och! - Miała nadzieję, że nie pokazała po sobie, jak bardzo się przestraszyła. - Zbliżają się święta, czyż nie? Proszę, przekaż ode mnie rodzicom życzenia wszystkiego najlepszego. Muszę iść, czeka na mnie panna Susan - powiedziała, wolno się cofając.

- Naprawdę? - spytał tonem, który mógł się wydawać przyjazny, ale jego spojrzenie zdradzało, że daleko mu do życzliwych uczuć.

Delia zerknęła w stronę pracowni z nadzieją, że panna Susan wypatruje jej z okna, ale nikogo nie dostrzegła.

- Proszę pozwolić mi odejść - powiedziała obojętnie, mimo że gorączkowo zerknęła na wszystkie strony, chcąc wypatrzeć jakiegoś przechodnia.

Wyglądało na to, że wszyscy poszli do domów na kolację, bo ulica była pusta. Nawet z saloonu nikt akurat nie wychodził. Jeśli ktokolwiek raczył się kolacją w hotelowej restauracji, to na pewno nie zajmował miejsca przy oknie.

- Odłóż te paczki i chodź ze mną, Delio.

- Po co?

- Mam dla ciebie niespodziankę. To przecież dobry okres na niespodzianki, prawda? - Pociągnął ją za ramię w głąb zaułka prowadzącego ku rzece i tartakowi Jeffersa.

Próbując stawić opór, gorączkowo szukała wyjścia z tej sytuacji. Przemknęło jej przez myśl, żeby udąć omdlenie albo zacząć krzyczeć z całych sił, że napadli ją bandyci. Panna Susan musiałaby to usłyszeć i przybiec jej z pomocą, pan Dean pewnie też. Przy świadkach Charles nie odważyłby się użyć siły. Tymczasem on pchnął ją pod ścianę budynku i pokazał broń, trzymaną w ukryciu pod płaszczem.

- Idziemy! - rzucił rozkazująco. - Lepiej mnie nie zmuszaj, abym się tym posłużył.

Jak ten człowiek mógł jej wydawać się ujmujący?

- Jesteś nie tylko piękna, Delio, lecz również niewierna - oświadczył. - Sądziś, że nie wiem o twoim spisku z Jude'em Tuckerem? Chcecie pokrzyżować nam plany. Czy zostaliście kochankami?

- Nie - odparła, mając na myśli jego drugie pytanie. - Natychmiast mnie puść, i zapomnimy o całej sprawie. - Delia starała się zachować spokój. - Nie ujawnimy oszustwa. Wyjedziemy z miasta jeszcze dzisiaj w nocy - ciągnęła, z nadzieją wypatrując na twarzy Charlesa znaku wskazującego, że jej słowa wywierają skutek. Na próżno. - Pójdziemy do banku, przepiszę na twoje nazwisko pieniądze, wszystkie co do centa. Więcej o nas nie usłyszysz.

- „O nas”, czyli o tobie i tym cieśli? - spytał z pogardą. - Chyba masz mnie za kompletnego głupca, jeśli wyobrażasz sobie, że pozwolę ci uciec do Austin i poszczuć nas policją stanową. Owszem, opuścisz miasto, ale nie z Tuckerem. Wyjedziesz ze mną, i to natychmiast. Pozwoliłem sobie złożyć wizytę w twoim domu i zapakować kilka rzeczy. Nie było to trudne, bo ostatnio dom prawie przez cały czas stał pusty. Skierujemy się do granicy, a towarzyszyć nam będzie mała eskorta.

Ruchem głowy wskazał dwóch mężczyzn, zamykających teraz z dwóch stron zaułek. Obaj mieli w dłoniach broń gotową do strzału. W jednym Delia rozpoznała Donleya Morrisona.

- Pobierzemy się zaraz za granicą, w Matamoros - ciągnął Charley. - Opowiemy, że upojeni szczęściem odnalezionej miłości nie mogliśmy czekać ani chwili dłużej.

- Nie zmusisz mnie do małżeństwa - oświadczyła stanowczo Delia, choć w obliczu niebezpieczeństwa ogarnął ją strach.

- Jestem innego zdania - powiedział. - Sądzisz, że jakiś meksykański *padre*, który nie zna angielskiego, wysłucha twoich błagań? Będą tam również moi rodzice, a za twoje pieniądze i wszystko to, co uda się wyciągnąć z kieszeni naiwnych z Llano Crossing, postawimy w Meksyku niewielki pałac Ladleyów.

- Twoja matka na to nie przystanie. Jest dobrą, uczciwą osobą, krótko mówiąc, twoim przeciwieństwem. Nawiasem mówiąc, nie umiem pojąć, jak to możliwe, że ma takiego syna.

- Jestem owocem romansu mojego ojca z dziewczką, która pomagała w saloonie. Matka nie umiała dbać o swoje, więc zgodziłyby się na wszystko, bylebyśmy z ojcem byli zadowoleni. Nawet na przeprowadzkę do Meksyku. Kiedy ojciec zainkasuje pieniądze z tak zwanej kopalni złota i ze sprzedaży twojego domu, będziemy wielką szczęśliwą rodziną poza zasięgiem głupków, których oskubaliśmy.

Delia wpatrywała się w Charlesa i nie potrafiła pojąć, jak mogła kiedykolwiek wmawiać sobie, że kocha tego człowieka. Wydawało jej się, że od tego czasu minęły długie lata. Teraz sprawiał wrażenie osoby nie całkiem zdrowej na umyśle.

Charles wcisnął jej lufę rewolweru między zębra.

- Pójdiesz teraz prosto do czekającego landa, tak jakby nic się nie działo, bo jeśli nie, to przysięgam, że strzelę. Niewiernej kobiecie należy się kara.

Nie miała wyjścia. Nogi się pod nią uginały, ale ruszyła ku powozowi. Podchodząc, zauważyła uwiązanych za pojazdem gniadosza Charlesa i Zephyr.

- Nie zostawię tak cennego zwierzęcia pełnej krwi - powiedział Charles, widząc, że zatrzymała wzrok na klaczy. - Nie licz na to, że uciekniesz na jej grzbiecie, moja miła. Nie zawaham się nafaszerować łba klaczy ołowiem, a zapewniam, że potrafię. Na wojnie byłem snajperem. Zabiłem setki Jankesów.

Kowboje, mający ich pilnować, dosiedli koni, a tymczasem Charles usadowił się obok Delii w landzie, trzymając niewidoczną broń skierowaną lufą w jej stronę. Llano Crossing wydawało się całkiem wymarłym miasteczkiem. Mieszkańcy, zajęci świątecznymi przygotowaniami, nawet nie podchodzili do okien.

Wyjechali spośród zabudowań, kierując się na południe. Dom Hestonów stał przy drodze na wschód, Delia musiała więc porzucić nadzieję, że Jude przypadkiem zauważy porwanie. Coraz bardziej ulegała paraliżującej trwodze. Jeśli stawi opór, Charles nie waha się jej zabić. A jeśli pozwoli się zmusić do małżeństwa, jej życie zamieni się w niewyobrażalny koszmar. Przywołała w wyobraźni obraz dziadka czytającego na głos psalmy. „A ja wołam do Boga i pan mnie ocali”. Chciałeś, Boże, abym wołała, jeśli będę potrzebować pomocy. Widzisz sam, w jakim niebezpieczeństwie się znalazłam, modliła się w duchu. Proszę, spełnij swoją obietnicę, a będziemy cię z Jude'em sławić do końca naszych dni.

Jude nie mógł usiedzieć w miejscu. Bez końca omawiali z Hestonem plan, raz po raz wracając do początku.

- W Wigilię pójde z tobą do jaskini - oznajmił starszy pan. - Nie puszcze cię samego, to zbyt niebezpieczne.

- Zbyt niebezpieczne, żebyś szedł ze mną - odparł Jude. - Nie obraż się, Jim, ale czy naprawdę uważasz, że jesteś w stanie tak jak ja wczołgać się na ten teren pod drutem kolczastym?

- Wiem, że nie dam rady. Tylko co się stanie, jeśli strażnicy nie będą pijani? Zrobiłeś, synu, takie założenie, ale możesz się mylić. Nie jesteś gotów zastrzelić ich po to, żeby zajrzeć do jaskini, prawda?

- Nie - przyznał Jude. Nawet jeśli strażnicy byli na wskroś złymi ludźmi, nie usprawiedliwiałoby to stosowania przemocy dla zdobycia dowodów. - Co proponujesz?

- Jeśli okaże się, że nie leżą schlani, to czymś ich zajmę. Narobię hałasu, żeby ich odciągnąć, a ty wślizgniesz się do środka i weźmiesz próbki.

Jude westchnął. Prawdę mówiąc, miał nadzieję, że Heston wystąpi z lepszym pomysłem niż to, co on sam zdołał wykoncipować.

- Nie ma mowy, Nie zgadzam się. Lucy mi nie podziękuje, jak cię zabiją.

- Właśnie to najbardziej mi przeszkadza: jak jesteś stary, nikt nie wierzy, że jeszcze cokolwiek potrafisz.

Jude położył Jimowi rękę na ramieniu.

- Potrafisz niejedno - zapewnił. - Bardzo liczę na ciebie. Gdyby coś mi się stało, pojedziesz do sąsiedniego miasteczka i wyślesz telegraficzną wiadomość do policji stanowej.

- Naturalnie - potwierdził Heston. - Mam jednak nadzieję, że do tego nie dojdzie.

- Wszystko w rękach Boga - przypomniał mu Jude. - Prawdę mówiąc, wolałbym nie czekać do Wigilii. Jeśli plan miałby się nie powieść lub jeśli Pan nie chce, abyśmy czekali tak długo, to z pewnością wskaże nam inną drogę.

Obaj skłonili głowy i modlili się w milczeniu przez kilka minut. Nagle Jude poczuł trudny do wyjaśnienia niepokój.

- Jim, muszę natychmiast pojechać do miasta i sprawdzić, czy Delii nic nie grozi - powiedział, przerywając modlitwę. - Ogarnęły mnie złe przeczucia. - Zdjął temblak z ramienia i sięgnął po koszulę. Zranione ramię nie było zbyt sprawne, ale prawym posługiwał się swobodnie. Shiloh był dobrze ułożony, więc do zapanowania nad koniem wystarczały nogi jeźdźca. - Pożycz mi rewolwer.

- Poczekaj chwilę. Naładuję stare colty. Nie pojedziesz sam, i to jest moje ostatnie słowo.

Rozdział dwudziesty piąty

Panna Susan zamykała pracownię, kiedy nadjechał Jude na Shilohu, a zaraz za nim Heston dosiadający kasztanowatego wałacha.

- Widziała pani Delię? - spytał bez ceremonii Jude.

Modniarka była wyraźnie zdumiona, że wyszedł z domu, a do tego siedzi na koniu.

- Godzinę temu zajrzała i powiedziała, że idzie do sklepu kupić parę rzeczy dla pani Heston. Obiecała wpaść po mnie, ale nie przyszła. Miałyśmy razem wrócić. Pomyślałam, że po prostu o tym zapomniała. Uznałam więc, że sama zajdę do...

- Czy zamiast do Hestonów Delia mogła iść do siebie?

Modniarka zrobiła zafrasowaną minę.

- Nie wiem, po co miałyby to robić. Poinformowała mnie, że jesteśmy zaproszone na kolację, czy tak, panie Heston? - Nagle zatrzymała wzrok na jakimś punkcie i wskazała palcem. - Ojej, proszę spojrzeć.

Pod ścianą banku leżało kilka pakunków. Zanim Jude zdążył zsiąść z konia, panna Susan już do nich zaglądała.

- Mąka, jajka, cukier... kubek do golenia, kryształowy półmisek... Delia wspominała, że pani Heston brakuje różnych potrzebnych rzeczy i chciała kupić jej to i owo w prezencie na Boże Narodzenie.

- Czyli mogą to być jej sprawunki - stwierdził Jude.

- Ale po co by je tu zostawiała? - zdziwił się Jim.

Obaj mężczyźni obrócili się w siodłach i przewędrowali wzrokiem po drodze do tartaku, a potem zbadali też ulicę, prowadzącą za granicę miasteczka. Nikogo nie dostrzegli, a oprócz saloonu wszystkie sklepy i warsztaty spowijała ciemność.

- Gdzie ona może być? - zaniepokoiła się panna Susan. - Nieco wcześniej, przed przyjściem Delii, widziałam Charlesa Ladleya. Przystanął tutaj, był z nim ten łajdak Donley i jeszcze drugi kowboj... - Modniarka urwała coraz bardziej zdenerwowana. - Och, chyba nie sądzi pan, że...

Jude wymienił znaczące spojrzenia z Jimem.

- Pojedziemy do Ladleyów i sprawdzimy, czy jej tam nie ma - oświadczył. - Panno Susan, proszę iść do pani Heston i dotrzymać jej towarzystwa.

Modniarka skinęła głową, a mężczyźni ściągnęli wodze i skierowali konie ku posiadłości burmistrza. Jude utwierdził się w przekonaniu, że Delii grozi niebezpieczeństwo. Jeśli Charles nie przywiózł jej do rodziców, to czy oni będą cokolwiek wiedzieli? A jeśli nawet tak, to czy zechcą powiedzieć prawdę?

Trzeba było liczyć się z tym, że celowo naprowadzą go na zły trop.

Gdy zatrzymali konie na dziedzińcu u Ladleyów, stajenny nie wyszedł zająć się końmi. Drzwi wejściowe były otwarte, na okrzyki nikt nie reagował. W pewnej chwili Jude usłyszał cichy rytmiczny łoskot dochodzący ze strychu. Wraz z Hestonem wszedł schodami na górę. Zastali tam Lucy Ladley i jej kucharkę Maisie. Obie były obwiązane sznurkiem niczym gęsi na świąteczny stół, a usta miały zakneblowane szmatami. Na szczęście dla nich przywiązano je do krzeseł, więc bujając się na nich, mogły zwrócić czyjąś uwagę.

Widać było, że pani Ladley jest bliska hysterii, ale knebel nie pozwalał jej wydać głosu.

- Proszę się nie bać - powiedział uspokajająco Jude i przystąpił do uwolnienia kobiet. - Jestem Jude Tucker. Szukam panny Keller. Czy pani syn ją tutaj przywiózł? Widziała ją pani? Mam powody przypuszczać, że znalazła się w poważnym niebezpieczeństwie. - Wreszcie udało mu się rozplątać ostatni węzeł. - Dlaczego pani jest związana?

- Pić... Proszę... Pić... - zachrypiała pani Ladley.

Jude zbiegł na dół, skąd przyniósł dzbanek pełen wody i dwie szklanki, a tymczasem Heston uwolnił z więzów kucharkę.

- Dzięki Bogu, że ktoś wreszcie się zjawił - powiedziała pani Ladley, opróżniwszy jednym haustem zawartość szklanki. - Maisie i ja zostałyśmy związane, bo odważyłam się sprzeciwić Charlesowi, gdy przyszedł do domu i oświadczył, że zamierza wyjechać z Delią. Wychowałam go, więc wiem, kiedy kłamie. Nie ukrywałam, co o tym myślę, a ponieważ nie chciałam zamilknąć, wyciągnął rewolwer... Wyobraża pan sobie?! Groził rewolwerem mnie i Maisie! Przyprowadził nas tutaj i związał!

- Gdzie jest burmistrz, pani Ladley? - spytał Heston.

Wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Nie było go cały dzień. Mężowi i jego synowi wydaje się, że jestem głupia jak but - ciągnęła. - Traktują mnie jak dodatkowy mebel - stwierdziła, rozcierając nadgarstki. - Od dawna podejrzewam, że tak zwana kopalnia złota to grube oszustwo.

- Pani dobrze mówi - poparła ją kucharka. - Chłopakowi coś się przestawiło w głowie.

- Dokąd syn mógł zabrać Delię? - spytał nagłym tonem Jude. - Nie poszłaby z nim dobrowolnie. Obawiam się, że Charles ją uprowadził.

- Nie mam pojęcia - Jane Ladley była wyraźnie zmęczona. - Mówię prawdę. Mąż był nieostrożny i zachował protokoły z posiedzeń komitetu, więc wiem, co knują. Nie ma żadnego złota, panie Tucker, jeśli nie liczyć tego, co sami podrzucili. Mąż i jego przekłeci kompani planują zabrać pieniądze wyłudzone od uczciwych obywateli, uciec z nimi do Meksyku i tam urządzić sobie królewskie życie. Wydaje mi się jednak, że to nie koniec. Moim zdaniem, mąż i Charles wystawili wspólników do wiatru. Zabrali wyłudzone od naiwnych pieniądze, Delię pewnie też, a pozostałych zostawili, żeby za to odpowiedzieli.

Jude nie miał poczucia triumfu, mimo że jego podejrzenia potwierdziły się w całej rozciągłości. Liczyło się tylko jedno: wybawienie Delii z rąk Ladleya.

- Uważa pani, że Charles i jego ojciec mogli zabrać Delię do Meksyku?

Pani Ladley nie odpowiedziała na to pytanie; chciała wyjawić wszystko po kolei.

- W miarę jak zbliżał się dzień otwarcia kopalni, Charles i mąż coraz bardziej bali się, że oszustwo wyjdzie na jaw. Nie wstydzę się przyznać, że ich podsłuchiwałam. Charles musiał poślubić Delię, żeby uzyskać dostęp do jej pieniędzy. To była taka rezerwa na wypadek, gdyby wszystko poza tym zawiodło. Mieszkamy w starym, pięknym domu, ale odkąd skończyła się wojna, nie mamy ani centa oszczędności. Staraliśmy się jedynie zachowywać pozory.

- Pani Ladley... - próbował jej przerwać Jude.

- Charles od dawna miał słabość do Delii Keller, ale nie wchodziła w rachubę jako kandydatka na żonę - ciągnęła burmistrzowa, nie zważając na ponaglenia. - Mąż z synem zdecydowali, że aby przywrócić nam godne miejsce w społeczeństwie, Charles musi poślubić bogatą kobietę. Zelektryzowała ich wiadomość o spadku Delii. Powinnam była ją

ostrzec - przyznała ze smutkiem pani Ladley. - Liczyłam jednak na to, że zdołam wpłynąć na Charlesa. Chciałam, aby stał się lepszym człowiekiem.

Po jej pooranym zmarszczkami policzku popłynęła łza.

- Przykro mi z powodu tego, co panią spotkało - powiedział Jude, desperacko starając się zachować cierpliwość, której zaczynało mu brakować. - Może jednak wie pani coś, co pomogłoby odnaleźć Delię? Czy mąż jest razem z nimi? Każda minuta się liczy, zdaje pani sobie z tego sprawę.

- Niestety, nie wiem, gdzie podziewa się mąż, panie Tucker. Podejrzewam jednak, że jego syn chce najkrótszą drogą dotrzeć do granicy, żeby zmusić Delię do ślubu w Meksyku. Tam osiadzie, a władze zachęci łapówkami do przymknięcia oczu na jego pobyt.

Jude zwrócił się do Jima.

- Jakie miejscowości są po drodze do granicy?

Kiedy jechał do Llano Crossing z Nevady, przybywał z północnego zachodu, więc tego terenu nie znał.

Po namyśle Heston odparł:

- Z większych Fredericksburg. Poza nim aż do San Anione znajdują się niewielkie miasteczka, takie jak Llano Crossing. Za San Anione już nie ma osad, wzdłuż drogi do Rio Grande ciągną się tylko kaktusy i jadłoszyny. Jeśli jednak zdecydują się na postój w San Antone... - Wzruszył ramionami. - Mogą się tam ukryć, a tymczasem pojedziemy dalej na południe, przekonani, że ich ścigamy.

- Czyli trzeba ich dogonić przed San Anione, jeśli to w ogóle możliwe - podsumował Jude.

Heston skinął głową. Bez pytania rozumiał, że w tę drogę Jude musi wyruszyć sam. Stary człowiek nie byłby w stanie podołać forsownej jeździe, a Jude'a nic nie zdołałoby zatrzymać.

- Jedź z Bogiem, chłopcze. Podczas gdy cię nie będzie, zwołamy ludzi z miasteczka. Kiedy się dowiedzą, że Charles Ladley porwał Delię, uwierzą, że projekt komitetu to jedno wielkie oszustwo. Znajdziemy tych łajdaków z komitetu, którzy nie uciekli, i wsadzimy ich do więzienia.

- Z przyjemnością złożę zeznania przeciwko mężowi, kiedy tylko zostanie złapany - oświadczyła z godnością pani Ladley. - Niech Bóg pana prowadzi, Tucker.

- Znajdziemy też właściwego człowieka do pilnowania, żeby przestrzegano prawa w Mason, bo szeryf, rzecz jasna, trafi za kratki razem z innymi - dodał Heston.

Jude był pod wrażeniem zdecydowania Jima i pani Ladley. Obawiał się o skuteczność pościgu za Ladleyem. Miał nad nim kilka godzin przewagi. Boże, pomyślał, jeśli chcesz, abyśmy byli z Delią razem, potrzebujemy teraz Twojej pomocy. Nie jestem go-dzien prosić Cię o nic, ale przecież Ty sam nas zapewniłeś, że wysłuchasz wołających o pomoc.

TLR

Rozdział dwudziesty szósty

Podczas gdy Donley rozkładał dach nad landem, Charles otulił Delię ciepłą skórą, zupełnie jakby naprawdę był troskliwym kochankiem. Kiedy skończył, usiadł naprzeciwko i naciągnął na siebie skórę, ani na chwilę nie wypuszczając z dłoni rewolweru. Lando toczyło się po pagórkowatych drogach na południe od miasteczka. Delia milczała. Błagania nie przyniosłyby skutku. Charles nie miał serca, nie sposób go było wzruszyć. Nie mogła na niego patrzeć, obserwowała więc porastające wzgórza bezkresne zarośla jadłoszynów, cedrów i kaktusów. Słońce znikło za stromym wzniesieniem widocznym po prawej stronie i należało się spodziewać, że wkrótce zapadną kompletne ciemności.

W Biblii napisano: „Bądź mężny i mocny”, pomyślała.

Milę lub dwie dalej zdecydowała się odezwać:

- Nie możemy jechać przez całą noc, chyba to wiesz. Konie nie wytrzymają. Poza tym zbierają się chmury. - Wskazała na niebo. - Będzie padać.

- Ojciec czeka na nas z krytym powozem i zmianą koni - odparł Charles i roześmiał się, widząc malujący się na jej twarzy wyraz zawodu. - Niedługo dotrzemy na miejsce spotkania.

W krytym powozie mogło im być dość ciasno, zważywszy na to, że oprócz nich dwojga miał jechać burmistrz i bagaże. Delia liczyła na to, że Charles zdecyduje się przynajmniej część drogi odbyć konno.

Mniej więcej po półgodzinie ich oczom ukazała się duża czarna bryła na tle dąbrowy. Jeszcze chwila i z mroku wyłonił się powóz zaprzężony w parę koni, z którego wysiadł burmistrz i uniósł rękę na powitanie.

- Szybko przyjechaliście - pochwalił syna. - Jak się miewa twoja piękna oblubienica? Dobry wieczór, Delio. Cóż za romantyczna ucieczka.

Delia zdołała zapanować nad wściekłością i odparła jedynie z przekąsem:

- Niewielu kawalerów uciekających z ukochaną sprowadza na pomoc ojca. Jak wiadać, nie zdołał pan namówić żony do przyłączenia się do naszej romantycznej kompanii.

Nie starczyło jej ani szybkości, aby uniknąć policzka, który wymierzył jej Charles, ani opanowania, żeby nie rzucić się na niego z paznokciami. Najwyraźniej spodziewał

się takiej reakcji, w porę chwycił ją bowiem za nadgarstki. Nie zważając na jej próby oswobodzenia rąk, dał znak pomagierom, żeby ją związali. Chwilę potem siedziała w powozie, mając skrępowane ręce i nogi. Łzy napłynęły Delii do oczu, czym prędzej więc odwróciła głowę, żeby porywacze nie spostrzegli, w jakim jest stanie.

- Uważaj, co gadasz, jędzo - ostrzegł ją burmistrz. - Jeśli będziesz zbyt zuchwała, nie pozwolę synowi, aby splamił nazwisko Ladleyów małżeństwem z taką kobietą. Muszę dbać o to, kto je nosi.

- Sam pan plami swoje nazwisko - odparła Delia, nie zważając na konsekwencje.

Przez chwilę burmistrz najwyraźniej walczył z sobą, chcąc ją uderzyć, w końcu jednak odwrócił się do syna i polecił:

- Jedźmy.

Delia skuliła się w kącie. Była ciekawa, czy pani Ladley wiedziała o oszukańczym projekcie komitetu. Nie przywieźli jej z sobą, czy jednak nie podniesie rabanu, kiedy mąż i syn nie wrócą na noc do domu? A może lata życia z mężem tak przygięły jej kark, że będzie potulnie czekała na okazję, aby dołączyć do rodziny w Meksyku?

Jak szybko ludzie się zorientują, że ich okradziono? Kiedy zażądają, by pokazano im kopalnię? - zastanawiała się Delia. Czy Jude wie, że ją porwano? Jeśli tak, na pewno wyruszy na poszukiwania, nie zważając na to, że nie jest jeszcze całkiem zdrow. Tyle że nie będzie wiedział, gdzie jej szukać. Chyba że pani Ladley odgadła zamiary męża i syna i podzieli się swoją wiedzą z Jude'em. Ile czasu minie, nim to się stanie? Nie sposób było przewidzieć.

- Jude Tucker was złapie - oświadczyła, jakby wiedziała, że dzielą go od nich zaledwie minuty. - Nie pozwoli, żeby wam to uszło na sucho.

- Ten zakochany cieśla nie ma zielonego pojęcia, co się z tobą stało - odparł Charles. - Nawet gdyby się domyślił, i tak będzie za późno.

- Znajdzie was na pewno.

- Założmy, że to mu się uda. I tak nie ma szans. Ace i Donley wystarczą z nawiązką na jednego cieśłą.

W tej chwili Delia usłyszała krople deszczu uderzające w dach powozu. Słysząc było także powiewy nasilającego się wiatru.

- Zatrzymajmy się na noc w hotelu we Fredericksburgu - zaproponował burmistrz.

- Nie będę robił postoju z powodu deszczu - sprzeciwił się Charles. - Fredericksburg leży za blisko Llano Crossing. Gdyby ktoś się zorientował, gdzie nas szukać, miałby ułatwione zadanie.

- Kogo to obchodzi? Ludzie żyją nadchodzącymi świętami i wizją wzbogacenia się, nie zauważą więc, że nas nie ma. Moja droga żona będzie wściekła, kiedy Manuel w końcu znajdzie ją i Maisie, powiązane sznurkiem niczym gęsi, ale ze wstydu nie bąknie ani słowa.

Deszcz zamienił się w ulewę, a mimo to powóz wciąż toczył się dalej.

Zaczął padać deszcz. Jude sięgnął do przytroczonej do siodła torby po pelerynę, widząc, że za moment deszcz przejdzie w ulewę. Boże, zdaje się, że miałeś mi pomóc, pomyślał rozczarowany, gdy nad głową przetoczył mu się grzmot. Shiloh dzielnie parł naprzód, Jude wiedział jednak, że wkrótce ogier musi odpocząć.

Kilka minut później dotarł do zakrętu, przy którym droga obiegała skałę. Niebo przeciął świetlisty zygzak, a jego błysk ujawnił, że skała tworzy naturalny dach, pod którym może się zmieścić człowiek na koniu. Nie było to wymarzone miejsce, ale przynajmniej dawało możliwość odpoczynku i schronienia przed deszczem.

- Synu, musimy się zatrzymać! Nie możemy jechać podczas burzy! - przestrzegł burmistrz chwilę po tym, jak piorun uderzył w drogę dostatecznie blisko, aby spłoszyć konie.

Charles skrzywił się z niechęcią, ale skapitulował.

- Znajdź jakieś miejsce na postój, Ace! - zawołał do kowboja siedzącego na koźle.

- To niemożliwe, panie Ladley! - wykrzyknął Ace. - Nie dojechaliliśmy do Fredericksburga, a dookoła jest pustkowie.

- Wobec tego przeczekamy burzę gdziekolwiek przy drodze. Nie możemy stanąć pod drzewem.

- Tu i tak jest dzicz! - odparł Ace. - Kupa krzaków jadłoszynu i nic więcej.

Powóz zatrzymał się u stóp wzgórza, wyczerpane konie wyglądały tak, jakby kazo im pływać pod wodą. Gniadosz Charlesa i klacz Zephyr, przywiązane z tyłu, znajdowały się w równie okalanym stanie.

- A co z nami? - spytał Donley, zaglądając przez szybę do powozu.

Do tej pory zamykał pochód, trzymając za wodze konia Ace'a. Podobnie jak jego kamrat na koźle był przemoczony do suchej nitki.

- W środku nie ma miejsca - stwierdził Charles. - Wejdźcie pod powóz albo wymyślcie co innego.

Delia spostrzegła, że kowboj zerka na swojego kompana siedzącego na koźle. Chwilę potem Ace zeskoczył na ziemię, wcale jednak nie zamierzał skorzystać z rady Charlesa. Chwycił wodze rzucone przez Donleya i dosiadł konia.

- Ej! - zawołał Charles, gdy kowboje zaczęli się oddalać od powozu. - Dokąd to?! - Wyciągnął rewolwer, który przez cały czas trzymał w dłoni. - Stać, bo strzelam!

Donley przystanął na chwilę, by krzyknąć:

- Masz kręcka, Ladley!

Obaj kowboje puścili konie galopem i znikli w deszczu.

- Nie strzelaj, głupcze! - krzyknął burmistrz. - Konie się spłoszą i poniosą! Poza tym i tak nie trafisz.

Delia odwróciła się bokiem, żeby się nie roześmiać, bo wtedy Ladleyowie mogliby na niej wyładować gniew.

- Do diabła z nimi, nie są nam do niczego potrzebni! - uznał Charles. - Damy sobie radę sami. - Wyciągnął z kieszonki zegarek i wlepił w niego wzrok. - A niech to! Nawet nie widzę, która godzina.

- Musi być po północy - powiedział burmistrz. - Pośpijmy trochę, póki deszcz nie zelżeje.

Pospać? Delia miała związane nogi i ręce i cała zdrętwiała. Wiedziała jednak, że nie ma sensu prosić, aby prześladowcy zdjeli jej więzy. Oparła się więc o tapicerowany wałek siedzenia i zamknęła oczy. Boże, modliła się, proszę, ześlij Jude'a.

Nagle, o dziwo, zmorzył ją sen.

Rozdział dwudziesty siódmy

Gdy Delia otworzyła oczy, spostrzegła, że niebo szarzeje. Usłyszała głośne przekleństwa mężczyzn. Powóz zakoleśniał się, przechylił w jedną stronę, potem w drugą, ale nie ruszył. Powyżej, z kozła dolatywały ją przekleństwa ciskane na konie przez Ladleya seniora. Raz po raz trzaskał bicz. Z tyłu dobiegały przekleństwa Charlesa, usiłującego popchnąć powóz.

Nie trzeba było jej tłumaczyć, że utknęli w błocie. Ace zatrzymał powóz poniżej wzniesienia, ze zbocza spływała woda i na drodze powstało błoto, które skutecznie unieruchomiło pojazd.

- Nie dam rady! - zawołał Charles. Zobaczyła przez szybę jego głowę, gdy podchodził do ojca. - Dołóż im solidnie, przecież muszą nas wyciągnąć z tego bagna! - wykrzyknął. - Może jeśli Delia wysiądzie, będzie im lżej?

- Okładam, ile wlezie, konie próbują, ale nie mają siły - odparł burmistrz. - Moim zdaniem, Delia nie czyni żadnej różnicy. Musimy zostawić powóz i pojechać dalej wierzchem.

Charles popatrzył na ojca, potem na Delię.

- Chodź tu - powiedział, otwierając drzwiczki powozu. Bezceremonialnie wyciągnął ją na zewnątrz, nie przejmując się tym, że ledwie może ustać na nogach. - Resztę drogi przejedziesz konno.

Delia wyprostowała się, a na twarzy wykwitł jej złośliwy uśmiech. Nie dbała o to, że Charles może znów ją uderzyć. Ujął ją pod brodę, tak że ich twarze znalazły się bardzo blisko siebie.

- Delio Keller, jak tylko dojedziemy do Meksyku, zapłacisz za każdą zuchwałość - wycedził. - Pożałujesz dnia, w którym się urodziłaś.

Nie zamierzała pozwolić się zastraszyć.

- Może i tak, ale najpierw musimy tam dotrzeć. A skoro mam jechać konno, to trzeba mnie rozwiązać.

To było bezdyskusyjne. Rozciął jej więzy na nogach, więc podała mu z kolei ręce, ale on pokręcił głową i wskazał swojego gniadosza.

- Pojadę na klaczy, Delio, więc wybij sobie z głowy myśl o ucieczce.
- A ja na czym? - zapytał poirytowany burmistrz.
- Przykro mi, ojczy, ale musisz dosiąść jednego z koni zaprzęgowych. Masz tu nóż.
- Podał mu narzędzie. - Przytnij uprząż tak, żeby mieć wodze.
- Oszalałeś! - Ladley senior wpadł w gniew. - Klacz pełnej krwi wytrzyma podwójne obciążenie. Pojadę na gniadoszu.
- Klacz nie może nieść dwóch osób. Jest zbyt płochliwa. Poza tym jestem cięższy niż zwykle.

Dla zaakcentowania wagi tego ostatniego argumentu Charles sięgnął do ciężkiego jutowego worka i zaczął przekładać sobie do kieszeni garście złotych monet. Gdy skończył, zawiązał worek z resztą złota i przytroczył go do siodła Zephyr. - To tylko część twojego spadku, którą Dawson mi wypłacił - zwrócił się do Delii. - Resztę każe przelać razem z pieniędzmi, które uzyska ze sprzedaży domu. Najwyższa pora ruszać. Prawdopodobnie zorganizowano już pościg.

- Jeśli tchórzysz, to zostaw Delię - odezwał się burmistrz. - Gdy ją odzyskają, przestaną nas ścigać.

- Przykro mi, ojczy. Zbyt wiele trudu sobie zadałem, żeby teraz zrezygnować z Delii, a zwłaszcza z jej pieniędzy - odparł Charles. - Wybieraj: jedziesz na jednym z koni zaprzęgowych albo zostajesz i czekasz na Tuckera.

Delia przyglądała się z niedowierzaniem, jak Charles mierzy zimnym wzrokiem ojca.

- Powinienem był zostawić cię w saloonie razem z twoją trzepniętą matką - stwierdził Ladley senior. - Masz tak samo nie po kolei w głowie jak ona. Bierz dziewczynę i jedź. Nie zamierzam tutaj zostać, ale nie chcę być częścią twojego chorego planu.

Charles wsadził Delię na gniadosza. Siodło było zimne i wilgotne, wyraźnie czuła to przez pończochy. Ujął wodze ogiera, a potem wsiadł na Zephyr. Gdy odjeżdżali, Delia zobaczyła jeszcze, że burmistrz odciął jednego konia z uprzęży i usiłuje go dosiąść na oklep.

Przez jakąś godzinę Delia i Charles kłusowali w dojmującym zimnie i niemal całkowitej ciszy, przerywanej tylko plaskającym odgłosem końskich kopyt, rozpryskują-

cych błoto, i niekiedy krótkim zaśpiewem ptaka. Delia wyteżwała słuch, ale oznak pościgu nie było.

Mogło to znaczyć, że Jude jest zbyt daleko, by jej pomóc. Wiedziała jednak, że po drodze muszą zrobić postój, aby kupić żywność, miała więc nadzieję, że wtedy uda jej się uciec lub ubłagać kogoś o pomoc. Do Meksyku wciąż było daleko.

- Do miast wjeżdżać nie będziemy - zapowiedział Charles, jakby czytał w jej myślach. Oczy gorączkowo mu lśniły. - Kiedy zgłodniejemy, związę cię i pójdę kupić coś do jedzenia. Stąd aż po Rio Grande mieszkają tylko biedni Meksykanie, więc każde kilka centów ich ucieszy.

Nie była przekonana, czy jej pieniądze mają w tej chwili jakiegokolwiek znaczenie.

- A co z resztą komitetu? - spytała. - Nie wydajesz się szczególnie przejęty losem tych ludzi. Nie obawiasz się, że Dawson jednak nie wyśle reszty sumy do Meksyku? Mogą też cię obciążyć przed policją stanową albo na własną rękę udać się w pościg, aby odzyskać pieniądze.

- Jeśli mają choć trochę rozumu, to szybko znikną bez śladu, moja droga pani Ladley.

Jeszcze nie jestem twoją żoną i nigdy nie będę miała ochotę wykrzyknąć mu w twarz, ale brakowało jej siły, a poza tym nie wydawało się to rozsądne.

Skupiła więc uwagę na ściskaniu kolanami końskich boków.

- Niedługo powinniśmy dotrzeć do Guadalupe - oznajmił Charles jakiś czas po tym, gdy objechali łukiem Fredericksburg. Mogło się wydawać w tej chwili, że są parą przyjaciół, odbywającą przejażdżkę. - Miejmy nadzieję, że tam jest most, bo inaczej trzeba będzie przepłynąć rzekę.

Rzeczywiście, za następnym zakrętem ukazała się przed nimi wstęga Guadalupe. Niestety, po moście pozostało tylko wspomnienie: przegniłe resztki przyczółków po obu stronach. Wezbrana po deszczu, wartka rzeka zniosła przeprawę, i to nie dalej jak ostatniej nocy.

Charles wzruszył ramionami i z beztronską człowieka niespełna rozumu oświadczył:

- Chyba nie możemy zmoknąć jeszcze bardziej, jeśli trochę popływamy, prawda, kochanie?

Delia popatrzyła na niego zdumiona w najwyższym stopniu. Nawet szalencie nie mógł wyobrazić sobie, że uda się pokonać wezbraną rzekę. Właśnie minęły ich niesione wartkim nurtem resztki pomostu, do którego przybijał prom.

- Konie nie przepłyną - zwróciła mu uwagę, starając się, by jej głos brzmiał spokojnie i rzeczowo. - Jeśli przycupniemy w pobliskim miasteczku i poczekamy, to woda opadnie. Może to potrwać dzień a nawet krócej. Zobaczymy.

- Nie możemy czekać, Delio. On się zbliża. Natężyła słuch, ale dolatywał ją jedynie szum wzburzonej wody. Czyżby Charles miał majaki? Nagle sama też coś usłyszała, początkowo w oddali. Odgłos wydawał się tak nikły, jakby był wytworem wyobraźni. Stopniowo jednak nabierał mocy i w końcu nie było już wątpliwości. To był tętent końskich kopyt.

- Dalej! - krzyknął przeraźliwie Charles, gdy oboje zobaczyli znajomego wierzchowca. W siodle siedział Jude. - Musimy natychmiast się przeprawić!

- Nie! - wykrzyknęła Delia, rozpaczliwie próbując wyrwać mu wodze z ręki. - Tego nie przeżyjemy! Nie chcę utonąć!

- Nie dopadnie nas! - krzyknął gorączkowo, usiłując skierować klacz ku rzece.

Tymczasem gniadosz, którego dosiadała Delia, zaparł się wszystkimi czterema kopytami, więc odległość między nim a klaczą zaczęła się zwiększać. Charles walczył w tej chwili o to, by w ogóle utrzymać się w siodle i w końcu puścił wodze gniadosza, który poczuł się wolny.

Zephyr wciąż opierała się komendom Charlesa, boczyła się i podrywała przednie kopyta tym gwałtowniej, że jeździec nie szczędził jej ostróg. Klacz próbowała utrzymać równowagę na rozmiękłym, błotnistym brzegu, ale wartki nurt coraz bardziej go podmywał i raz po raz kawały gliniastego gruntu z pluskiem ginęły w kipieli.

Właśnie w tej chwili okolicą zatrząśł huk wystrzału. Delia poderwała głowę i ujrzała rewolwer w ręce Jude'a. Lufa broni była skierowana w powietrze.

Klacz, i tak już spłoszona, wpadła w przerażenie. Cudem zaryła się przednimi kopytami w błocie i nie zwała do rzeki, lecz jeździec nie zdołał się utrzymać w siodle. Delia krzyknęła przeraźliwie. Charles przeleciał nad końskim łbem, wywinął kozła w powietrzu i wpadł w wir. Wynurzył się niemal natychmiast. Wrzeszczał i próbował chwy-

tać się gałęzi, ale obciążone złotem kieszenie ciągnęły go w dół. Nie miał żadnych szans utrzymać się na powierzchni.

Delia przyglądała się temu strwożona. Trzeba pomóc tonącemu! Z wysiłkiem zsunęła się z końskiego grzbietu, co przy związanych rękach nie było łatwym zadaniem, a gdy wreszcie stanęła na ziemi, zaczęła szarpać za odłamaną mostową belkę. Ta jednak okazała się zaczepiona gdzieś pod powierzchnią wody i nie sposób jej było wydobyć. Tymczasem prąd wody porwał Charlesa dalej. Kiedy przepływał obok, na twarzy Delii odmalowało się przerażenie.

Zanim Jude podjechał do drżącej klaczy, głowa Charlesa Ladleya znów znikła pod powierzchnią. Delii zdawało się chwilę potem, że widzi jego wyciągnięte nad wodę ramię znacznie dalej. Może jednak uległa złudzeniu, patrząc na zwykłą gałąź.

Jeszcze moment i znalazła się w objęciach Jude'a, który odgrodził ją od tego straszego widoku. Wtuliła się w jego pierś i zanosła szlochem, zaciskając dłonie na jego ramionach tak kurczowo, jakby już nigdy nie zamierzała go puścić.

Delia wracała do Fredericksburga na gniadym ogierze Charlesa. Zephyr była zbyt spłoszona i zdrożona, by jej dosiąść, więc Jude prowadził klacz, jadąc stępą na Shilohu. Dotarłszy do miasta, udali się prosto do biura szeryfa i opowiedzieli o wszystkim, co zaszło. Nie zapomnieli dodać, że burmistrz Charles Ladley senior wciąż znajduje się na wolności. Szeryf wysłuchał ich z uwagą i obiecał, że wkrótce wyruszy wraz z zastępcami na poszukiwanie zbiega.

- W mieście jest hotel, możecie tam zatrzymać się na noc. Służba zajmie się końmi - powiedział. - Proszę wybaczyć, że to mówię, ale pan - tu zwrócił się do Jude'a - wygląda na półżywego. Poza tym przecież dziś mamy Wigilię.

Określenie „półżywy” w odniesieniu do Jude'a wydawało się oględne. Przez całą poprzednią noc nie zmrużył oka. Przemókł do cna, zanim znalazł skalny dach, pod którym przeczekał burzę, a sforsowane ramię potwornie go bolało. Mimo to spoglądał na Delię ze szczerym zachwytem, jakby jego jedynym marzeniem było spędzenie razem z nią Bożego Narodzenia.

- Musimy wracać - powiedział szeryfowi. - Trzeba zawiadomić panią Ladley o śmierci syna. Czy można by pożyczyć lekki powóz i zostawić w stajni na kilka dni nasze konie?

- To dobry pomysł. Jedno z was może powozić, a drugie spać. Jeśli mogę coś zaproponować, to warto by kupić suche odzienie. Oboje wyglądacie jak koty wyciągnięte z rzeki.

Jude uśmiechnął się. Myślał właśnie o tym, że Delia nawet z mokrymi włosami klejącymi się do twarzy, z błotnistymi plamami na sukni i szyi wydaje mu się najpiękniejszą kobietą na świecie.

- Może potrzebujecie pożyczyć pieniędzy na powóz i zakupy? - spytał szeryf. - Mam tu odłożony w szufladzie mały fundusz na nagłe wypadki.

Jude pokręcił głową i grzecznie podziękował za życzliwość. Wyjaśnił, że Charles Ladley miał nie tylko kieszenie wypełnione złotem. W jukach gniadego wierzchowca wciąż pozostała bardzo duża kwota.

- Co za chciwiec - rzekł szeryf, kręcąc głową.

Godzinę później, najadłszy się do syta i przebrawszy w nowo kupione ubrania, Delia i Jude dotarli wynajętym powozem do granicy miasta. Tam zobaczyli jadących ku nim dwóch zastępców szeryfa. Jeden z nich prowadził konia z resztkami uprzęży na szyi, drugi ciągnął konia na postronku, tyle że na grzbiecie zwierzęcia kołysał się Ladley senior w przemoczonym, podartym ubraniu.

Wkrótce przekonała się, że ze znajomości z Charlesem wyniosła jedną korzyść. Nauczył ją powozić, dzięki czemu mogła teraz siedzieć na koźle. Jude tymczasem ułożył się na siedzeniu i zasnął. Zmienił ją wkrótce po zapadnięciu zmroku. Przed nimi wciąż wiała się długa i coraz słabiej widoczna droga. Na szczęście, burzowe chmury zniknęły i całe niebo było usiane gwiazdami.

Rozdział dwudziesty ósmy

W bożonarodzeniowy poranek Llano Crossing wydawało się niemal tak samo wymarłe jak w wieczór, gdy Delia przymusowo opuszczała miasteczko. I jej, i Jude'owi spieszno było do Hestonów, chcieli bowiem jak najszybciej pokazać, że są cali i zdrowi, ale ponieważ nadjeżdżali z południa, wypadało najpierw zajechać do pani Ladley, aby powiedzieć jej o śmierci syna. Gdy zatrzymali powóz na dziedzińcu, między domem a stajniami, na powitanie wyszedł im niespodziewanie Jim Heston.

- Dzięki Bogu, że bezpiecznie wracacie! - zawołał. - Lucy, panna Susan i ja postanowiliśmy poczekać tutaj. Nie chcieliśmy zostawiać pani Ladley samej, tym bardziej że przecież są święta. - Przyjrzał im się bacznie i po chwili wahania dodał: - Widzę po waszych twarzach, że macie dla niej złe nowiny.

- To prawda - przyznał Jude. - Dobrze, że pani Ladley spędziła ten czas wśród ludzi.

Żonę burmistrza spotkali na progu, gdzie stała razem z Lucy Heston i panną Susan. Przez dłuższą chwilę trwały powitalne okrzyki i uściski.

- Zapraszam do środka - powiedziała wreszcie burmistrzowa. - Kawa już czeka, a Maisie przygotowuje śniadanie. Możemy usiąść w salonie.

Mimo że z obowiązków pani domu wywiązywała się wzorowo, w jej oczach odbijała się głęboka troska; widać więc było, że jest przygotowana na najgorsze. Gdy wszyscy zajęli już miejsca, pani Ladley obok Jude'a, mając z drugiej strony Lucy Heston, przysła kolej na smutny obowiązek. Delia myślała o tym z dużym niepokojem.

Jude opowiedział pani Ladley starannie wygładzoną wersję wydarzeń, nie sposób było jednak zmienić ich przebiegu. Człowiek, którego wychowywała jak własnego syna, odszedł z tego świata, a jej mąż siedział w areszcie we Fredericksburgu, najprawdopodobniej w oczekiwaniu na długoletnie więzienie.

Pani Ladley zniosła to wszystko dzielnie.

- Biedna, zagubiona dusza, biedna zagubiona dusza... - szepnęła w odpowiedzi na wiadomości o Charlesie, a po policzkach potoczyły jej się łzy. - Och, Delio, tak się cieszę, że nic się pani nie stało. - O mężu nie wspomniała ani słowem.

Pani Heston objęła ją współczująco i pozwoliła jej się wypłakać, a po kilku minutach razem z panną Susan zaprowadziły burmistrzową na górę, by mogła się położyć.

- Jane i ja długo rozmawialiśmy w czasie, gdy mężczyźni obradowali wczoraj wieczorem - powiedziała Lucy Heston. - Rozumiała, że źle się to skończy dla jej męża i jego syna, i wydawała się pogodzona z losem. Zresztą, wcześniej zastrzegła, że nie pojedzie do nich do Meksyku. To była bardzo stanowcza decyzja.

Przy śniadaniu Jim Heston opowiedział z kolei, co działo się ostatnio w Llano Crossing.

- Wyruszyłeś w pościg za Ladleyem i Delią, Jude - zaczął - a ja posłałem do Mason po szeryfa. Kiedy przyjechał razem z zastępcą, poszliśmy do kopalni, zabierając ze sobą doktora Jonesa. Szeryf aresztował strażników i zostawił zastępcę, żeby pilnował tych zbirów, a sam wszedł ze mną do jaskini. Trochę się rozejrzeliśmy, choć latarnie nie dają zbyt wiele światła, jestem jednak prawie pewien, że masz rację. To, co jest tam w ścianach, wygląda na piryt. W kilku miejscach odbiłem skałę młotkiem i mam teraz parę kryształów, które wyglądają dokładnie tak, jak opisałeś złoto głupców. Rzecznawca jest w drodze i zapewne potwierdzi tę opinię, a i sędzia ma przyjechać na wyjazdową sesję sądu, żeby zamknąć tę bandę łobuzów na tak długo, jak tylko prawo pozwala.

- Reszta tego towarzystwa nie uciekła? - zdziwił się Jude. - Szeryf, Dawson, Miller, Jeffers?

- Nie. Spokojnie tu siedzieli i tylko się zastanawiali, co się stało z Ladleyami. Im chyba dopiero teraz zaczyna świtać, że zostali wystawieni do wiatru. Nie różnią się w tym od reszty mieszkańców. Szeryf Jenkins zgodził się zeznawać w zamian za złagodzenie wyroku - dodał Jim Heston. Tymczasem do pokoju wróciły jego żona i panna Susan. - Stróże prawa z Mason wszystko zabezpieczyli, a ja jeszcze tego samego dnia zwołałem krótkie zebranie. Mieszkańcy mieli ochotę wytarzać tych drani w smole i pierzu, kiedy powiedziałem im o zmowie i o porwaniu panny Delii. Uspokoili się trochę dopiero wtedy, kiedy przekazałem im zapewnienie Dawsona, że większość ich pieniędzy wciąż jeszcze pozostaje w banku. Wszyscy są ci bardzo wdzięczni, Jude, i na pewno jeszcze to okażą.

Jude pochylił głowę, zakłopotany pochwałą.

- To jeszcze nie koniec opowieści - mówił dalej Heston. - Pojawił się tutaj Donley Morrison na jakiejś zajechanej szkapie i zażądał, aby panna Susan z nim wyjechała. Powiedział, że od dawna jest jego prawną żoną. Szeryf z Mason natychmiast go aresztował za udział w porwaniu i Morrison siedzi teraz w areszcie razem z innymi.

- Nic pani nie grozi - zwróciła się Delia do panny Susan.

- Jestem wdzięczna, że dała mi pani na tak długo dach nad głową i zapewniła bezpieczny kąt - odrzekła modniarka. - Mam nadzieję, że nie obrazi się pani, jeśli teraz pomieszka trochę u pani Ladley. Nie chcę, żeby czuła się samotna.

Delia zapewniła ją, że świetnie to wszystko rozumie.

- Mam nadzieję, Jude, że nie będziesz miał do mnie pretensji, ale poinformowałem, że jesteś kaznodzieją - wyjął Jim Heston z uśmiechem, który nie wydawał się świadczyć o skruszce. - Zarząd parafii odbył głosowanie i upoważnił mnie do przedstawienia ci propozycji. Stanowisko proboszcza w naszym kościele czeka na ciebie. Jude spojrzął na niego strapiiony.

- Jim, powinienem najpierw zarządowi to i owo powiedzieć. Mogą zmienić zdanie...

- Wątpię. Następne zebranie jest w przeddzień Nowego Roku, więc możesz z ludźmi porozmawiać. Ja też tam będę, dokooptowano mnie do zarządu na miejsce burmistrza. Naturalnie, wakuje też stanowisko szeryfa, a z tego co słyszę i widzę, również o nie mógłbyś się ubiegać.

- A ty zostaniesz nowym burmistrzem? - podsunął wesoło Jude, choć nie do końca był to żart. - Co do mnie, dla odmiany spróbuję robić to, czego wymaga ode mnie Bóg, i rzeczywiście zostanę kaznodzieją, jeśli tylko zaakceptują mnie mieszkańcy. No i oczywiście ożenię się z Delią - dodał z uśmiechem i czule objął ukochaną.

- Kiedy ślub? - spytała panna Susan. - Potrzebuję trochę czasu na uszycie sukni. Tak się składa, że zrobiłam szkic i chętnie go pokażę, żeby mogła się pani zastanowić, moja droga.

- Czy dzień świętego Walentego to nie jest za wczesny termin? - spytał Jude Delię.

- Dla mnie nie - odrzekła rozpromieniona. - Panno Susan, czy tyle czasu wystarczy?

- Będzie go aż nadto.

Delia uśmiechnęła się do nich obojga przez łyzy.

- Czy wypada się cieszyć, skoro pani Ladley jest w żałobie?

- Ona przewidziała, że pani to powie - odrzekła panna Susan, a Lucy Heston przytaknęła. - Nie chce słyszeć o takich skrupułach. Jej zdaniem, skoro Charles zaprzepaścił szansę na szczęście, to trudno. Cieszy ją, że znalazła pani człowieka, który na pewno jej nie zawiedzie.

W tym momencie Jude pocałował Delię, wprowadzając ją w lekkie zakłopotanie.

- Pani Ladley prosi również - dodała Lucy Heston - aby w prezencie ślubnym zechciała pani przyjąć Zephyr.

- To piękna klacz i bardzo wrażliwa, ale Jude twierdzi, że dla mnie trochę za trudna w prowadzeniu, i chyba ma rację.

- Sądzę, że mogę nad nią popracować - wtrącił Jude. - Prawdę mówiąc zastanawiałem się już nawet nad tym, o jak wspaniałe żrebaki moglibyśmy się postarać, gdyby przyprowadzić Zephyr do mojego Shiloha. Mielibyśmy dodatkowe zajęcie, hodowlę koni pełnej krwi.

Delii całkiem spodobał się ten pomysł.

- Może zaproponowalibyśmy pani Ladley udział w tym przedsięwzięciu?

- Susan, Jim, myślę, że najwyższy czas, abyśmy pozbierali naczynia i poszli do kuchni pozmywać - oświadczyła Lucy Heston, ciągnąc męża za rękę. - Młodzi mają swoje plany, chcą pomarzyć i nie potrzeba im towarzystwa staruchów.

Gdy zostali we dwoje, Delia przytuliła się do Jude'a. Wydało jej się to całkiem naturalnym gestem. Czuła się przy nim bezpieczna.

- Chcę jak najszybciej zostać twoją żoną.

- Delio, Bóg stworzył cię specjalnie dla mnie. Nie umiałbym sobie wymarzyć nikogo lepszego.

- Podoba mi się, że tak uważasz! - zawołała zachwycona i podsunęła usta do pocałunku.

Epilog

Natychmiast po wyjściu z zebrania zarządu parafii w przeddzień Nowego Roku Jude pojechał do domu Delii. Umówili się na kolację, a Jude miał zostać do czasu, aż zegar wybije dwunastą i nadejdzie nowy rok. Oboje nie mogli się doczekać, kiedy rozpoczną wspólne małżeńskie życie i nie będą musieli więcej się rozstawać.

- Wiatr z północy jest wprost lodowaty - powiedział Jude od progu, zaprowadzwszy Shiloha do stajni. - Masz przed sobą nowego proboszcza kościoła w Llano Crossing - oznajmił z dumą.

Delia z okrzykiem radości rzuciła mu się w ramiona.

- Wiedziałam, że cię przyjmą!

- To było niesamowite, Delio. Wyjawiłem, co robiłem podczas wojny, jak widziane przez ze mnie tragedie zachwiały mnie w wierze. Powiedziałem też o kobiecie, z którą omal nie zgrzeszyłem. Oni uważają jednak, że nie grzechy mają znaczenie, lecz skrucha. Położyli na mnie ręce i modlili się za mnie. To było wspaniałe uczucie, prawdziwe błogosławieństwo.

- To my mamy błogosławieństwo, ty i ja - powiedziała. - A jakie plany ma zarząd wobec plebanii?

- Chcą ją zatrzymać jako własność kościelną, być może wynająć na razie za niewielką cenę komuś, komu szczęście ostatnio nie sprzyja. Któregoś dnia, kiedy nas już nie będzie, pewnie znowu zamieszka tam proboszcz - wyjaśnił, po czym czule ją pocałował.

Nieco później wskazał jej krajobraz za oknem. Zaczął padać śnieg i pokrywał trawę coraz grubszą warstwą bieli.

- Za kilka godzin nadejdzie nowy rok - powiedziała Delia, gdy zegar za ich plecami wydzwonił kolejną godzinę. - Zaczynamy nowe życie, i my we dwoje, i Llano Crossing.

